

Czy to możliwe,  
żeby dobry człowiek  
popetnił zły uczynek?

JESTEŚ.

*moja*

HELEN KLEIN ROSS



Prószyński i S-ka

JESTEŚ.  
*moja*  
HELEN KLEIN ROSS

Przełożyła  
Xenia Wiśniewska

Prószyński i S-ka



Tytuł oryginału  
WHAT WAS MINE

Copyright © 2016 by Helen Klein Ross  
First published by Gallery Books,  
a Division of Simon & Schuster, Inc.  
All rights reserved

Projekt okładki  
Joanna Wasilewska

Zdjęcie na okładce  
© Jake Olson/Trevillion Images

Redaktor prowadzący  
Joanna Maciuk

Redakcja  
Ewa Witan

Korekta  
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8123-599-0

Warszawa 2018

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Dla mojej matki Margaret Whelan Klein  
i ku pamięci jej matki Helen Callaghan Whelan

Znalazłam ślady konia w trawie na wzgórzu,  
Znalazłam ślady łabędzia na brzegu stawu,  
Znalazłam ślady krowy wśród żonkili,  
Jednak nie znalazłam ani śladu mego pachnącego maleństwa.

Dawna kołysanka celtycka

## Część pierwsza

Rozejrzałam się, jak zrobiłby każdy na moim miejscu, w poszukiwaniu jego matki, lecz nigdzie dookoła jej nie dostrzegłam. Zresztą co ja wiedziałam o jagniętach? Powinnam je podnieść? Zanieść... ale dokąd?

Anne Stevenson *The Enigma*

## Lucy

Kidnap<sup>1</sup>. Dokonajmy analizy tego wyrazu. Powinno oznaczać drzemkę z małymi kózkami. Słowa potrafią być takie mylące.

Nie potrafię opowiedzieć mojej historii wprost. Muszę to robić kołami przypominającymi słoje drzewa znaczące upływ czasu.

Czy należałoby zacząć od tego, jak bardzo pragnęłam mieć dziecko?

Oczywiście próbowałam zająć w ciążę konwencjonalnymi metodami, chociaż przez pierwsze lata naszego małżeństwa ani Warren, ani ja nie spieszyliśmy się do rodzicielstwa. Kiedy się pobieraliśmy, ja miałam dwadzieścia pięć lat, a on dwadzieścia sześć. Myśleliśmy, że przed nami jeszcze mnóstwo czasu.

Na początku każde z nas poświęciło się karierze. On wychodził na prowadzenie wśród wspólników w firmie konsultingowej, ja spędzałam długie, skąpane w świetle jarzeniówek godziny w agencji reklamowej, poszukując ofert sprzedaży, które przepchną mnie z kartonowo-gipsowego boksu do gabinetu z oknem.

Po trzech latach Warren zapewnił sobie miejsce blisko szczytu w swojej „klasie”, a ja awansowałam z boksu do pokoiku z małym, ale niezaprzeczalnie istniejącym oknem. Moje nazwisko widniało na przytwierdzonej do drzwi metalowej tabliczce, którą czasami, kiedy byłam sama w korytarzu, czyściłam końcem rękawa i polerowałam, jakby to był medal.

Mieszkailiśmy w dzielnicy finansowej, co w tej części świata i w owym czasie oznaczało Manhattan. Wynajmowaliśmy połowę ostatniego piętra w budynku z brązowego kamienia, zaledwie kilka przecznic od zoo w Central Parku. Ulica Wschodnia Sześćdziesiąta Czwarta jest idealnym miejscem do wychowywania dzieci, myślałam podczas wczesnoporannych przebieżek pod wieżą z zegarem. Co pół godziny zegar wygrywał melodie, a wokół tarczy wirowały kozy, niedźwiedzie i kangury z brązu. Może nadal to robią.

Czasami zatrzymywałam się, żeby popatrzeć, i wyobrażałam sobie, że pewnego dnia będę oglądała ten pokaz z niemowlęciem w wózku.

Nie byliśmy jednak gotowi na dzieci, jeszcze nie. Nie mogliśmy ich wychowywać w tym mieszkaniu. Znajdowało się na piątym piętrze w budynku bez windy i nie potrafiłam sobie wyobrazić, że będąc w ciąży, kilka razy dziennie wspinałam się po schodach. Poza tym nie było mowy, żebyśmy w tych pięćdziesięciu metrach zmieścili jeszcze niemowlę i prowadzili we trójkę wygodne życie, jakie wyświetlało się na ekranach w naszych głowach, nieustannie nadających film o przyszłości.

Dzieci lepiej się chowają na przedmieściach, twierdził Warren. Pochodził z Bronxu, ale mówił autorytatywnie. Miałam pewne wątpliwości, ponieważ sama dorastałam na przedmieściu, w końcu jednak przekonał mnie ogrom przestrzeni i światła, jakie widzieliśmy, oglądając domy,



wystawione na sprzedaż poza centrum. Na rozpędzającym się w 1982 roku rynku nieruchomości na światło i przestrzeń na Manhattanie nie było nas stać. A uważałam przestrzeń i światło za warunki niezbędne do szczęśliwego dzieciństwa. Właśnie tak myślałam, kiedy jeszcze nie miałam dziecka.

Tak naprawdę jednak staliśmy się na nie gotowi, kiedy oboje skończyliśmy trzydzieści lat, a Warren stracił ojca. Przestaliśmy się czuć dziećmi i sami zapragnęliśmy je mieć. Poza tym – bez względu na to, jak niedorzecznie to teraz brzmi – akurat urodził się synek księcia Karola i Lady Di, co wzmocniło w nas ducha prokreacji.

Zaczelśmy szukać domu w Westchester, ale jedna wycieczka metrem do Bronxville przekonała Warrena, że powinniśmy skupić się na New Jersey.

– Wszyscy w północnej linii metra noszą takie same prochowce – powiedział.

To mnie zaskoczyło. Tak naprawdę Warren miał identyczny płaszcz i takie same krawaty: ciemny jedwab, poprzecinany liniami maleńkich figur geometrycznych. Wtedy jednak zrozumiałam coś, czego wcześniej nie dostrzegłam; że on chce być postrzegany jako człowiek maszerujący do innej melodii. I to powinno było mnie ostrzec.

Kupiliśmy zmodernizowany dom w stylu kolonialnym w Upper Montclair, dopłacając ekstra za to, że ogród znajdował się na samym skraju preferowanej strefy szkolnej. Podpisanie umowy uczciliśmy kolacją skąpaną w szampanie i wróciliśmy metrem do naszego mieszkania, które teraz wydawało się jeszcze mniejsze. Tamtej nocy zaczęliśmy starania o dziecko – z entuzjazmem i poczuciem celu. Jakże to było wyzwalające pozwolić temu, co nazywaliśmy moim frisbee, spoczywać w różowej, plastikowej małży, gdy kochaliśmy się bez zabezpieczenia. Wkrótce radośnie wypróbowałyśmy nowe pozycje na nowym, wielkim materacu w naszej nowej, wielkiej sypialni w New Jersey. Mieliśmy cel i obojgu nam to odpowiadało. W ogóle byliśmy ludźmi zorientowanymi na cel – to jedna z cech, która przyciągnęła nas ku sobie w college’u. Poznaliśmy się w Cornell, w koedukacyjnym akademiku, gdzie płcie porozdzielano piętrami. W piwnicy stał automat z przekąskami i pierwsze, co zobaczyłam, to blond włosy Warrena, podświetlone na zielono neonowym światłem. Oboje zrobiliśmy sobie przerwę w całonocnym zakuwaniu. Warren kopnął automat, który nie chciał wypluć mojej paczki chrupek kukurydzianych. Siedem lat później wzięliśmy ślub.

Założyliśmy, że aby mieć dziecko, wystarczy się postarać. Tak naprawdę już kiedyś zaszliśmy w ciążę, w ogóle się nie starając. Byłam „w kłopotach” z Warrenem na ostatnim roku studiów. Wtedy żadne z nas nie żywiło wątpliwości, czy powinnam je urodzić. Nie mieliśmy ani pieniędzy, ani chęci na dziecko. On pożyczył pieniądze od przyjaciela, który podał mu nazwisko lekarza. W roku 1975 aborcja dopiero co została zalegalizowana i nadal nie było łatwo znaleźć lekarza, który nie zabije kobiety razem z jej niechcianym dzieckiem. Byłam wdzięczna Warrenowi, że wszystko zorganizował, jednak oboje nas zaskoczył fakt, że oczekując na zabieg, zaczęłam się zastanawiać, czy dam radę przez to przejść. Moje wątpliwości nie brały się z lęku przed lekarzem czy religijności, chociaż zostałam wychowana jako katoliczka. Zerwałam z religią, jeszcze kiedy uczyłam się u zakonnic w szkole przyklasztornej. Zmieniłam zdanie w sprawie przerywania ciąży, ponieważ coraz bardziej czułam, że rozkwita we mnie coś ludzkiego, i nie chciałam przejmować władzy nad tym drugim życiem, bez względu na to, na jak wczesnym etapie rozwoju się znajdowało. Kiedyś, w dzieciństwie, wpatrywałam się jak zahipnotyzowana w zdjęcia embrionu w magazynie „Life”. To coś we mnie miało usta, palce u stóp i mózg.

– To nie jest dziecko, tylko ziarnko fasoli – protestował Warren, pokazując rysunek w książce

do biologii swojego współlokatora, który przygotowywał się do studiów medycznych. Ja jednak nie mogłam myśleć o tym, co noszę w sobie, nieważne, jak było małe, jako o nieożywionym przedmiocie, którego można się pozbyć.

Tylko co innego mogłam zrobić? Nie miałam możliwości zająć się dzieckiem i wiedziałam, że nie będę w stanie go urodzić, a potem po prostu oddać. Nie byłam aż tak twarda. Przepraszałam je za to, co zamierzałam zrobić. Mówiłam do niego cicho, słowami, które płynęły z mojego umysłu przez serce.

– Wróć za kilka lat – szeptałam bez końca.

I wtedy, dzień przed zabiegiem, dziecko z własnej woli opuściło moje ciało. W toalecie zobaczyłam krew. To coś nie wyglądało jak dziecko, tylko jak skrzep, ale wiedziałam, co to, i zostawiłam je, żeby Warren też zobaczył. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w nie w ciszy, po czym razem spuściliśmy wodę, palce Warrena splecione na spłuczce z moimi. Gdy czerwony wir zniknął w białej porcelanie, poczułam, jak ogarnia mnie bezbrzeżny smutek, co nie miało sensu, bo przecież właśnie tego chcieliśmy, a teraz przynajmniej mogliśmy odwołać kosztowną wizytę.

Po kilku miesiącach prób oboje z Warrenem byliśmy zaskoczeni, że nasze pełne entuzjazmu starania nie zaowocowały kolejną ciążą. Gorliwie łykałam witaminy, odstawiłam alkohol oraz sushi i codziennie, zanim wsiadłam do autobusu, by jechać do pracy, wzmacniałam mięśnie na basenie w klubie sportowym. Czasami, kiedy się kochaliśmy, czułam głęboko w sobie ukłucie i byłam pewna, że to zasiane we mnie dziecko. Potem leżałam nieruchomo, żeby nie naruszyć zarodka. Jednak miesiąc po miesiącu moje ciało mnie zawodziło.

Książki zalecały kupno odpowiedniego wyposażenia i wkrótce nasza sypialnia zaczęła przypominać laboratorium chemiczne: wykresy, kolorowe ołówki, termometr do mierzenia temperatury przed wstaniem z łóżka. Jednak żadne eksperymenty nie dawały rezultatu, chociaż nie wiedzieliśmy dlaczego – w książkach zawsze się udawało. Zaczęłam się lękać czegoś, o czym nigdy nie powiedziałam Warrenowi – że nasze utracone dziecko w jakiś sposób ostrzegło przede mną inne, rozpuściło wici, że stanowią dla nich zagrożenie.

Po roku poszliśmy do kliniki leczenia niepłodności i wkrótce biegle władaliśmy jej bezlitosnym językiem: pobranie komórek jajowych, zapłodnienie w inkubatorze, selekcja zarodków. Cały proces był brzydki, skomplikowany i trudny dla nas obojga. Warren musiał się zmuszać, żeby robić mi zastrzyki, które ćwiczył na pomarańczy. Opuszczałam spodnie i klękałam przed nim na kanapie, zamykałam oczy i przygotowywałam się na ukłucie. Za pierwszym razem trwało to tak długo, że aż musiałam się obejrzeć i sprawdzić, co się stało.

Po dwóch próbach w klinice Warren nalegał, żebyśmy przestali tam chodzić, ponieważ ubezpieczenie nie pokryje dalszych kosztów. Leczenie było niezwykle kosztowne, droższe niż nasz dom. Warren nie zgadzał się na adopcję, powiedział, że nie chce odziedziczyć cudzych problemów. Równie dobrze problemy mogą pojawić się u twojego własnego dziecka, odparłam, przypominając mu, że mnóstwo ludzi ma kłopoty z dziećmi, których nie adoptowali. Agencje sprawdzają, czy niemowlę jest zdrowe, zapewniałam, jednak nie chciał służyć.

Walka z niepłodnością sprawia, że ciągle stoisz na rozstaju, spoglądając na obie drogi: życie z dzieckiem albo też bez niego. Warren szykował się już na życie bez, przyzwyczajał się do bezdietności, tłumacząc sobie i mnie, że posiadanie dzieci wyklucza takie rzeczy jak egzotyczne wakacje czy stare kabriolety – jednak te sprawy nie budziły we mnie żadnego

pożądania.

Każdego dnia niezliczoną ilość razy wypominano mi moją niezdolność do osiągnięcia tego, co bez trudu przychodziło innym. Przedmioty, które wcześniej ledwo dostrzegałam, teraz zdawały się rzucać oskarżenia. Nakrętki zabezpieczone przed dziećmi. Rodzinne pudełka płatków śniadaniowych. Okna samochodów, krzyczące „Jedzie z nami dziecko!”.

W niektóre poranki przed pracą wyglądałam przez frontowe okno, trzyskrzydłowe, o którym marzyłam, kiedy mieszkałam na Manhattanie, i patrzyłam na rodziców w garniturach i garsonkach, odprowadzających na przystanek dzieci, które ignorowali albo pospieszali niecierpliwie. Jakaś matka ciągnęła malucha na szelkach, odrywając go od przedmiotów, które przykuwały jego uwagę. Tak wielu ludzi miało dzieci, chociaż na to nie zasługiwało. Każdego dnia pisano w gazetach o noworodkach znalezionych na śmietnikach albo o rodzicach pozostawiających dzieci bez opieki. Jeden ojciec do tego stopnia stracił cierpliwość, szykując dzieci do szkoły, że wyjął z szuflady pistolet i je zastrzelił.

Lata mijały, wciąż byliśmy bezdzietni, a ja katowałam się myślą, jak wiele skojarzeń przywodzi na myśl słowo „bezpłodna”: wyschnięte pole, spalone na brąz przez słońce. Ścięta lodem tundra. *Dust bowl*<sup>2</sup> albo pustynia, gdzie nic nie wyrośnie.

Koleżanka z biura poleciła mi wizualizację, której przypisywała zdobycie domu w Southampton.

– Wyobraź to sobie – radziła – a twoje marzenie się spełni.

Dlaczego nie? pomyślałam. Nie miałam nic do stracenia. Wyposażyłam dodatkową sypialnię w łóżeczko, sosnowy fotel bujany, ozdobiłam ścianę szlaczkiem z wesołych kaczuszek. Siadałam w fotelu, zamykałam oczy i wyobrażałam sobie niewielki ciężar w moich ramionach, kołysałam się w przód i w tył, w przód i w tył, jak gdybym mogła dokołysać się tam, gdzie chciałam dotrzeć.

Kiedy Warren mnie zostawił, miałam trzydzieści pięć lat, byłam w wieku, w którym w średniowieczu umierały kobiety, będące już babkami.

<sup>1</sup> Kid (ang.) – dziecko, koźlę; nap (ang.) – drzemać.

<sup>2</sup> *Dust bowl* – okres (lata 1931–1938), w którym 19 stanów USA zostało objęte katastrofą ekologiczną, spowodowaną wielką suszą i intensywną eksploatacją rolniczą gruntów.

## Warren

Kiedy staraliśmy się z Lucy o dziecko, na początku było przyjemnie, ale wkrótce seks zaczął przypominać pracę na pół etatu. Należało wpasować się w konkretne dni, a nawet w godziny. Jeśli jedno z nas miało zostać dłużej w pracy, musieliśmy korzystać z czyjegoś mieszkania. Nie pozostało w tym już ani krzty romantyzmu. Doszło do tego, że nawet jak byliśmy w trakcie, Lucy nie spuszczała oka z zegarka, obawiając się, że nie zdążymy.

– Pospiesz się – powiedziała kiedyś, co wywarło efekt odwrotny, niż chciała.

Kiedy zaczęliśmy chodzić do kliniki, musiałem robić swoje w pokoju wielkości szafy, oznaczonym tabliczką „Pobrania”. Próbowałem rozluźnić się na fotelu ze skaju, przykrytym papierowym prześcieradłem, i oglądałem pierwszy lepszy film porno, jaki wyciągnąłem z pudełka, próbując ignorować obecność innych facetów, czekających za drzwiami na swoją kolej. Nie muszę mówić, że wolałem oddawać nasienie w domu, ale mieszkaliśmy w New Jersey. Klinika mieściła się na środku Manhattanu, co oznaczało, że aby zdążyć do laboratorium na czas – sperma może być użyta tylko przez godzinę – musiałem jechać jak szaleniec, modląc się, żeby w tunelu nie było korków, z torebką przyklejoną do brzucha pod podkoszulkiem, żeby utrzymać nasienie w temperaturze ciała. To było, zanim wymyślono, jak je zamrażać.

Najgorsze było robienie zastrzyków. Nie bez powodu poszedłem w biznes, a nie na medycynę. Od dziecka nie cierpię igieł. Nigdy nie zapomnę pierwszego razu, kiedy musiałem zrobić Lucy zastrzyk. Uklękła na kanapie, ufnie wypinając przede mną pupę. Trzymałem strzykawkę i kiedy się odwróciłem, zobaczyłem nasze ogromne cienie na ścianie. Wyglądałem jak potwór, który zaraz miał wbić w nią nóż. Musiałem szybko zrobić co trzeba z igłą, zanim Lucy podniosłaby wzrok i też ujrzała tego potwora.

W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że dziecko nie jest nam pisane. Ale nie potrafiłem sprawić, żeby moja żona też to zrozumiała. Poza tym nikt poza mną nie zamierzał przerywać działania. Wszystkim wokoło bardzo zależało, żebyśmy nie tracili nadziei. Prowadzący naszą grupę wsparcia w klinice pracował dla producenta pergonalu, jednego z najbardziej popularnych leków na niepłodność w tamtych czasach. Po lekach Lucy wyglądała, jakby już była w ciąży. Piersi zrobiły jej się ogromne, nie z własnej winy przytyła pięć kilo i zaczęła się kołysać jak kaczka, ponieważ lekarstwa podrażniały jej macicę i chodzenie sprawiało jej ból. Chodzenie! Zapomnij o seksie. Przestaliśmy uprawiać seks, chyba że był w rozpisce.

Próbowałem tłumaczyć Lucy, że powinniśmy dać sobie spokój, pogodzić się z faktem, że nie będziemy mieli dzieci. Ona mi wystarczała. Było mi smutno, że ja jej nie wystarczam.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo oszalała na punkcie dziecka, aż do pewnego wieczoru, kiedy wróciłem z delegacji i zobaczyłem, że zamieniła sypialnię dla gości w pokój dziecienny. Był kompletnie wyposażony: łóżeczko, fotel bujany, nawet szlaczek z kaczuszek na ścianie.

Kiedy zobaczyłem te kaczki – przytwierdzone na stałe, nie jakieś naklejki, które można zdrapać – poczułem się tak, jakby jakaś zimna dłoń wymierzyła mi policzek i mnie obudziła; pokazała, jak dalece to wszystko wymknęło nam się spod kontroli.

Po tym wydarzeniu Lucy i ja byliśmy małżeństwem jeszcze rok, ale tak naprawdę już się rozstaliśmy, przynajmniej w mojej głowie. Wtedy chciała ode mnie tylko jednego, czego ja nie mogłem jej dać. Saszę poznałem w biurze. Dopiero zaczęła u nas pracować i zakochałem się w niej, kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem w windzie. Nie jestem z siebie dumny. Ale jesteśmy małżeństwem już dwadzieścia jeden lat. Muszę przyznać, że poczułem ulgę, będąc z kimś, z kim nie musiałem dzielić tak ogromnego problemu. Od razu mieliśmy dwoje dzieci, ja na to nalegałem. Sasha jest dziesięć lat młodsza od Lucy, ale z tych wszystkich wykładów w klinice nauczyłem się jednego – dla kobiety odkładanie macierzyństwa jest jak rosyjska ruletka. Im starsze jajeczka, tym większe ryzyko problemów z zajściem w ciążę.

Lucy i ja nie utrzymywaliśmy kontaktów, lecz spotkałem ją na dwudziestopięcioleciu ukończenia college'u. Miło było znowu ją zobaczyć. Przyjechała ze swoją córką. Słodki dzieciak, jeździła quadem. Lucy powiedziała, że ją adoptowała. Od tego zjazdu minęło ponad dziesięć lat. Więcej nie miałem z nią kontaktu.

## Lucy

Kiedy Warren odszedł, zaczęłam igrać z myślą o skorzystaniu z banku spermy i nawet zamówiłam odpowiednią literaturę. Jednak moja siostra odwiodła mnie od tego pomysłu. Cheryl jest pielęgniarzką. Powiedziała, że takie dziecko mogłoby mieć setki rodzeństwa. Wyobraziłam sobie dawcę spermy jako Szczurołapa z Hameln, za którym podąża tłum jego miniaturowych kopii. Nie chciałam tego zrobić własnemu dziecku. Z mojego doświadczenia wynikało, że jeden brat lub siostra absolutnie wystarczy.

Sprawdzałam możliwość adopcji, ale to były późne lata osiemdziesiąte. Ironia polegała na tym, że kiedy rozstałam się z mężem, który nie chciał adoptować dziecka, ja też nie mogłam już tego zrobić, ponieważ byłam sama. Nie dostałabym pozwolenia, chyba że pojechałabym do Chin, ale czytałam, że chińskie adopcje trwają latami. Moją największą szansą była adopcja prywatna. Prywatne adopcje stawały się coraz bardziej popularne, zwłaszcza na Środkowym Zachodzie. Dyrektorka kreatywnej z agencji pomogła mi umieścić ogłoszenie w „Kansas City Star”. Podobał mi się pomysł, by mieć dziecko z Kansas. Zaczęłam śnić o wirującym w powietrzu domu<sup>3</sup>, który przyniesie mi dziecko.

„Kochająca, aktywna zawodowo, pragnie zostać matką twojego dziecka”. Ale żadna z dziewczyn nie chciała nawet wziąć pod uwagę samotnej matki, podobnej do niej samej.

– Wszystkie szukają rodziny jak z sitcomu *Family Ties* – wyjaśnił mi prawnik, do którego zadzwoniłam. – Przykro mi – dodał, lecz w jego głosie wcale nie słyszałam smutku, tylko niecierpliwość, gdyż chciał się mnie jak najszybciej pozbyć.

Dzwoniłam pod numery z ogłoszeń, zamieszczanych przez dziewczyny szukające domu dla swoich dzieci. Nie mogłam się pogodzić z faktem, że nie przeszłam żadnej rozmowy kwalifikacyjnej, ani jednej. Doszłam do wniosku, że niczego nie osiągnę, mówiąc prawdę. Postanowiłam wymyślić sobie męża i zamieściłam kolejne ogłoszenie: „Kochająca para pragnie dać twojemu dziecku piękny dom”. Wtedy telefon się rozdzwonił, wkrótce jednak odkryłam, że proces adopcyjny wymaga zbyt wielu dokumentów, zbyt wielu inspekcji, żeby moje kłamstwo się udało.

A może chciałabym adoptować starsze dziecko? Jeśli tak, pewnie mogłabym od razu wziąć je do domu, ktoś mi powiedział. Część mnie żałowała, że nie mam na tyle wielkiego serca, żeby się zdecydować na starsze dziecko, potrzebujące matki. Nie byłam aż tak skłonna do poświęceń. Chciałam mieć niemowlę. Całym sercem pragnęłam maleństwa, by było piękne w sposób, w jaki są piękne wszystkie niemowlaki. Wolałabym, żeby było inaczej, ale nie było.

Wyglądało na to, że wszyscy wokół mnie mieli dzieci. Chodziłam z pępkowego na pępkowe, do kolegów z pracy i znajomych, nawet urządziłam kiedyś przyjęcie *baby shower* dla dyrektorki kreatywnej, tej samej, która pomogła mi zamieścić ogłoszenie w Kansas. Dałam z siebie

wszystko – do New Jersey trzeba było się tłuc kawał drogi i chciałam, żeby goście uznali, że warto. Przy talerzach zamiast serwetek poukładałam pieluszki z tetry. Dla każdej z zaproszonych kobiet przygotowałam w prezencie torebkę wypełnioną luksusowymi przetworami. Wydałam oszałamiającą kwotę na ser pasujący do naszego przyjęcia: hiszpańską tetillę w kształcie piersi. Podczas gry w Baby Bingo jedna z dziewczyn przez pomyłkę otworzyła drzwi do pokoju dziecinnego i wkrótce wszystkie stały w progu, bez słowa, a ja zobaczyłam siebie tak, jak one mnie widziały: szalona kobieta, kupująca rzeczy dla dziecka, którego nigdy nie będzie miała. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z tego, co one już wiedziały, do czego usiłował przekonać mnie Warren – że nigdy nie urodzę dziecka. Po prostu nie.

Gdy przyjęcie już się skończyło i odprowadziłam przyszłą mamę do samochodu, niosąc torby pełne prezentów i kapelusz upleciony ze wstążek, którymi były przewiązane, resztę weekendu spędziłam w łóżku, oplakując dziecko, które straciłam, i małżeństwo, które poświęciłam w próżnej pogoni za macierzyństwem. Dziecko, które mogłam mieć – czułam, że to był chłopiec – miałoby czternaście lat i z czułością wyobrażałam sobie jego łamiący się głos, świeże włoski na gładkiej twarzy. Byłby o cztery lata starszy od Jake’a Cheryl i wyobrażałam ich sobie razem, Jake wpatrzony w starszego ciotecznego brata tak, jak kiedyś Cheryl wpatrywała się we mnie. Teraz Cheryl zachowywała się, jakbym nie miała o niczym pojęcia. Odkąd urodziła dzieci, sprawiała wrażenie, że nie jest już moją siostrą, natomiast stała się siostrą naszej matki. Podczas rodzinnych spotkań szeptały po kątach, dzieląc się opowieściami w sekretnym języku, jak gdyby należały do klubu, do którego ja nie miałam wstępu.

W poniedziałek rano znów byłam sobą – a raczej zachowywałam się jak ja: zmusiłam się, żeby wstać, wziąć prysznic, włożyć eleganckie ciuchy, wsiąść do autobusu jadącego do miasta i pogрузić się w pracy. Wkrótce stałam się najszybszą autorką tekstów reklamowych: broszur, reklam prasowych i telewizyjnych. Można powiedzieć, że zdzierałam różowe kartki ze sterty zleceń, podczas gdy wcześniej, jak większość kreatywnych, ukrywałam się, gdy przychodzili ludzie z działu handlowego, próbujący mnie skłonić do przyjęcia nowego zadania.

Żadne zlecenie nie było dla mnie zbyt trudne. Żeby zdążyć z terminami, czasami nawet zostawałam w biurze przez całą noc, stukając stuk, stuk w klawiaturę mojego komputera. Stałam się jednym z najbardziej pożądanym copywriterów, pierwszą osobą wzywaną na pomoc, gdy trzeba było pozyskać nowego klienta. Moje gorączkowe pragnienie dziecka przekulałam w pasję do pracy, tworząc kampanie dla klientów, którzy sami przypominali dzieci w swoich nieustannych żądaniach i nie umieli oddzielić własnych potrzeb od potrzeb osób je zaspokajających.

Właśnie w sprawach zawodowych odbyłam swoją pierwszą podróż do Ikei. Sklep w Elizabeth został otwarty niedawno, to był dopiero drugi sklep Ikei w kraju.

Zawiózł nas tam facet z księgowości – kreatywni nigdy nie prowadzą. Chociaż był środek tygodnia, na parkingu panował tłok i pamiętam, jak pomyślałam, że ich kampania reklamowa naprawdę się sprawdza. A mimo to menedżer marki już chciał czegoś nowego. Zaprosił agencję, w której pracowałam, do złożenia oferty.

Był dopiero maj, ale mieliśmy falę upałów. Musieliśmy pokonać długą drogę od samochodu do sklepu w palącym słońcu. Obcasy moich butów zapadały się w asfalt i kilka razy musiałam przystanąć, żeby je wyciągnąć. Kiedy rozsunęła się przed nami szklana tafla drzwi, ogarnęła

mnie fala szczęścia, którą na początku przypisałam klimatyzacji.

Powitała nas wesoło kobieta w czerwonym fartuchu i wręczyła każdemu jaskrawożółtą torbę, mającą ułatwić zakupy. Torby były ogromne, jak worki na śmieci, ale nie na tyle duże, żeby pomieścić meble. Byłam zdezorientowana. Czy Ikea nie jest firmą produkującą różne sprzęty? „Umiebluj swoje życie” – takie mieli hasło. Tak, były tam meble, mnóstwo mebli, ale też przydatne drobiazgi: świeczki, otwieracze, magnesy na lodówkę, miarki, zegary, wszystko zaprojektowane w praktyczny, acz zaskakujący sposób, co sprawiało, że zwykłe przedmioty codziennego użytku wydawały się egzotyczne. Poszłam z całą grupą do lasu stojących lamp, wkrótce jednak odeszłam na bok, zwabiona widokiemumeblowanych pokoi. Byłam oczarowana żywymi dioramami przedstawiającymi życie rodzinne. Wieloosobowa kanapa pokryta białym płótnem naprzeciwko ogromnego telewizora, pokazującego reklamę, której nie cierpiał menedżer marki. Jadalnie w jasnych kolorach, ciemne gabinety ze ścianami pełnymi książek, kuchnie z zakupami zostawionymi na blatach – te wszystkie wnętrza wyglądały na zamieszkałe przez szczęśliwych ludzi, którzy tylko na chwilę wyszli. Przechodziłam z pokoju do pokoju, w których panował celowy nieład, aż skrzący się od możliwości. Tak wyglądały pomieszczenia, gdzie nie może się stać nic złego.

Następnych pięć tygodni spędziłam zaszyta w biurze razem z moją dyrektorką kreatywną, pracując nad kampanią, która miała sprawić, że inni zakochają się w tym sklepie tak samo jak ja. Nasza prezentacja otrzymała owacje na stojąco, ale nie dostaliśmy tego zlecenia. Utrzymała je poprzednia agencja.

Ja jednak zaczęłam zaglądać do Ikei. Nie raz, lecz znowu i znowu.

Jeździłam tam w letnie piątki, tak jak inni jeździli na plażę. Czasami zabierałam z domu kanapkę i jadłam ją na drewnianej ławce przed wejściem, obserwując wchodzących i wychodzących ludzi, którzy przychodzili z pustymi rękami, a wychodzili z taką ilością towarów, że pracownicy w czerwonych fartuchach musieli im pomagać w dźwiganiu pakunków. Albo stawałam przy basenie z piłkami i obserwowałam dzieci bawiące się za szybą. Pomieszczenie przypominało olbrzymie akwarium, tyle że zamiast wody wypełniało je morze jaskrawych kolorowych piłek z pianki, w których dzieciaki skakały i nurkowały, śmiejąc się bezgłośnie. Pilnowały ich opiekunki, sprytny chwyt marketingowy, dający swobodę rodzicom, aby mogli się skupić na napełnianiu wózków i koszy.

Czasami chodziłam do restauracji, gdzie podawano szwedzkie jedzenie, i siedziałam nad klopsikami i sokiem z borówek, zahipnotyzowana ruchami matek wokół mnie. Podziwiałam ich umiejętność trzymania w górze jednocześnie tacy i dziecka. Chodziły parami, łącząc małe dzieci w stadka, sadzały je przy stołach pełnych jedzenia, otaczając barierkami z wielkich, lśniących wózków sklepowych, wyładowanych rekwizytami życia rodzinnego. Wyobrażałam sobie, że ich szczęście przypłynie do mnie, wraz z mieszaniną zapachów z ich tac. Widziałam siebie pośród nich, jak huśtam dziecko na kolanie, rozprawiając o wyższości drewnianych łóżeczek nad metalowymi albo muzyki klasycznej nad piosenkami pop w karuzelach dla dzieci czy też dyskutując, w jakim wieku należy zabrać smoczek.

Gazety nie miały racji. Wcale nie zrobiłam tego z premedytacją.

[3](#) Nawiązanie do książki *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*, której bohaterką jest Dorotka, mieszkająca w Kansas.



## Lucy

Agencja przeszła na letni system pracy: co drugi piątek mieliśmy wolny.

Dziesiąty sierpnia 1990 roku był dla mnie dniem wolnym. Wmówiłam sobie, jak robiłam to czasami, zanim skręciłam w kierunku Ikei, że muszę coś kupić. Panował upał nie do zniesienia, urządzenia klimatyzacyjne obciążały systemy na całym Wschodnim Wybrzeżu i chodziły słuchy, że grozi nam awaria elektryczności. Potrzebowałam świec, a Ikea je sprzedawała – być może nadal tak robi – w poręcznych pudełkach za niewygórowaną cenę.

I dlatego wtedy tam się znalazłam; niewinnie przemierzałam alejki, trzymając pustą żółtą torbę na ramieniu. (Zawsze brałam torbę przy wejściu, żeby wyglądać, jakbym była na zakupach). Właśnie próbowałam sobie przypomnieć, gdzie leżą świece, kiedy zobaczyłam niemowlę, siedzące samotnie w przechylnym wózku na zakupy. Właściwie to nie siedziało, było zbyt małe, żeby siedzieć. Na wpół leżało w plastikowym foteliku, tak samo żółtym jak moja torba. Fotelik był przymocowany do sklepowego wózka, częsty widok w tamtych czasach, zanim wymyślono przenośne foteliki samochodowe. Dziecko sprawiało wrażenie, jakby zaraz miało wypaść, i wydawało się, że musi mu być okropnie niewygodnie. Jego buzia przypominała do złudzenia tę z okładki książki, którą uwielbiałam w dzieciństwie: *Moja pierwsza Gwiazdka*. Kiedy tylko myślałam o własnym dziecku, właśnie tę buzię sobie wyobrażałam. To dziewczynka, nie miałam wątpliwości. Była ubrana w różowy rampers. Spojrzała na mnie z namysłem, jakby usiłowała sobie przypomnieć, gdzie wcześniej mnie widziała. Kiedy rzuciła mi bezzębny uśmiech, poczułam, jak pod moim mostkiem wzbiera fala morska.

Nikogo obok nas nie dostrzegłam. Dziewczynka była sama w długiej, pustej alejce. W oczach miała nadzieję. Na czubku głowy sterczały blond kosmyki. Poczułam się tak, jak gdyby wózek sklepowy był statkiem kosmicznym, który właśnie wylądował, żeby mi ją przynieść.

– Ile ma? – zapytała mijająca nas kobieta w ciąży, która pchała przed sobą wózek pełen wikliny. Spojrzała na dziecko z zachwytem, a mnie ogarnęła niewytłumaczalna duma.

– Dwa miesiące – odpowiedziałam bez zastanowienia, szczerząc się idiotycznie, jak gdyby to było moje dziecko.

– Dwa miesiące? Jest olbrzymia! – Zrozumiałam, że grubo przesadziłam.

Teraz dziecko jeszcze bardziej wychylało się z fotelika, przytrzymywane tylko pasami, niezbyt mocno. Mogło wypaść. Widziałam, że kobieta oczekuje, bym je posadziła.

Mogę uczciwie powiedzieć, że jedyną intencją, jaką miałam, kiedy sięgałam do wózka, było poprawienie dziecka. Jednak gdy tylko przycisnęłam dłonie do mięciutkiego ciała małej, poczułam przymus tak ogromny, że nadal mam go w głębi piersi. Skóra dziewczynki była zimna, pokryta gęsią skórką. Mała była ubrana na upał, nieodpowiednio do klimatyzowanego wnętrza, zawiązano jej koronkowy śliniak, ale nie włożono bluzeczki. Wałeczki na szyi miała mokre od

śliny, a przecież tu były przeciagi. Mogła dostać zapalenia płuc!

Gdy ją poprawiałam w foteliku, spozrzała na mnie, jak mi się wydawało, z wdzięcznością. Wciągnęłam głęboo w nozdra słodki zapach jej główki i poczułam, jak przepływa przeze mnie fala ciepła.

Ciężarna kobieta odjechała, opierając się na poręczy wózka.

Jak ktoś mógł zostawić takie dziecko samo w wózku na zakupy? Przecież każdy mógł tu przyjść i je zabrać, wyrządzić mu krzywdę. Nie mogłam małej tak zostawić.

Postanowiłam zawieźć ją do którejś z kasjerek. Gdy tylko wózek ruszył, dziewczynka rozpogodziła się i zaczęła rozglądać dookoła, machając gołymi nóżkami, jak gdyby chciała nas pospieszyć w tej krótkiej jeździe. Wózek mknął gładko, prawie sam, do końca jednej alejki, a potem drugą, do linii kas od frontu sklepu.

I nagle oddalił się od kas, by ruszyć w stronę napisu „WYJŚCIE”, siedem jaskrawoczerwonych liter, szokujących w swej jednoznaczności. Powiedziałam sobie: zabiorę ją tylko na chwilę, żeby nie stała w tym zimnie. Mogłaby się przeziębici. I umrzeć. Powietrze na zewnątrz ją ogrzeje.

I wtedy kiedy za ledwie centymetry dzieliły nas od drzwi, rozległ się alarm, a ja zachowałam się tak jak zawsze, gdy ogarnia mnie panika – zamarłam. Podniósł się zgiełk, elektryczne dzwonki brzęczały i dzwoniły, dziecko zaczęło płakać. Podbiegła do nas kobieta w mundurze. Nagle poczułam się tak, jakbym wyślizgnęła się z własnego ciała i oglądała samą siebie na ekranie, zastanawiając się, jak ta historia się skończy.

Kobieta pachniała jaśminem i, o dziwo, takie właśnie imię miała wypisane na plakietce na piersi: „Jasmine, ochrona”. Jednak nie patrzyła na mnie oskarżycielskim wzrokiem, tylko przepraszaając.

– Chyba pani córeczka zapomniała zapłacić za to – powiedziała. Pochyliła się nad wózkiem i wyciągnęła z rampersa dziecka gumową kacuszkę. Ścisnęła zabawkę, która zapiszczała, dziewczynka przestała płakać i wróciłyśmy do jasnego, oczekującego na nas świata.

Kiedy ją odpinałam, słyszałam w uszach łomotanie własnego serca. Wyjęłam małą ostrożnie z wózka. Była cięższa, niż się spodziewałam. Kiedy przycisnęłam jej miękkie ciało do piersi, poczułam talk, zapach, którego nie wyczuwałam od lat. Masując jej plecki okrągłymi ruchami, żeby ją uspokoić – metoda, która mi pozostała po latach opiekowania się dziećmi – oparłam brodę na główce dziewczynki (zaborczy ruch, jaki często widywałam u matek) i wyszłam szybko – ale nie nazbyt szybko – przez drzwi, które otworzyły się automatycznie, żeby nas wypuścić. Nas! Och, bezmiar radości, jaki oznaczało to maleńkie słowo; jak szczęśliwa się poczułam, gdy nagle pojawiło się w mojej głowie.

Żar rozgrzanego powietrza był szokiem po chłodzie panującym w sklepie i to przejście z komfortu jednego miejsca w dyskomfort drugiego przywiodło mi na myśl proces narodzin, który często sobie wyobrażałam – chociaż nie w ten sposób.

## Jasmine

Nawet ją przeprosiłam. Boże, wybacz mi. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że jest porywaczką. To była moja pierwsza praca w ochronie. Mieli wymyślny system, dzieło sztuki, w które zainwestowali, bo bali się dużych ubytków – czyli kradzieży – ze względu na okolicę. Uprzedzono mnie, że system jest czuły, jeszcze do końca go nie rozpracowali. Powinnam była sprawdzać torby wszystkim, którzy uruchomili alarm, ale ta kobieta nie miała żadnych toreb. W ubranku dziecka zauważyłam kacuzkę. Miała naklejkę. Te naklejki ciągle się odklejały od jednej rzeczy, a przyklejały do innej, ta na kacuzszce nosiła napis WYST ŁAŻ. Pozwoliłam im odejść.

Tamtego dnia nie działały kamery. Coś się zepsuło. Nie wiedzieliśmy o tym aż do następnego ranka, kiedy ci z FBI poprosili o taśmy. Nie mieliśmy żadnego nagrania, żeby ją zidentyfikować, a ja niczego nie zapamiętałam poza tym, że była biała. Gdybym tylko zatrzymała ją na chwilę, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej, to właśnie powtarzałam sobie przez całe lata.

## Marilyn

Ile razy przeżywałam ponownie ów potworny dzień, dzień „wypadku”, jak go nazwał Tom, mój były mąż, prawie od razu dystansując się od tego nieszczęścia albo próbując się od niego zdystansować, jak gdyby przeszło na wskroś inną rodzinę, jakąś godną współczucia rodzinę z bardzo daleka, o której czyta się w gazecie.

Wcześniej zawsze sprzyjało nam szczęście. Oboje mieliśmy dobrą pracę, a właściwie taką, którą uważałam za dobrą w tamtych czasach, kiedy kariera i sukces finansowy były najważniejsze. Tom był prawnikiem na Wall Street, a ja dopiero co awansowałam na dyrektora sprzedaży w AT&T, jednej z dziesięciu najlepszych firm dla pracujących matek. Niedawno odnowiliśmy nasz dom w stylu kolonialnym w Cranford, w dobrej strefie szkolnej, a hipotekę spłaciliśmy już do połowy.

A także, co dawało nam najwięcej szczęścia, mieliśmy nowego członka rodziny. Cudowną, idealną dziewczynkę, Natalie. Tom myślał, że nazwałam ją tak po jego matce, ale ja w tajemnicy nadałam jej imię sekretarki mojego pierwszego przełożonego, dziewczyny, której sposób bycia i delikatne rysy wydawały mi się tak zniewalające, że przestawałam oddychać za każdym razem, gdy musiałam podejść do biurka szefa.

Tamtego ranka zasnęłam. Kusiło mnie, żeby później pominąć ten szczegół, kiedy opowiadałam wszystko policji i prasie. Pomyślałam, że wyjdę na leniwą, i obawiałam się, że ten szczegół – źle zorganizowana matka! – może uprzedzić do mnie ludzi i zwolnić tempo poszukiwań. Jednak nie ukryłam nawet tego okruczku wspomnień, na wypadek gdyby stanowił istotny element układanki. Już wtedy zaczynałam pojmować holizm wszechświata.

O 7:58 zadzwonił telefon, wyrrywając mnie ze snu. Pamiętam dokładną godzinę, ponieważ byłam w szoku, kiedy zobaczyłam cyfry na budziku, zmieniające się z cichym kliknięciem z 7:57 na niemożliwą 7:58, dawno po godzinie, o której zwykle budziłam Natalie, przewijałam ją, karmiłam i szykowałam dla Charu, która ubierała ją w rzeczy przyszykowane na przewijaku.

Policjantka chciała wiedzieć, co mi się śniło, ale jak mogłabym to pamiętać? W tamtych czasach nie przywiązywałam dużej wagi do snów i nie rozumiałam, co mogłyby mieć wspólnego z koszmarną rzeczywistością, jaka nas otoczyła.

Wciąż zasnęłam po telefon, przewracając kieliszek z winem, który stał na szafce nocnej. Nigdy nie udało mi się wywabić tej czerwonej plamy z dywanu, chociaż szorowałam ją każdym dostępnym środkiem. Kiedy rok później wystawiliśmy dom na sprzedaż, przesunęłam łóżko, żeby ją zakryć.

Na początku nie wiedziałam, kto dzwoni. Uruchomił się alarm drzemki w budziku i dzwonek był tak głośny, że nie słyszałam, kto jest po drugiej stronie. Najpierw pomyślałam, że to Tom dzwoni z biura, ale on wciąż jechał pociągiem, do którego wsiadł o 7:49, a telefon samochodowy

był poza jego zasięgiem, zamocowany w desce rozdzielczej nowego auta, stojącego na parkingu. Mógłby zadzwonić z pociągu jedynie przez telefon komórkowy, którego nie posiadał, praktycznie nikt nie miał takiego aparatu w tamtych czasach, nikt oprócz mnie. Firma dała mi go miesiąc wcześniej. W AT&T właśnie wdrażano program pozwalający matkom na pracę w domu. W ostatnim miesiącu mojego urlopu macierzyńskiego odwiedził mnie facet z IT i zamontował mi firmowy komputer, faks, a nawet przywiózł telefon komórkowy, nowy kompaktowy model, którym firma się szczyciła, ponieważ ważył mniej niż pół kilo. Mogę go przetestować dla działu badawczego, powiedział.

Pomyślałam, że może dzwoni matka Toma. Czasami telefonowała o dziwnych porach, może chciała odwołać ich przyjazd z Wirginii. Rodzice Toma mieli nas odwiedzić w najbliższy weekend, żeby zobaczyć dziecko. Już piątek! Przyjadą następnego dnia, a w domu należało jeszcze zrobić mnóstwo rzeczy. Chciałam im oddać naszą sypialnię, ale Tom uznał, że nie trzeba, że mogą spać w pokoju, którego oboje używaliśmy jako gabinetu do pracy. Pokój był gotowy, ale w łazience wciąż brakowało kilku drobiazgów: zasłony do prysznicza, chodniczka, wiszącej półki na kosmetyki. Zamierzałam wyskoczyć na chwilę i zrobić zakupy w Conran's, który znajdował się zaledwie kilka przecznic od biura AT&T na Czterdziestej Ósmej.

Kiedy usłyszałam głos Charu, serce mi zamarło. Skoro dzwoniła, to znaczy że nie przyjdzie, jak zwykle, o ósmej trzydzieści. Bez opiekunki miałam poważny kłopot – w każdym razie wtedy tak myślałam, nie wiedząc, czym naprawdę są poważne kłopoty. Bez opiekunki nie mogłam iść do biura, nie mogłam zatem pokazać raportu, który miałam zaprezentować na popołudniowym spotkaniu. Szef wybrał mnie, żebym przedstawiła tę prezentację za niego, i poprzedniej nocy nie spałam do drugiej, gdyż przestawiałam slajdy i ćwiczyłam słowa, których nauczyłam się na pamięć; słowa, które miały brzmieć spontanicznie, ale nie mogłam ich spontanicznie wypowiedzieć, ponieważ na samą myśl o publicznych wystąpieniach ciarki chodziły mi po plecach. Nie miałam wtedy pojęcia, że te ćwiczenia przygotowują mnie do pierwszego w życiu występu w telewizji.

Kiedy rozmawiałam z Charu, obudziła się Natalie. Słyszałam przez elektroniczną nianię piosenkę, którą sobie śpiewała po przebudzeniu. Wiedziałam dokładnie, ile ta piosenka potrwa – trzy minuty. Trzy minuty akurat wystarczą, żeby zadzwonić do biura i powiedzieć, że nie przyjdę. Bałam się to zrobić. Raport był ważny. Gdyby prezentacja dobrze wypadła, mogłabym dostać nowe zlecenie, o które się starałam. Oczywiście pod koniec tamtego dnia dalsza kariera nie miała już dla mnie żadnego znaczenia.

Skończyłam rozmowę z Charu. Nie byłam na nią zła, jak mówiono w wiadomościach. Czyż mogłabym się na nią złościć? To nie jej wina, że syn zachorował i nie mogła przyjść. Byłam zła na siebie, że nie miałam do kogo zadzwonić z prośbą o pomoc. Naturalnie mogłam wziąć opiekunkę z agencji, ale nie chciałam zostawiać czteromiesięcznego niemowlęcia z kimś, kogo widzę pierwszy raz w życiu. Oczywiście później żałowałam z całego serca, że nie zadzwoniłam do agencji.

Zostawiłam wiadomość sekretarce, że nie przyjdę. Mój szef nie będzie uszczęśliwiony, ale co mogłam zrobić? Zabrać czteromiesięczną córeczkę ze sobą i mieć nadzieję, że nie stoczy się ze stołu podczas prezentacji? Podobno teraz firmy zatrudniają w biurach opiekunki do dzieci, ale w 1990 roku nikomu nawet się o tym nie śniło.

Wciąż sprawia mi ból wspomnienie, jaka byłam rozrzucona przy Natalii tamtego ranka, który okazał się ostatnim spędzonym razem w ciągu następnych dwudziestu jeden lat. Patrząc na dawną, nieświadomą mnie, jak wyjmuję moje dziecko z łóżeczka, myśląc nie o małej, tylko o konsekwencjach tego, że muszę się nią zająć, i mam ochotę wyciągnąć rękę, by potrząsnąć sobą, wrócić do rzeczywistości.

Gdybym mogła odzyskać minutę mojego dawnego życia, wybrałabym tę, kiedy położyłam Natalię na winylowym prześcieradku przewijaka i posypywałam ją talkiem, podczas gdy mała gaworzyła i kopała, zanim założyłam jej ostatnią pieluchę. Wtedy mogłabym spojrzeć na moją córeczkę, naprawdę na nią popatrzeć, gdy zapinałam guziczki jej nowego rampersa. Napawałabym się słodkim zapachem jej główki, kiedy brałam córeczkę w ramiona po raz ostatni w jej dzieciństwie. Skupiłabym na niej całą uwagę, zamiast myśleć o wszystkim innym: o raporcie w pracy, o domu, o wizycie rodziców Toma. Nie. Gdybym mogła wrócić do którejkolwiek wcześniejszej minuty, oczywiście wybrałabym tę, kiedy zostawiłam Natalię samą w sklepowym wózku. Do tej minuty wróciłabym, żeby ją odmienić.

Tamtego ranka pracowałam przy stole w jadalni, a uszczęśliwiona Natalia kołysała się w huśtawce obok mnie. Uwielbiała bujać się do przodu i do tyłu. Dopiero co pojawiły się huśtawki na baterie; Tom i ja nazywaliśmy ją maszyną czasu, ponieważ umieszczenie w niej Natalii dawało nam co najmniej dwadzieścia minut swobody. Sądziłyśmy, że mamy z naszą córeczką cały czas świata. Siedziała w tej huśtawce z błogą miną, słuchając elektronicznej wersji *It's a Small World*, i wbijała oczy w jakiś niezrozumiale fascynujący przedmiot: gałkę od szafki, mokrą płamę na listwie przypodłogowej. Na twarzyczce dziewczynki pojawiał się półuśmiech, Natalia zaczynała się przechylać w jedną stronę, przyjmując pozycję, która wydawała się niewygodna, ale jej chyba nie przeszkadzała. Złościła się, kiedy ją poprawiałam, i wkrótce znowu się przechylała, a jej powieki opadały niżej i niżej, aż zasypiała.

Podczas gdy Natalia kołysała się jak w transie, ja siedziałam obok przy stole i próbując nie słyszeć muzyki, po raz ostatni sprawdzałam liczby do prezentacji, którą miałam wysłać faksem. Wystarczy, że nie mogłam tam być, nie chciałam, żeby jeszcze na dodatek liczby się nie zgadzały, przez co wypadłabym jeszcze gorzej.

Natalia zasnęła koło dziesiątej, ale obudziła się marudna, więc zrobiłam to, co zawsze ją uspokajało: ulokowałam ją w foteliku samochodowym i wybrałam się na przejażdżkę. I tak przed jutrzejszym przyjazdem rodziców Toma musiałam kupić kilka rzeczy do łazienki w korytarzu.

Sklep Ikea otwarto niedawno i chciałam tam wyskoczyć na inauguracyjną wyprzedaż, ale nie wiedziałam, jak dojechać. To było jeszcze, zanim zrobiono specjalny zjazd z autostrady. Okolica była prawie niezabudowana i sklep stał ukryty przy jakiejś trudnej do znalezienia, bocznej uliczce. Kiedy nagle, zupełnie przypadkiem, obok niego przejechałam, pomyślałam, że to mój szczęśliwy dzień.

## Charu

Gdybym tamtego dnia przyszła do pracy, ta straszna rzecz by się nie stała. Zawsze będę tego żałować. Ale mój syn miał tylko sześć lat i dostał gorączki, i mógłby zarazić czteromiesięczne niemowlę. Nie mogłam wziąć go ze sobą. Zwykle moja siostra pilnowała Ranniego, kiedy musiał zostać w domu, ale Vina wróciła do naszego kraju, żeby zamieszkać z rodzicami. Ojciec był chory i mama potrzebowała córki, żeby jej przy nim pomogła.

Mój mąż miał dzienną zmianę w fabryce, ale nawet gdyby był w domu, nie mógłby się zająć chorym dzieckiem. To mężczyzna, który nie potrafiłby się zaopiekować nawet sobą w chorobie.

Marilyn zadzwoniła do mnie w porze lunchu, gdy akurat próbowałam nakarmić Ranniego, i nie słyszałam, co do mnie mówiła. Strasznie płakała, a jej głos zanikał, wiedziałam więc, że nie dzwoni z domu, tylko z telefonu komórkowego, który był wówczas nowością. Na początku myślałam, że chce wiedzieć, czy przyjdę jutro, ale ona zapytała, czy jest ze mną Natalie. Wtedy od razu zaczęłam się bać. Bo jeśli córeczka Marilyn nie jest z Marilyn, to gdzie jest?

Potem zadzwoniła pani z policji i zadawała mi pytania: kim jestem, gdzie mieszkam, ile mam dzieci? Chciała wiedzieć, czy od razu może przyjść tam, gdzie jestem. Nie chciałam, żeby przychodziła, bo w piątek i sobotę sprzątam, więc dom nie wygląda zbyt dobrze, ale wiedziałam, że nie mogę powiedzieć „nie”. Cieszyłam się, że mam już specjalną wizę.

Wyjęłam tę wizę i położyłam na stole, żeby policjanci wiedzieli bez pytania, że jestem tu legalnie i że nie mają o co mnie wypytywać, jak już zobaczą, że nie zabrałam tego dziecka.

Myślę, że to by się nigdy nie stało, gdybym to ja wtedy opiekowała się Natalie. Bo zajmowanie się dzieckiem to moja praca i ta moja praca była dla mnie ważna, dla mojej rodziny. Ale zajmowanie się dzieckiem nie jest pracą Marilyn. Ona miała swoją pracę w biurze. Tamtego dnia próbowała ją wykonać dobrze, jak ja.

Czasami dziecku jest lepiej z kimś, komu się płaci za opiekę.

## Marilyn

Wyjęłam Natalie z fotelika w aucie, włożyłam do nosidełka i popędziłam przez parking, żeby jak najszybciej zejść z tego piekielnego skwaru. W sierpniu w New Jersey jest jak w piecu, nawet goręcej niż latem tutaj, w San Mateo, gdzie nawet w upał czuje się powiew od zatoki.

Słyszałam, że Ikea zapewnia opiekę nad dziećmi, i gdy tylko weszłam do sklepu, zobaczyłam salę z piłkami. Tylko że Natalie była za mała, żebym mogła ją tam zostawić. Miała dopiero cztery miesiące, jeszcze nawet nie potrafiła siedzieć. Za salą z piłkami stały rzędy poszczepianych ze sobą jaskrawoczerwonych wózków. Znalazłam taki z fotelikiem dla dziecka i wyjęłam ją z nosidełka. Do dziś wspominam z bólem, jaką ulgę poczułam, gdy już nie musiałam dźwigać mojego dziecka.

Wiedziałam, że nie mam dużo czasu na zakupy, bo mała długo nie usiedzi spokojnie. Spojrzałam na zegarek: wpół do pierwszej. Pamiętam, pomyślałam, że prezentacja zacznie się za godzinę, beze mnie.

Pchałam wózek z Natalie po szerokich alejkach, a dziewczynka rozglądała się ciekawie dookoła, zafascynowana kolorowymi przedmiotami: lśniącymi, aluminiowymi garnkami, rękawicami kuchennymi w kształcie zwierząt, pastelową zastawą. Kiedy mijałyśmy wieżę z tosterów, zamachała energicznie małymi nóżkami, więc przystanąłam, żeby sprawdzić, czy rozpozna siebie w ich odbiciu. Zobaczenie siebie w lustrze byłoby milowym krokiem w jej rozwoju. Wydawało mi się, że poznała siebie w jednym z tosterów, ale nie byłam pewna. Ruszyłam dalej, jej odbicie w metalu zaczęło się krzywić i wiedziałam, że mała zaraz się rozplacze. Sięgnęłam po jedną z gumowych kaczuszek stojących w szeregu na półce i dałam córeczce. Natalie natychmiast przyssała się do jej głowy. Czy to jest czyste? zastanowiłam się i uznałam, że tak. Wszystkie przedmioty wokół nas lśniły, jakby dopiero co zostały wyjęte ze szczelnego opakowania.

Wtedy zobaczyłam to, po co przyszłam – zasłony prysznicowe. Kolorowe kaskady materiału falowały w podmuchach powietrza z umieszczonych na suficie wentylatorów. Wyciągnęłam rękę, żeby którejś dotknąć, kiedy torba na moim ramieniu zaczęła dzwonić. Mój telefon komórkowy! Był wielki jak cegła, więc bez trudu go znalazłam nawet w ogromnej torbie wypchanej mnóstwem rzeczy, które zabierałam ze sobą za każdym razem, gdy wychodziłam z dzieckiem.

Aparat nie miał ekranu, ale wiedziałam, że dzwonią z biura. Tylko oni telefonowali pod ten numer. Wyciągnęłam antenkę, żeby odebrać połączenie. Ledwo mogłam zrozumieć słowa szefa, ale wyraźnie słyszałam, jak bardzo jest poirytowany. W prezentacji zauważono jakieś błędy. Na jednym ze slajdów brakowało liczb. I nagle znalazłam się z powrotem w biurze, gdzie powinnam była teraz pracować. Czy wiedziałam...? Słucham? Nie słyszałam pytania, tylko złość



szefa.

– Halo? – powtarzałam w kółko, posuwając się do przodu, żeby zmniejszyć dystans między nami, próbując go udobruchać, zapewnić, że zawsze jestem pod ręką, gotowa dostarczyć wszystkich niezbędnych informacji.

## Marilyn

Z początku nic mnie nie zaniepokoiło. Nacisnęłam guzik, żeby się rozłączyć, ale jeszcze nie wróciłam do otaczającego mnie świata, myślami nadal byłam w biurze, rozważałam to, co mówiłam, i zastanawiałam się, co powinnam była powiedzieć. W odległej części sklepu rozległ się dźwięk alarmu i to on przywrócił mnie do rzeczywistości – dopiero potem zdałam sobie sprawę, co ten alarm oznaczał.

Zobaczyłam, że odeszłam od swojego dziecka.

Zostawiłam moją Natalie samą! Zimny pot wystąpił mi na czoło. Pobiegłam do miejsca, gdzie byliśmy, kiedy zadzwonił telefon. Wózek zniknął. Na widok alejki bez niego, jej przepastnej pustki poczułam się tak, jakby ktoś wymierzył mi cios w żołądek. Wpatrywałam się i wpatrywałam w miejsce, gdzie powinien znajdować się wózek, w którym zostawiłam Natalie, odwracałam wzrok, a potem znowu tam patrzyłam, myśląc, że oczy mnie zawodzą, że tak naprawdę ona tam jest.

Może pomyliłam miejsca. Pobiegłam za róg, w inną alejkę. Tam też nie było mojego dziecka, ani tam, ani tam. Uniosłam dłonie do gardła. Czułam, jak pieką mnie oczy.

Czy wózek mógł sam odjechać? A może ktoś, w pośpiechu, nie zwracając uwagi, zabrał mój wózek razem z Natalie przez pomyłkę? Żołądek podchodził mi coraz wyżej. Wyobraziłam sobie moją córeczkę na rękach kogoś obcego.

Nie wyciągaj pochopnych wniosków, nakazałam sobie. Prawdopodobnie ktoś, kto zobaczył dziecko bez opieki, zawiózł je do obsługi. Za chwilę usłyszę komunikat z głośników: „Rodzice niemowlęcia proszeni są o zgłoszenie się do ochrony”. I właśnie wtedy rozległ się gong: „Uwaga, szanowni klienci”. Ale ogłoszenie dotyczyło wyprzedaży.

Mój umysł przyspieszył i tak pamiętam, co działo się potem, chociaż oczywiście to nie mogło tak wyglądać: widzę siebie, biegającą po alejkach przez całą wieczność. W sklepie nie ma absolutnie nikogo poza mną, chociaż, oczywiście, tak nie było. Jestem tylko ja i stukot moich obcasów, coraz szybszy, gdy coraz bardziej zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, co się stało. Moje ręce co chwila unoszą się do pustego nosidełka na piersi. Za każdym razem gdy go dotykam, mam nadzieję, że dziecko jakimś cudem tam się znajdzie. Biegnę w stronę kas i nagle widzę ludzi stojących w kolejkach. Odwracają ku mnie twarze, a ja patrzę, czy ktoś trzyma na rękach dziecko. Nikt. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że ich oczy patrzą na mnie z dezaprobatą, a usta wypowiadają jakieś słowa, ale jedyny dźwięk, jaki słyszę, to czyjś nieartykułowany wrzask. I potem zdaję sobie sprawę, że to ja krzyczę.

Przestaję i próbuję się pozbierać, dla dobra Natalie. Próbuję odzyskać wygląd spokojnej, miłej, normalnej kobiety, jaką byłam jeszcze kilka minut temu, kiedy wchodziłam do sklepu. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że już nigdy nie będę tamtą kobietą.

Mówię głośno, ale powoli, artykułując starannie, żeby nikt nie miał wątpliwości co do słów, które muszę wypowiedzieć:

– Niech ktoś. Mi pomoże. Moje dziecko. Zniknęło.

## Lucy

Gdyby płakała, odniosłabym ją do sklepu. Ale ona nie płakała, nie wtedy, na początku.

Przytulając ją do siebie, szłam chwiejnie między zaparkowanymi samochodami w poszukiwaniu mojego nissana. Krew tętniła mi w uszach. Parking wydawał się trzy razy większy, kiedy tak szukałam auta, pojawiałam się i znikalam między wielkimi bryłami metalu, przyciskając małą mocno do siebie, jakbym chciała ją osłonić przed niebezpieczeństwem, jak gdyby któryś pusty zaparkowany samochód mógł nagle ruszyć i nas rozjechać.

Jeszcze nie przypuszczałam, że zabiorę to dziecko. Jeżeli w ogóle myślałam, sądziłam, że tylko je pożyczam. Chciałam zatrzymać ją jedynie na chwilę, a potem oddać, zwrócić, jak gdyby nic się nie stało. Oczywiście teraz brzmi to niedorzecznie, nawet dla mnie.

Kiedy dotarłam do samochodu, posadziłam małą na biodrze, a wolną ręką szukałam w torebce kluczyków. Manewr wymagał zachowania równowagi i spowodował bolesne napięcie mięśni brzucha. Zdziwiłam się, że macierzyństwo jest tak fizycznie wymagające jak wyczyn atletyczny, do którego nie zostałam wytrenowana. Otworzyłam tylne drzwi i delikatnie położyłam dziewczynkę na siedzeniu. Stałam, wpatrując się nią; była taka idealna: buzia w kształcie serca, długie rzęsy, cudownie różowe paznokietki tłusciutkich, małych paluszków u stóp. Leżała na plecach, patrząc na mnie oczami pełnymi mądrości i zrozumienia, jakbyśmy miały wspólny sekret, niedostępny dla reszty świata.

W oddali zawyły syreny. Kolana mi zadrżały. Dziewczynka zaczęła poruszać rączkami, jakby je załamywała, jakby i ona myślała: Co robić? Co teraz robić?

– Wie pani, że to niezgodne z prawem. – Moje serce zaczęło tłuc o żebra. Odwróciłam się i zobaczyłam starszą kobietę, która przyglądała mi się znad okularów na przyczepionym łańcuszku, zwisającym jej z szyi. – Takie małe dziecko powinno jeździć w foteliku. – Nie czekała na moją odpowiedź, a gdy jej sztywno wyprostowane plecy zniknęły z pola widzenia, wszystko we mnie zadrżało. A jeśli zamierzała na mnie donieść?

Nie mogłam tam tak stać. Musiałam coś zrobić. Na tylnym siedzeniu leżały poskładane ręczniki plażowe. Delikatnie osuszyłam jednym z nich szyję i klatkę piersiową dziecka, wytarłam śliniaczek, żeby mokra bawełna nie dotykała skóry. Potem wzięłam dziewczynkę razem z ręcznikami na ręce, zamknęłam biodrem tylne drzwi i otworzyłam przednie od strony pasażera. Uwiłam na siedzeniu gniazdko z ręczników i położyłam małą delikatnie, jakby była jajkiem.

Ulokowałam ją tak, żeby jej głowa znajdowała się jak najdalej od drzwi. Pomyślałam, że tak będzie najbezpieczniej, gdyby wydarzył się jakiś wypadek. Ale nie będę miała wypadku. Muszę jechać bardzo powoli, ostrożniej niż kiedykolwiek w życiu.

Zabezpieczyłam malutkie ciało pasami, a także elastycznymi gumami, które wozila

w bagażniku. Kiedy to robiłam, dziewczynka uśmiechała się i machała tłustymi rączkami i nóżkami, jak gdyby wybaczała mi te więzy, wiedząc, że to dla jej dobra, i pokazywała, że nie są zbyt ciasne.

Ostrożnie zamknęłam drzwi, dwa razy, dla pewności, że się nie otworzą, po czym obesłam samochód i usiadłam za kierownicą. Zapięcie pasa zajęło mi całą wieczność. Ręce mi się trzęsły. Syrena wyła coraz głośniej. Nie czułam palców, jakby odłączyły się od mojej dłoni, ale udało mi się odzyskać nad nimi kontrolę na tyle, żeby przekręcić kluczyk i włączyć silnik. Powoli ruszyłam do przodu, lekko przyciskając stopą pedał; prawą ręką przytrzymałam małą, żeby nie spadła na podłogę, chociaż nie było możliwości, żeby wypadła z pajęczyny, którą dla niej uplotłam.

Nie włączyłam klimatyzacji, nie chciałam, żeby dmuchało na nas chłodne powietrze. Zamiast tego otworzyłam okna. Pot ściekał mi po karku, ale w środku czułam lodowate zimno. Powoli wycofałam samochód z miejsca parkingowego. Nigdy nie byłam tak świadoma obecności drugiej istoty – jej miękkiego ciężaru na siedzeniu obok mnie, główki na poduszce z ręcznika frotté, szeroko otwartych oczu, chłonących nowe otoczenie.

Kiedy wyjechałam na autostradę, syreny rozbrzmiały jeszcze głośniej, a mnie zacisnęło się gardło. Może dziewczynkę też przestraszyły syreny albo wyczuła moje przerażenie. Zaczęła płakać, na początku cichutko, a potem na cały głos, kopiąc podłokietnik, żeby podkreślić swoje niezadowolenie.

– Już niedaleko, maleńka – zapewniłam, głaszcząc ją po policzku prawą ręką, chociaż nie miałam pojęcia, dokąd jedziemy.

Moją jedyną myślą było, żeby oddalić się od sklepu. Trochę mocniej nacisnęłam stopą na pedał. Podążałam w kierunku domu, ale nie zamierzałam jej tam zabierać. Gdybym zawiozła ją do mnie, byłoby to tak, jakbym ją ukradła, a przecież wcale nie zamierzałam kraść tego dziecka. Nigdy w życiu niczego nie ukradłam. Nigdy nie złamałam prawa. Nigdy nawet nie oderwałam firmowej metki w sklepie!

Samochody wyprzedzały nas z obu stron (byłam na tej drodze jedynym kierowcą, który nie przekraczał dozwolonej prędkości), a ja czułam się tak, jakby czas się zatrzymał dla wszystkich na naszej planecie poza tym dzieckiem i mną, jakbyśmy się znalazły w bajce, która pozwala nam przez chwilę żyć poza jego zasięgiem.

Miałam dziwne uczucie, jakbym jednocześnie siedziała za kierownicą i jakby mnie tam nie było. Patrzyłam na wszystko jak gdyby z dwóch stron: raz widziałam przez przednią szybę ruch drogowy przede mną, a raz drogę z góry i mój mały niebieski samochód, zmierzający ku... jakiejś katastrofie, stromemu urwisku, nieuniknionej krawędzi klifu. W uszach mi szumiało, gdy wiozłam nas coraz dalej i dalej, ku niewiadomej.

Wtedy wydarzyło się coś dziwnego, usłyszałam kojący głos mojej szkockiej babki. Śpiewała. To była celtycka kołysanka, babcia śpiewała mi ją, kiedy byłam dzieckiem, i zdałam sobie sprawę, że głos, który słyszę, należy do mnie. Nie śpiewałam tej piosenki od dziesięcioleci, ale czułam się tak, jakbym przez cały czas miała ją na końcu języka, jakbym tylko czekała, żeby usłyszało ją to dziecko. Słowa przychodziły same, chociaż nawet nie wiedziałam, że je pamiętam:

*Fhuair mi lorg and eich's phairc*

*Fhuair mi lorg na h-eal' air an t-snàmh.*

Kołysanka uspokoiła dziewczynkę. Oderwałam wzrok od drogi, żeby sprawdzić, co robi. Podziwiała swoje maleńkie piąstki, otwierała je i zamykała, jakby próbowała chwytać unoszące

się w powietrzu słowa.

Zacząłam szukać miejsca do zaparkowania. Potrzebowałam czasu do namysłu. Poza tym chciałam porozmawiać z małą. Wtedy byłam pewna, że nasz wspólny czas wkrótce dobiegnie końca, i chciałam jak najlepiej wykorzystać chwile, które nam zostały. Ale dokąd pojechać? Garden State to ruchliwa arteria. Nie mogłam po prostu zjechać w boczną ulicę i zatrzymać się przy krawężniku, gdyż zaraz zatrzymałby się przy mnie radiowóz albo miłosierny Samarytanin, zadający pytania. Żałowałam, że samochód nie może unieść się ponad wzgórze wyrastające przy autostradzie i zabrać nas w zieloną głąszę, gdzie w samotności mogłybyśmy się cieszyć wydzielonym nam czasem.

Na przedmieściach trudno znaleźć odosobnienie, co zaskakuje mieszkańców, którym się wydaje, że mieszkańcy przedmieść wiodą samotne, sielskie życie – to wyobrazenie nie mogłoby bardziej mijać się z prawdą. Przedmieścia zostały zbudowane na solidnej opoce wiary w uzdrawiającą moc wspólnoty: publiczne parki, publiczne baseny, publiczne plaże, hale i tereny zielone. Prawie nie ma możliwości wycofania się z tłumu, nawet za drzwiami własnego domu. Sąsiedzi dzwonią dzwonkiem do drzwi bez zastanowienia, tak samo jak wszelakiej maści dostawcy, domokrażcy, maniacy religijni albo kandydaci polityczni.

Dokąd mam jechać? Nie mogłam zebrać myśli. Jak gdyby ktoś wiercił mi otwór w głowie wiertarką udarową. Lecz kiedy zobaczyłam drogowskazy kierujące do Maplewood, nagle mnie olśniło. Zjechałam z autostrady na drogę prowadzącą do ukrytego szlaku, tam, gdzie kiedyś zabrał mnie Warren. Lubił chodzić. Miał mnóstwo butów (może nadal ma), a każda para przeznaczona była na inne podłoże: jedna na wędrowki po skałach, druga na marsz po płaskim terenie, kolejna do wspinania się na wzgórze. Warren przeszedł w New Jersey sto dziewiętnaście szlaków, a zamierzał przejść wszystkie. Jego ulubiony trakt prowadził do wodospadu i mój były mąż zabrał mnie tam kilka razy. Szlak miał boczne przejście, o którym niewiele osób wiedziało. Skręciłam w ukrytą przecinkę, zaparkowałam, ostrożnie poodpinałam pasy i wyjęłam dziecko z samochodu.

W słońcu panował potworny upał, więc osłaniałam dłonią główkę dziewczynki, dopóki nie doszliśmy do chłodnego zacisza drzew, gdzie temperatura była niższa o dobrych kilka stopni. Niosłam małą na biodrze, przytrzymując ją obiema rękami, gdy lawirowałam między wybojami, zadowolona, że rano włożyłam wygodne buty. Miałam nadzieję, że miejsce, które pamiętałam, nadal tam jest: stół z pnia sekwoi, a wokół niego sosnowy zagajnik. Wspięłam się na wzgórze i serce mi podskoczyło – stół nadal tam był.

Powietrze było ciężkie od słodyczy, kiedy siedziałam z dziewczynką na twardej ławce. Zaczerpnęłam kilka głębokich oddechów, żeby serce przestało mi tak szybko bić, po czym zaczęłam mówić. Nie gruchałam, jak mają w zwyczaju matki. Mówiłam do małej słowami płynącymi prosto z serca, a ona patrzyła na mnie z mądrą, pełną współczucia miną, jak przyjaciel, który wie, że potrzebujesz się wygadać. Opowiadałam jej o majestacie natury, o pięknym śpiewie ptaków, o fragmentach błękitu prześwitujących między konarami, które wznosiły się nad nami niczym ramiona gigantycznego wartownika, chroniącego nas przed całym światem. Mówiłam jej, jak bardzo pragnęłam mieć dziecko. Powiedziałam, jaką jest śliczną dziewczynką. Przyznałam się, że bardzo chciałabym ją zatrzymać, ale zapewniłam, że oddam ją mamie. Nie mogłabym znieść myśli o rozpaczach jej matki. Opowiedziałam, jak bardzo żałuję, że nie mogę jej zatrzymać, a wtedy zaczęła grymasić i zastanawiałam się, czy nie próbuje mi czegoś powiedzieć: że chce, bym ją zatrzymała, żebym jej nie oddawała.

Pomyślałam o dziecku, które straciliśmy z Warrenem, i zastanawiałam się, czy niemożliwe

stało się możliwe i to dziecko było tamtym, które teraz do mnie wróciło. Może matka źle się nią opiekowała, była niezaradna, okrutna albo w inny sposób nie nadawała się do tej roli. Jednak okrągłe, rumiane policzki dziewczynki i starannie wyprasowany śliniaczek wyraźnie pokazywały mi, że nie mam racji. Mała zaczęła płakać. Wydała cichy, stłumiony jęk. Wzięłam ją na ręce i stałam, kołysząc się w przód i w tył na miękkim dywanie z sosnowych igieł. Śpiewałam jej. Mój głos wydawał się ją uspokajać. Ptasi chór towarzyszył mi niczym echo, nucąc smutne pieśni, jakby łączył się ze mną w smutku. Poczekaliśmy, aż mała zasnęła na moim ramieniu, aż jej oddech stał się spokojny i regularny. Wtedy zaniósł ją, ostrożnie omijając kamienie na drodze, z powrotem do samochodu.

Położyłam ją, nadal śpiącą, na przednim siedzeniu w gniazdku z ręczników i ponownie przypięłam pasami i gumami.

Z ciężkim sercem zamknęłam drzwi od strony pasażera, obesłam samochód i usiadłam za kierownicą. Nasza wspólna podróż dobiegła końca. Musiałam odwieźć dziecko.

Gdy podniosłam klucz do stacyjki, zaśnił w nim promień słońca i może to ten błysk w półmroku auta rozjaśnił mgłę zasnuwającą mój umysł i przywrócił mi rozum. Jak miałabym ją oddać? Wejść do sklepu i odnieść ją do punktu zwrotu towarów? Zostanę aresztowana, kiedy tylko przekroczę próg Ikei. O zniknięciu dziecka na pewno mówią już w wiadomościach. Czy tamta kobieta w okularach zapamiętała moje numery rejestracyjne? Może policja już mnie namierzyła? Czy już jestem poszukiwana, czy podano moje nazwisko do wiadomości publicznej? Podniosłam rękę do radia, ale postanowiłam go nie włączać. Nie tylko dlatego, że dziewczynka spała i nie chciałam, żeby dźwięk ją obudził. Nie chciałam usłyszeć wiadomości o jej zniknięciu. Nie chciałam poznać imienia, które nie ja jej nadałam. Wtedy to, że ją zabrałam, stałoby się prawdą.

Kiedy chodziłam do szkoły, jedna z zakonnice czytała nam historię o żołnierzu w pociągu. Nie pamiętam, kto ją napisał, ale opowieść pamiętam do dziś. Żołnierz dostaje przepustkę, żeby pojechać do chorej żony, i na chwilę przed tym, zanim wsiądzie do pociągu, otrzymuje telegram. Wie, że to zła wiadomość, ale nie otwiera koperty. Przez całą drogę zanudza współpasażerów opowieściami o swojej żonie – jaka jest piękna, miła i dobra – cały czas mając w kieszeni nieotwartą kopertę. Zdaje sobie sprawę, że gdy tylko ją otworzy, jego żona odejdzie.

Tak właśnie się czułam w tamtej chwili. Chciałam odizolować się od informacji o tym, co zrobiłam, rozciągnąć nasz czas, pozostając poza nim, w miejscu, w którym nie obowiązują prawa wszechświata, i udawać, jak długo będę mogła, że ta mała istotka na siedzeniu obok należy tylko do mnie.

Nie podejmując żadnej świadomej decyzji, pojechałam do domu, do Montclair. Gdzie indziej mogłabym pojechać? Kiedy już tam dotrę, zdecyduję, co zrobić. Minęłam zjazd do Oranges, potem do Bloomfield. Pot ściekał mi po szyi. W samochodzie było tak gorąco, że koszula przylepiła mi się do pleców. Pot perlił się na skroniach i nad górną wargą dziewczynki, ale nadal spała spokojnie na fotelu obok mnie. Otworzyłam okna, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

Poza otwarciem okien oderwałam dłoń od dziecka tylko raz, na podjeździe przed domem, żeby nacisnąć guzik na pilocie otwierającym garaż. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nami, oddzielając nas od jaskrawego, bezlitosnego popołudniowego słońca, poczułam się tak, jakbyśmy znalazły bezpieczne schronienie w jaskini Ali Baby.

Złożyłam głowę na kierownicy i zaniósł się płaczem. Byłam tak wykończona fizycznie, jakbym właśnie przebiegła maraton. Potrzebowałam czasu, musiałam zebrać siły, postanowić, co

mam teraz zrobić. Szlochałam cicho, żeby nie obudzić małej, nie chciałam, by widziała moją rozpacz. Jej uniesione małe ramiona tworzyły aureolę wokół jej głowy.

Biłam się z myślami, czy zabrać dziewczynkę do domu, czy nie. Przywiezienie jej do domu wydawało się krokiem prawie tak doniosłym, jak wyniesienie ze sklepu. Z jakiegoś powodu siedzenie z małą w aucie wydawało mi się mniejszym przewinieniem niż wniesienie jej do środka. Gdyby złapano mnie z nią w samochodzie, mogłabym powiedzieć, że ją gdzieś znalazłam i właśnie zamierzam oddać. „Zrobiłam tylko to, co należy, panie władzo”. Chociaż nie. Nie mogłabym skłamać, że to nie ja zabrałam ją ze sklepu. „Jasmine, ochrona” na pewno by mnie rozpoznała. Powiedziałabym, że wzięłam dziecko dla jego własnego dobra – w sklepie panowało lodowate zimno i dziewczynka była niebezpiecznie wychłodzona – a teraz właśnie jadę ją oddać. Tak długą zwłokę mogłabym wytłumaczyć... brakiem orientacji w terenie – po prostu się zgubiłam. Każdy, kto mnie zna – moi koledzy z pracy, były mąż – potwierdzą, że mam fatalną orientację w terenie. Dopóki siedziałam z dzieckiem w samochodzie, nadal byłam w drodze, ku nieznanemu celowi i z intencjami, których nikt nie zdołałby mi udowodnić. Ale kiedy wyjmę ją z samochodu i przeniosę przez próg, cóż, moje zamiary nie będą podlegały żadnej wątpliwości.

W aucie zrobiło się gorąco i duszno. Dziewczynka się obudziła. Nachyliłam się nad nią, a ona wpatrywała się w moją twarz, jakby próbowała ją dopasować do osoby. A potem się uśmiechnęła, jakby mnie poznała. Wezbrały we mnie emocje, jakby ktoś przerwał tamę. Uśmiech małej zamienił się w grymas i poczułam feter. Zaczęła płakać i nagle zawilości nękających mnie dylematów zniknęły. Już wiedziałam, co mam zrobić. Wszystko stało się bardzo proste. Dziecko czegoś potrzebowało, ja musiałam coś dla niego zrobić. I zadziałałam wiedziona impulsem, który odtąd kierował moimi poczynaniami przez resztę życia: dałam dziewczynce to, czego potrzebowała. Teraz potrzebowała świeżej pieluszki. Stało się jasne, jak mam postąpić. Tak wygląda rzeczywistość opieki nad małymi dziećmi – one bez przerwy czegoś wymagają, w ciągu całego dnia trzeba podjąć w ich imieniu tyle decyzji, że rzadko jest czas, by zatrzymać się na chwilę i objąć wzrokiem całość, którą ja z powodzeniem ignorowałam przez te wszystkie lata.

Wysiadłam z samochodu i obeszłam go dookoła. Otworzyłam drzwi, wypięłam małą z pasów. Wzięłam ją na ręce i ruszyłam, bez wahania czy wątpliwości, korytarzem prowadzącym z garażu do drzwi kuchennych. Jednak gdy przeniosłam stopę z cementu na linoleum, poczułam mdłości. Moje nogi realizowały decyzję, której reszta mnie jeszcze nie podjęła.



## Marilyn

Ochrona sklepu wezwała policję, ja zadzwoniłam po Toma i powódź błękitnych mundurów potwierdziła to, co niemożliwe – moje dziecko zostało porwane.

Zabrano mnie do pomieszczenia na tyłach sklepu. Otworzyły się jakieś drzwi i nagle lśniąca alejki pełne kolorowych przedmiotów zostały zastąpione ponurymi, szarymi ścianami. W pokoju brakowało powietrza. Nie było tu okien, czułam, że nie mogę oddychać. Detektyw zaczął mi zadawać pytania: kiedy zdałam sobie sprawę, że moje dziecko zniknęło? Kiedy widziałam córeczkę po raz ostatni? Czy kiedykolwiek wcześniej ją zgubiłam? W mojej głowie roiło się od potwornych obrazów. Nie potraficie sobie wyobrazić, jakie to uczucie, kiedy torturujesz się myślami o tym, co się dzieje z twoim dzieckiem, podczas gdy przepytują cię, jakbyś to ty była przestępcą, a ten, kto ją zabrał, jedzie sobie spokojnie coraz dalej i dalej.

Teraz już wiem, że przesłuchiwanie rodziców zaginionego dziecka, jakby to oni byli porywaczami, jest standardową procedurą, ale wtedy tego nie wiedziałam. Cierpiałam katusze, zdając relację z każdej minuty mojego dnia przed wściekłym detektywem. Posadzono mnie w pokoju, oddzielając od Toma, który odpowiadał na te same pytania, żeby tamci mogli sprawdzić, czy nasze odpowiedzi się pokrywają. W pewnym momencie przestałam mówić, przestałam rozumieć, o co mnie pytają. Głosy stały się zbyt ciche, bym je słyszała, a potem zrobiły się ogłuszająco głośne. Musiałam patrzeć w skupieniu na usta, żeby zrozumieć znaczenie słów.

Pokryli proszkiem do zbierania odcisków palców gumową kaczuszkę – ostatnią rzecz, jaką dałam swojej córeczce. Mężczyzna w białym fartuchu i gumowych rękawiczkach włożył nam w usta długie patyczki, a potem wziął próbki śliny z zabawki, żeby pobrać DNA i potwierdzić, że Tom i ja jesteśmy rodzicami Natalie. Powiedziano nam, że w większości uprowadzeń bierze udział jedno z biologicznych rodziców, i wtedy prawie wpadłam w histerię, bo mimo szoku wiedziałam, że chodzi o porwania przez rodziców, którzy się rozstali, a Tom i ja jesteśmy razem, co powinno być dla nich oczywiste.

Potem pojawili się dziennikarze. Tłum ludzi z notesami i mikrofonami koniecznie chciał z nami porozmawiać. Poradzono nam, abyśmy udzielili wywiadu tylko jednej stacji, bo wtedy dostaniemy najwięcej czasu antenowego. Wybraliśmy Connie Chung, ponieważ nasz prawnik powiedział, że CBS ma największą oglądalność. Chcieliśmy, żeby wiadomość podano najszybciej, jak to możliwe. To było przed epoką mediów społecznościowych, przed AMBER Alert<sup>4</sup>. Zapewniono nas, że większość porwanych dzieci wraca do rodziców w ciągu dwudziestu czterech godzin. Innej możliwości nie braliśmy pod uwagę.

Bardzo żałowałam, że nie mam lepszego zdjęcia Natalie. Niemowlęta tak szybko się zmieniają. Na zdjęciu zrobionym, kiedy skończyła dwa miesiące, w ogóle nie przypominała siebie teraz, gdy miała cztery. Ale to było przed fotografią cyfrową. Wtedy ludzie nie pstrykali co chwila fotek swoim dzieciom, tak jak obecnie. Umówiłam nas w Olan Mills Studio, ale musiałam odwołać, bo ciągle coś się działo w pracy. Mogłam ją posłać z Charu, ale zamierzałam sama wziąć córeczkę do fotografa. Nie chciałam, żeby wyręczyła mnie opiekunka. Mamy mnóstwo czasu na zrobienie zdjęć, myślałam. Kartki świąteczne będziemy wysyłać dopiero za pół roku.

Ten występ w telewizji! Nigdy nie zapomnę tego koszmaru. Świecące nam prosto w oczy reflektory, kiedy siedzieliśmy tam, próbując wyglądać jak dobrzy rodzice, nie jak szaleńcy, i musieliśmy błagać potwora, który zabrał nasze dziecko, by je oddał, mając nadzieję, że ów ktoś ogląda Connie Chung.

[4](#) AMBER Alert (child alert) – system alarmowy, który służy do udostępniania fotografii zaginionych dzieci poprzez rozpowszechnianie komunikatów w środkach masowego przekazu.

## Lucy

Czułam się tak, jakbym weszła do obcego domu, tak inny wydawał się mój własny, kiedy znalazło się w nim dziecko. Powietrze było dziwnie naładowane. Światło w kuchni wydawało się jaśniejsze, bardziej jaskrawe. Przedmioty, które codziennie widywałam, nabrały nowego połysku, wyrazistości. Toster lśnił, migotał w swoim ciemnym kącie. Pastelowe naczynia mieniły się głębokimi kolorami tęczy. Na ścianach tańczyły malowane imbryczki. Dom się nie zmienił, a jednak wszystko było inne. Jakby jednocześnie powiększył się i zmalał, zmieniając kształt w obecności dziecka, którego niewielki ciężar na moim ramieniu zdawał się wypełniać całą przestrzeń. Wąski korytarz poszerzał się, gdy niosłam dziewczynkę do pokoiku dzieciennego. Okna wychodziły na ulicę, więc natychmiast zaciągnęłam rolety. Nie w obawie, że jakiś sąsiad może wpaść z niezapowiedzianą wizytą. Prawie nikogo tu nie znałam, większość czasu spędzałam w pracy, na Manhattanie. Opuściłam rolety, ponieważ nie chciałam ryzykować, że ktokolwiek – ogrodnik, listonosz, domokrążca – zajrzy do środka i zobaczy mnie z dzieckiem w ramionach.

Delikatnie, ostrożnie odsunęłam dziewczynkę od siebie i położyłam ją na przewijaku. Popatrzyła dookoła, na karuzelki, gwiazdki na suficie, kaczki na ścianie, kinkiety w kształcie owieczek, i uśmiechnęła się, jakby aprobując wysiłek, jaki włożyłam w urządzenie pokoju dla niej. Całymi latami wyobrażałam sobie, że jest tu dziecko. W mojej głowie ta dziewczynka mieszkała tu już od dawna. Jednak dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że rzeczywista opieka nad dzieckiem bardzo się różni od tej w wyobraźni. Jak bezbronna, jaka ufna była ta mała istota i jak niewiele wiedziałam o tym, jak się nią zajmować. Zmiana pieluchy, co jako opiekunka robiłam tylko kilka razy, wydała mi się przerażającym wyzwaniem. Jaka ogromna odpowiedzialność. Moja ignorancja mogła narazić dziecko na zranienie, może nawet na śmierć! A jeśli zapnę pieluchę zbyt mocno i odetnę dopływ krwi? A jeśli niedokładnie rozsmaruję krem i mała dostanie infekcji? O ile większe ryzyko, kiedy chodzi o swoje dziecko. Przytrzymując dziewczynkę jedną ręką, żeby nie zsunęła się z przewijaka, drugą rozerwałam paczkę jednorazowych pieluch, leżącą na dolnej półce. Byłam tak zdenerwowana, że pierwszą pieluchę upuściłam. Jak daleko poza moim zasięgiem wydawała się, leżąc tam, na podłodze. Zamiast się pochylić, co by oznaczało, że muszę puścić dziecko, wzięłam z paczki drugą pieluchę. I zobaczyłam, że jest za mała. „Dla dzieci do pięciu kilogramów” – napisano na opakowaniu. Rozpięłam rampers, który miał już brązowe plamy w kroku, odkleiłam taśmy pieluchy i zdumiałam się, jak taka maleńka, słodka istotka mogła narobić takiego bałaganu. Jednak ten widok nie wydał mi się obrzydliwy, co było dziwne, ponieważ zawsze w takich sytuacjach mój żołądek się buntował. Nie potrafiłam poradzić sobie z faktem, że pod koniec życia moja matka nie kontrolowała czynności fizjologicznych. Moja siostra przewracała oczami, że jestem taka

delikatna. Ale ona jest pielęgniarką.

– Czym, na litość boską, twoja matka cię karmiła? – zapytałam na głos.

Na słowa „twoja matka” drgnęłam, ale mała nic nie zauważyła. Wydawała się w pełni skupiona na łapaniu pluszowej gwiazdki zwisającej z karuzelki, którą umocowałam nad przewijakiem. Zabawka grała *It's a Small World*. Dziewczynka uśmiechnęła się słodko. Puściłam piosenkę jeszcze raz, a ona wymachiwała maleńkimi piąstkami w powietrzu w rytm muzyki, podczas gdy kolorowa galaktyka wirowała nad jej głową.

Obawiałam się, że mokre chusteczki wyschły, lecz kiedy je otworzyłam, okazało się, że pomimo upływu lat nadal są miękkie i wilgotne. Dziewczynka uśmiechała się, kiedy ją wycierałam, gruchała cicho i wymachiwała nóżkami zadowolona. Obejrzałam starą pieluszkę, spodziewając się, że jest tam jakiś rozmiar, ale widniały na niej tylko obrazki zwierząt. Nie było nawet nazwy producenta! Zwinęłam ją ciasno, wrzuciłam razem z zawartością do metalowego kosza z pokrywką i sięgnęłam po jedną z pieluch tetrowych, które przygotowałam na półce. Kiedyś interesowałam się tym i dowiedziałam się, że pieluchy tetrowe są lepsze i wygodniejsze dla dziecka. Ale jak zamienić kwadrat materiału w pieluchę? Sięgnęłam po wskazówki. Odpowiedź znalazłam na – nigdy tego nie zapomnę – sto trzydziestej siódmej stronie książki *Dziecko, pielęgnacja i wychowanie* doktora Spocka, biblii, według której moja matka chowała Cheryl i mnie. To nie był jej egzemplarz, tamten dostała Cheryl, kiedy urodziła pierwsze dziecko.

Składanie pieluszki wyglądało na łatwe na prostych, szkicowych rysunkach w książce. Ale ja musiałam położyć dziewczynkę na pleconym dywanie, kiedy składałam i rozkładałam pieluchę w kształty skomplikowane jak origami. Nic dziwnego, że jednorazowe pieluchy podbiły rynek. Dziewczynka leżała na plecach i gulgotała radośnie, zadowolona, że nic jej nie krępuje – a może rozbawiona moimi zmaganiem. Obróciłam ją na brzusek, żeby owinąć ją pieluszką tak, jak pokazano na rysunku. Mała wyciągnęła ręce i nogi i wygięła się w łuk, aż przestałam składać pieluchę i zapatrzyłam się na nią, jej idealne, pulchne, wspaniałe ciało, wyraźnie szykujące się do lotu. Już wtedy uważałam ją za wspaniałą istotę, zdolną do wszystkiego.

Na koniec i tak nie potrafiłam się zmusić, żeby zapiąć agrafki. Otworzyłam plastikowe zapięcia w kształcie kaczuszek, ale odsłonięta igła wydała mi się ogromna. Jaką miałam pewność, że agrafka się nie rozepnie i nie zrani dziecka? Postanowiłam umocować pieluchę taśmą. Mocną, niezawodną, przezroczystą taśmą, bez żadnych ostrych brzegów czy szpikulców. Dziecko wyglądało jak cenna paczka, przygotowana do wysłania przez nadawcę, który nigdy wcześniej niczego nie pakował. I pod pewnymi względami nią było. Zdjęcie pieluszki kilka godzin później wymagało nie lada wysiłku. Musiałam użyć nożyczek krawieckich po babci, najostrzejszych, jakie miałam w domu. Najpierw ogrzałam ostrza w strumieniu gorącej wody z kranu w łazience, żeby zimna stal nie dotykała skóry, a potem przesuwiałam nimi powoli, milimetr po milimetrze, dopóki pieluszka nie rozłożyła się na boki, a mała znowu mogła swobodnie wymachiwać nóżkami.

Żeby wiedzieć, czym ją nakarmić, musiałam poznać jej wiek. Według doktora Spocka wiek dziecka można określić na podstawie wagi i tego, czy ma zęby. Zabrałam dziewczynkę na wagę, żeby to sprawdzić. Nie miałam wagi dla niemowląt, więc z dzieckiem na rękach weszłam na wagę łazienkową, po czym odjęłam moje kilogramy. Dziewczynka ważyła prawie siedem kilo. Trzymając ją na biodrze, opłukałam rękę w umywalce i delikatnie sprawdziłam dziąsła. Na górnym było małe wybrzuszenie, ale poza tym nic nie wyczułam. Mała śliniła się i ssała mój palec, dopóki go nie zabrałam. Zajrzałam do wykresu. Musiała mieć cztery albo pięć miesięcy.

Nic dziwnego, że tamta ciężarna kobieta była tak zaskoczona! W spiżarni za pudełkami z makaronem od dawna trzymałam puszki z mlekiem. Sprawdziłam termin przydatności. Były jeszcze dobre. Otworzyłam jedną, wdzięczna za nowoczesne konserwanty.

Dziewczynka była szczęśliwa pod moją opieką i zaczęłam się zastanawiać. Gdyby miała kochający dom, to czy nie płakałaby, chcąc tam wrócić? Gdyby miała dobrą matkę, to czy gaworzyłaby tak radośnie w obcym pokoju, gruchała do nowej grzechotki? Może matka, która ubierała ją w ładne ubranka, jednocześnie ją zaniedbywała. Przecież zostawiła małą samą w wózku sklepowym!

O szóstej już dłużej nie mogłam się powstrzymać przed włączeniem wiadomości. Usiadłam z dzieckiem w salonie, w wielkim, skórzanym fotelu Warrena – teraz cieszyłam się, że go zostawił, bo nowa dziewczyna go nie chciała. Serce mi waliło, kiedy włączałam pilotem telewizor. Odwróciłam dziecko tak, żeby nie widziało ekranu. Nie chciałam, żeby zobaczyła swoją matkę.

Gdy pojawił się obraz, zdenerwowałam się jeszcze bardziej. Czy już mnie szukają?

Najpierw prezydent Bush wyraził przypuszczenie, że trwająca od tygodnia wojna w Iraku skończy się w ciągu kilku dni. Potem pokazano relację z procesu w sprawie biegaczki z Central Parku. I wreszcie usłyszałam to, czego się obawiałam, dziennikarz stojący z mikrofonem przed Ikeą mówił: „Nadal trwają poszukiwania zaginionej dziewczynki, Natalie Featherstone, która została dziś porwana...”.

A więc nazywała się Natalie. Nie wyglądała na Natalie. Skończyła cztery miesiące. Cztery miesiące i sześć dni.

Nie mieli pojęcia, kto ją zabrał! Zalała mnie fala ulgi.

Ekran wypełniła błyszcząca, mokra od łez twarz jej matki, Marilyn. Była oszałamiająco piękna, nawet w takim stanie. Miała długie blond włosy, które opadły jej delikatnymi falami na twarz, kiedy pochyliła się do kamery, przez co wydawało się, iż jest tak blisko, że aż się odsunęłam, w obawie, że ta kobieta nas widzi. Bałam się o siebie i współczułam jej. Bardzo. Jej dziecko zostało zabrane. Ja zabrałam jej dziecko, które siedziało teraz na moich kolanach, spokojnie ssąc mleko z butelki. Cieszyłam się, że dziewczynka nie rozpoznała głosu Marilyn. Co czteromiesięczne niemowlę może wiedzieć o swojej matce? Co może pamiętać? Zapach? Gest? Dotyk dłoni?

– Odwróciłam się od wózka tylko na sekundę – mówiła Marilyn.

Ale to było kłamstwo! Ona kłamała! Zostawiła dziecko na dużo dłużej. Porzuciła małe, bezbronne niemowlę w wózku na zakupy na środku sklepu znajdującego się w złej dzielnicy. A jeśli pojawiłby się tam ktoś poza mną? Ktoś, kto chciałby skrzywdzić małą, zamknąć ją, trzymać w piwnicy? Na świecie jest tylu szaleńców, pomyślałam, głaszcząc czule dziewczynkę.

Kamera się cofnęła, żeby pokazać też męża Marilyn, mężczyznę z różową twarzą i kwadratową szczęką, w kosztownie wyglądającym garniturze i krawacie.

– Zrozpaczeni rodzice...

On uniósł fotografię siebie i żony, trzymającej w ramionach dziecko. Kamera zrobiła zbliżenie. To nie było zdjęcie dziecka, tylko ich samochodu! Większą część fotografii zajmowało czerwone bmw. Kamera cofnęła się i w sposobie, w jaki stali na zielonym trawniku, rozstawiając nogi, zorientowałam się, że dotychczas dostawali w życiu wszystko, czego chcieli.

Niemowlę na fotografii w niczym nie przypominało dziewczynki, którą trzymałam na kolanach, i zdałam sobie sprawę, że tamci nawet nie zadali sobie trudu, żeby zrobić jej aktualne zdjęcie. Kamera wróciła do nich i Marilyn przyłożyła dłoń do gardła, jakby sprawdzała

wytrzymałość strun głosowych. Przytuliła policzek do ramienia męża, a on objął ją pocieszającym gestem. Wciąż mieli siebie. Przynajmniej ich tęsknota za dzieckiem była równa mojej.

– FBI poszukuje porywacza w trzech stanach...

Porywacz. Wcześniej to słowo nie przyszło mi do głowy.

Nagle żołądek podszedł mi do gardła. Zdążyłam umieścić dziecko bezpiecznie w łóżeczku, uklękłam na podłodze i zaczęłam gwałtownie wymiotować do plastikowego kubelka, ozdobionego postaciami z bajki o Pinokiu. Klęczałam przez długą chwilę, z kolanami na dywanie, podczas gdy wszystko we mnie, wszystko, co kiedykolwiek zjadłam, wylewało się do wiadra, aż cały pokój zaczął śmierdzieć moimi wymiocinami.

Zabrałam kubek do łazienki, opróżniłam go, wymyłam i zaniósłam z powrotem do dziecinnego pokoju. Dziewczynka płakała, więc wzięłam ją na ręce, usiadłam z nią w bujanym fotelu i ukołysałam do snu.

## Marilyn

Nie chciałam spać ani tamtej nocy, ani żadnej następnej. Nie mogłam leżeć w ciemności ze świadomością, że obudzę się w domu, w którym nie ma Natalie. Chodziłam po pokojach, robiąc ósemki, pragnęłam gdzieś wyjść, czuć się, jakbym coś robiła. Lekarz dał mi tabletki, po których miałam zasnąć, ale na początku nie chciałam ich brać. Nigdy nie zażywałam nic mocniejszego od aspiryny. A jeśli Natalie znajdzie się w nocy, a ja będę nieprzytomna i nie zdołam natychmiast do niej pójść?

Gdzieś po tygodniu się poddałam. Tom uprzedzał mnie, że dłużej nie dam rady funkcjonować bez snu. Jednak nie spałam spokojnie. Miałam koszmary. Śniła mi się Natalie, która krzyczała, wyciągając do mnie rączki, a ja nie mogłam jej pomóc, jej dłonie zawsze były tuż poza moim zasięgiem. Albo śniło mi się, że ją znalazłam, przez cały czas była w swoim bujaku, zalewała mnie falą wdzięczności i ulgi, brałam małą w ramiona, ale wyslizgiwała się z moich rąk i wpadała w dziurę w podłodze. Budził mnie dziwny dźwięk i Tom, który mnie obejmował, mówiąc, że to ja ten dźwięk wydaję.

Jeszcze gorsze niż noce były poranki, kiedy wydobywałam się z głębokiej studni snu, powoli dostrzegałam światło i słysząc poranną piosenkę mojej córeczki, zbierałam się, żeby wstać i zająć się małą, po czym przypominałam sobie nagle – ona zniknęła.

## Lucy

W myślach oddawałam ją niezliczoną ilość razy. Przez całą tamtą noc i cały następny dzień oczyma duszy widziałam sceny, w których zwracam dziecko matce. Wyobrażałam sobie, że wchodzę śmiało przez drzwi Ikei i mówię, że ktoś mi ją zostawił albo że gdzieś ją znalazłam, na placu zabaw, gdy płakała, porzucona w trawie, z brudną pieluszką. Ale na którym placu zabaw? I co ja, kobieta bezdzietna, robiłam na placu zabaw? I gdzie byłam, kiedy dziecko zostało zabrane? Nie miałam alibi. Wiedziałam z telewizji, że muszę mieć alibi.

Nie mogłam jej zatrzymać, bez względu na to, jak bardzo tego pragnęłam, jak silną, niewytłumaczalną więź między nami czułam. Ale jak miałam oddać Natalie? Wyobrażałam sobie, że pod osłoną nocy zanoszę małą do domu. Wiedziałam, gdzie mieszkają jej rodzice, ciągle podawali ich adres w wiadomościach. Wyobrażałam sobie, jak otulam ją ciepłymi kocami, stawiam w koszyku na wycieracze, naciskam dzwonek i uciekam. Ale czy zdołałabym odbiec na tyle szybko, żeby nie zobaczył mnie czujny sąsiad albo funkcjonariusz policji, która, jak zakładałam, obserwowwała dom? Po bezsennej nocy wstałam z gotowym planem.

Tamtego ranka, trzymając dziewczynkę na kolanach, mówiłam jej, jak bardzo ją kocham, jak bardzo żałuję, że nie możemy zostać razem. Maleńka, powiedziałam (nazwałam ją Maleńka), nigdy, przenigdy cię nie zapomnę. Ucisnęłam delikatnie jej okryte tetra ramię, a wtedy ona oderwała usta od butelki i popatrzyła na mnie, jakby przyjmowała do wiadomości to, co mówiłam.

Wyprałam i wyprasowałam rampers i śliniak, ubrałam dziewczynkę i dołożyłam sweterek, zrobiony na drutach przez moją siostrę dla dziecka, którego nigdy nie będę mogła mieć. Chciałam zostawić Natalie z czymś, co pokaże, że osoba, która ją zabrała, jest dobrym człowiekiem i należycie się nią opiekowała.

Pojechałam do odległego o kilka miasteczek sklepu Babies To Go. Jak niechętnie odpinałam pasy i gumy po raz ostatni, jak powoli brałam ją na ręce... W odległej części sali znalazłam dział z łóżeczkami. Wahałam się przez dłuższy czas, nie mogąc zdecydować, w którym najlepiej będzie ją zostawić, zadowolona z braku uwagi personelu, siedzącego w dalekim kącie nad pudełkami z jedzeniem na wynos.

Wybrałam staromodną kołyskę, wyłożoną pulchnymi, białymi poduszkami i zwieńczoną materiałową falbaną, ze wzorem w pszczołki. Między drewnianymi listewkami wpleciono malowniczo białą wstążkę. Powoli odsunęłam dziewczynkę od siebie, ułożyłam jej główkę na obszytej koronką poduszce i kołysałam małą delikatnie, dopóki nie zasnęła. Pocałowałam koniuszki palców, dotknęłam nimi jej gładkiego czółka, po czym wyprostowałam się i pognałam na front sklepu, z oczami tak pełnymi łez, że ledwo widziałam, którądy bieć do telefonu, wiszącego przy drzwiach. Wrzuciłam dwudziestopięciocentówkę i słuchałam mechanicznego



głosu, dziękującego mi za telefon do Ikei.

Zamierzałam powiedzieć, gdzie jest dziecko, i się rozłączyć. Ale zanim odebrał człowiek, usłyszałam płacz, dobiegający z tyłu sklepu. Ten odgłos sprawił, że zmieniłam zdanie. Dźwięczący w nim smutek poruszył mnie do głębi. Nie mogłam znieść myśli, że Natalie znowu została porzucona. Odłożyłam słuchawkę i popędziłam z powrotem, żeby wyjąć dziecko z kołyski.

– Mamusia już tu jest – zagruchałam.

Wtedy po raz pierwszy tak siebie nazwałam. To słowo mnie wypełniło, zalewając rozpadliny, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Przytulałam dziewczynkę mocno do siebie, pławiąc się w rozkosznym cieple jej pulchnego miękkiego ciała, którego miałabym już nigdy nie poczuć. Kołysałam się z nią w tył i w przód, mrużąc:

– Już, już – i inne mantry, które szepczą matki, dopóki mała nie ucichła, położywszy główkę na moim ramieniu.

Wiedziałam, że to, na co się decyduję, jest niezgodne z prawem. Ale to, co robiłam, wydawało mi się zgodne z prawami natury.

Zaniosłam ją do działu z fotelikami samochodowymi. Minęło kilka minut, zanim zdołałam oderwać uwagę sprzedawcy od pudełka z chińszczyzną, żeby pomógł mi wybrać najlepszy.

Jadąc do domu z moim dzieckiem na tylnym siedzeniu, bez przerwy spoglądałam w lusterko, żeby się upewnić, że jest bezpieczna, i błagałam wszechświat, aby dał Marilyn więcej dzieci, chociaż wiedziałam, że żadne nie zastąpi jej tego, które miało zostać ze mną.

## Lucy

Oczywiście musiałam nadać jej nowe imię. Przez cztery miesiące była Natalie. Bez wątpienia nauczyła się rozpoznawać ten dźwięk (na-ta-li) i łączyła go, zdaniem doktora Spocka, z zaspokojeniem potrzeb i przyjemnością. Nie chciałam odbierać jej tego osiągnięcia. Nie chciałam hamować jej rozwoju. Mimo to musiałam nadać jej inne imię. Inne, ale niezbyt różne od tego, do którego się przyzwyczała. Nie chciałam, żeby czuła się tak, jakby skradziono jej tożsamość. Nie chciałam mieszać jej w głowie.

Kiedy wróciłyśmy do domu, usiadłam na dywanie w jej pokoju i zdjęłam z półki wszystkie książki z imionami dla dzieci. Miałam ich mnóstwo. Warren i ja wertowaliśmy je w radosnych dniach oczekiwania na, jak myśleliśmy, rychłe rodzicielstwo. Jednak żadne z imion, które wybraliśmy, nie wydawało mi się teraz odpowiednie.

Dziewczynka leżała obok mnie na pleconym dywanie, bawiąc się papierem, który gniotła i wkładała do buzi. Lubiła ssać papier. To był czysty papier, wytłaczana papeteria od Tiffany'ego, prosto z pudełka. Wyobrażałam sobie, że pewnego dnia maleńka będzie miała swoją własną wytłaczaną papeterię. Jakie imię będzie na niej widniało?

Jej nowe imię nie mogło się zaczynać od A, E ani O. Chciałam uniknąć inicjałów, z których da się zrobić akronim. W szkole miałam koleżankę, Zenę Thomson, która miała na drugie Isabelle i całymi latami przezywano ją „Zit”.

Bella. Chloe. Haley. Mia.

Poza aktorką, którą podziwiałam, tak miała na imię starsza siostra mojej koleżanki, dziewczyna śliczna, pewna siebie i elegancka – czyli posiadająca wszystkie te cechy, których mnie kiedyś brakowało.

To imię, wypowiedane na głos, brzmiało podobnie do Natalie: Mii-a.

– Mia – spróbowałam i mała podniosła wzrok.

Kilka lat później, po spotkaniu z koleżanką, której opiekunka mówiła po hiszpańsku, Mia powiedziała mi, że jej imię w tym języku oznacza „moja”.

– Ty mnie tak nazwałaś czy takie imię nadali mi po urodzeniu?

– Po urodzeniu – odrzekłam. – Jest piękne. Nie chciałam go zmieniać.

– Moja pierwsza mama tak mnie nazwała, ponieważ nie chciała mnie oddawać, prawda?

– Prawda – potwierdziłam, biorąc ją na ręce. Przytuliłam Mię do siebie, przełykając gulę w gardle, aż dziewczynka zaczęła się domagać swobody i uwolniła się z moich objęć.

Następnego dnia po tym, jak nadałam jej imię, był poniedziałek i o dziewiątej rano zadzwoniłam do Sandry, mojej bezpośredniej szefowej. Powiedziałam, że jestem w Kansas. Wiedziała o moich staraniach o dziecko, na tym etapie już wszyscy w pracy wiedzieli. Wyjaśniłam, że odbieram czteromiesięczną dziewczynkę od uczennicy liceum, która zdecydowała, że jednak nie chce jej zatrzymać. Teraz takie oszustwo nie miałoby szans powodzenia, identyfikacja numeru natychmiast pokazałaby kod okolicy, z jakiej dzwonię, ale wtedy było możliwe. Sandra sama była samotną matką, powiedziała, żebym z niczym się nie spieszyła.

Przez pierwsze dni z Mią nie spuszczałam jej z oczu. Zabierałam ją ze sobą do każdego pokoju, zapinałam w wysokim foteliku, kiedy przygotowywałam w kuchni mleko, podgrzewałam picie czy rozgniatałam banana, który według doktora Spocka powinien być pierwszym owocem. Stałam przy blacie, wciskając zęby widelca w miękką, białą pulpę, rysując krzyżykowe wzory, dopóki banan nie zamienił się w papkę, odpowiednią dla niemowlaka, i myślałam, jakie mam szczęście, że nie siedzę teraz w agencji, bez końca poprawiając tekst dla klienta. Nawet do łazienki zabierałam ją w leżaczku, żeby mieć na nią oko, kiedy szłam pod prysznic. Gdy spała, nosiłam odbiornik ze sobą po domu, nasłuchując uspokajającego rytmu jej oddechu. Czasami ją obserwowałam; pochylona nad krawędzią łóżeczka patrzyłam, jak zapada w sen, zachwycając się opadaniem i unoszeniem jej małych, kwadratowych plecków, lśnieniem kropelek potu na pulchnych ramionkach, delikatnym niemowlęcym chrapaniem.

Można by pomyśleć, że czteromiesięczne niemowlę zabrane od matki będzie płakało. Ale pamiętam, że przez te pierwsze dni ze mną Mia wydawała się bardziej zdziwiona niż nieszczęśliwa. Może się okłamuję. Może wyparłam z pamięci jej zawodzenie i opór. Ale nie sądzę.

– Wyobraź to sobie – powiedziała kiedyś moja koleżanka – a twoje marzenie się spełni.

Byłam pełna wdzięczności za moje szczęście – i wyrzutów sumienia z powodu tego, w jaki sposób do mnie przyszło.

Czasami dzwoniłam „z Kansas” do siostry i zadawałam jej pytania, ale większości kwestii związanych z opieką nad dzieckiem – jak je odbić, nosić, uśpić – nie można było wytłumaczyć przez telefon. Cheryl upierała się, że przyleci, żeby mi pomóc, i musiałam się strasznie nagimnastykować, aby wybić jej ten pomysł z głowy.

Co kilka dni dzwoniłam do biura i zdawałam raport z postępów.

– Dzisiaj pierwszy raz przewróciła się na brzusek! – mówiłam, nie wspominając, że łóżko, na którym dokonała tego wyczynu, stało w mojej sypialni w New Jersey.

Albo:

– Znowu jest opóźnienie – kłamałam. – Ojciec też musi podpisać dokumenty, a nie mogą go znaleźć.

Dostałam wiadomość od dyrektor kreatywnej, która pomagała mi zamieścić ogłoszenie, że bardzo się cieszy moim szczęściem, ale gonią ją terminy i musi podjąć współpracę z innym autorem tekstów reklamowych. Nic mnie to nie obeszło.

Przez pierwsze tygodnie macierzyństwa żyłam w strachu przed dzwonkiem do drzwi. Gdy zadzwonił te kilka razy, wszystkie włosy na moim ciele stawały dęba. Bałam się, że ktoś mnie przejrzał i policja – albo nawet sama skrzywdzona matka – stoją na progu, żeby mi odebrać dziecko. Ani razu nie otworzyłam, tylko zerkalam przez szparę w zasłonach. Dzwoniący nosili niegroźne błękitne uniformy poczty albo brązowe UPS. Ale jeśli to tylko przebranie, żeby dostać się do środka? Może jestem podejrzaną, którą śledzą? Zostawiali paczki pod drzwiami, ale

czekałam, aż położę Mię spać, i dopiero wtedy się wymykałam, żeby je zabrać. W paczkach były prezenty dla dziecka. Ubranka od mojej siostry, kamera Sony od kolegów z pracy. (Agencja, w której pracowałam, dostawała zlecenia od Sony). Raz, gdy otworzyłam drzwi, wpadła przez nie ulotka: „Zaginione niemowlę” – napisano pod zdjęciem „małej Natalie”. Zgniotłam papier i wyrzuciłam do śmieci, zadowolona, że na zdjęciu wcale nie przypominała siebie.

Nie odbierałam telefonu. Rzadko wychodziłam, tylko po zmroku wyjeżdżałam z garażu, żeby nikt nie zobaczył, że mam w samochodzie fotelik, i jeździłam na zakupy do odległych miasteczek.

Przez te pierwsze tygodnie najbardziej martwiłam się, że Mia zachoruje. Wtedy musiałabym ją zawieźć na pogotowie i wszystko by się wydało. Podejrzewałam, że na lotniskach i w szpitalach nadal poszukiwano niemowlęcia pasującego do jej opisu. Za każdym razem gdy zmieniałam jej pieluszkę, starannie oglądałam całe ciało małej w poszukiwaniu zaczerwienień, wysypki czy guzków. Sumiennie notowałam godziny karmienia i kupy, jak radzono w książce – chociaż później zdałam sobie sprawę, że ta rada dotyczyła matek karmiących piersią, które chciały się upewnić, że ich dziecko otrzymuje wystarczającą ilość pokarmu.

Mia zwykle przespiała noc, pewnego razu jednak rozplakała się rozpaczliwie o trzeciej nad ranem, chociaż miała suchą pieluszkę i nie gorączkowała. Przypomniałam sobie mały guzek, który wcześniej wyczułam na jej dziąśle, i domyśliłam się, że ząbkuje. Zdesperowana, nie wiedząc, jak inaczej ją uspokoić, usiadłam z nią w bujanym fotelu i rozpięłam górne guziki koszuli nocnej. Pomyślałam, że może pojawi się mleko, którym ją uspokoję. Przecież opowiadano historie o mamkach i kobietach karmiących w schronach przeciwlotniczych dzieci, którym umarły matki. To były szalone myśli, ale nic mnie to nie obchodziło, rozpaczliwie pragnęłam dać Mii wszystko, czego potrzebowała.

Widok mojej piersi natychmiast ją uspokoił i domyśliłam się, że była karmiona w sposób naturalny, chociaż została odstawiona, zanim do mnie trafiła – poznałam to po zapachu tamtej pierwszej pieluchy. Wpatrywała się w to, co jej oferowałam, zerknęła na moją twarz, jakby pytała o pozwolenie, po czym przysunęła buzię i schwyciła brodawkę dziąsłami. Bolało jak diabli, jakby ktoś miażdżył mi sutek kamieniami. Skrzywiłam się i odsunęłam, a wtedy zaczęła płakać jeszcze głośniejszym głosem, jakbym ją oszukała, co chyba rzeczywiście zrobiłam.

Pragnęłam, żeby te pierwsze tygodnie trwały wiecznie, ten nasz małeńki świat wypełniony tylko jedzeniem, spaniem, kołysaniem i czytaniem.

Mia zachowywała się tak, jakby przeżywała wspólną przygodę. Wydawała się czerpać przyjemność z odkrywania nowych widoków, powierzchni, zapachów i dźwięków. Nie drzemała w ciągu dnia, chociaż w książkach pisano, że powinna. Ona nie czytała tych książek. Ale przespiała noc, za co byłam jej wdzięczna. Każdy dzień zaczynałam z taką ekscytacją, jaką czułam w gwiazdkowy poranek, będąc dzieckiem. Nigdy nie spałam czujnie, ale teraz wyskakiwałam z pościeli, gdy tylko rano Mia zaczynała „mówić” do siebie w łóżeczku, i z sercem fikającym koziołki pędziłam do pokoju dziecięcego, żeby napawać się jej cudownym widokiem i zapachem, i co dzień od nowa zdawałam sobie sprawę, że jestem czyjąś matką!

Przy porannej toalecie śpiewałam małej piosenki i rozmawiałam z nią. Potem wkładałam ją do skoczka, podchodziłam do drzwi i po upewnieniu się przez okno, że nie ma w pobliżu żadnych sąsiadów, wyskakiwałam, żeby schwycić leżącą na ganku gazetę. Siadałam przy stole i karmiłam Mię, przewracałam strony powoli, ostrożnie, przeglądając tylko nagłówki w poszukiwaniu nowych relacji z tamtych wydarzeń, po czym zamykałam gazetę, wdzięczna za kolejne dwadzieścia cztery godziny, które mogłam spędzić z dzieckiem.

Zwykle ludzie z branży reklamowej uważają PR za gorsze zajęcie, jednak moje zdanie na temat tej profesji bardzo się zmieniło, kiedy zobaczyłam, że po kilku dniach sprawa Natalie zniknęła z mediów. Ikea otwierała nowy sklep w Los Angeles. Pewnie nie chcieli mieć złej prasy.

Każdego dnia Mia zaciskała maleńką piąstkę wokół moich palców i stawała się coraz bardziej moja.

## Marilyn

Wieczorem tamtego dnia, kiedy zaginęła Natalie, śledczy z policji stanowej przyprawdzili psy, żeby szukały jej zapachu. Poproszono mnie o jakiś element garderoby mojej córeczki. Poszłam do jej pokoju – wydawał się pusty niczym grób – i stanęłam na środku, próbując się rozejrzeć przez łzy i znaleźć coś, co mogłabym im dać. Nie chciałam się rozstawać z ani jedną rzeczą, która do niej należała. W końcu wyjęłam koczyk z łóżeczka. Nadal tworzył miękką wysepkę na materacu. Nie złożyłam go po jej drzemce. Był w małe owieczki. Miękki, taki miękki. Wyobraziłam sobie, jak odnajdują małą i dają go jej. Widok czegoś z domu na pewno by ją uspokoił.

Później, dużo później, poprosiłam, żeby mi go oddali, ale powiedzieli, że muszą go trzymać w szczelnie zamkniętej torbie, dla psów.

Wezwano FBI. Detektyw Brown rozstawił swój kram na naszym stoliku kawowym. Przychodził codziennie o ósmej rano i zaczynał telefonować ze specjalnego aparatu, który u nas zainstalowano. Przychodzili też inni – sąsiedzi, przyjaciele – a on przydzielał im zadania na dany dzień, głównie papierkową robotę, żeby sam mógł się zająć swoją pracą, czyli szukaniem Natalie. Żołądek mi się zaciskał za każdym razem, gdy dzwonił telefon. Detektyw wszystkich uciszał, wszystko zamierało, tak że jedynym dźwiękiem w domu były wtedy te długie dzwonki. Sięgałam po słuchawkę roztrzęsionymi palcami, zastanawiając się, czy zaraz będę rozmawiała z porywaczem Natalie. Oczekiwaliśmy (baliśmy się) telefonu z żądaniem okupu. Tomowi i mnie kazano mówić spokojnie i trzymać dzwoniącego na linii tak długo, jak to tylko możliwe, żeby ci z FBI zdążyli zlokalizować rozmówcę. Postanowiono, że ja będę odbierać telefon zamiast Toma, ponieważ mój głos wyda się mniej groźny. Za każdym razem gdy dzwonił telefon, sięgałam po słuchawkę, starając się nie płakać. Ale nikt nigdy nie zażądał okupu.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi pielęgnowałam w sobie nadzieję, że ktoś zadzwoni i powie, iż nasze dziecko znaleziono całe i zdrowe, że Natalie została zabrana przez pomyłkę, że nastąpiło jakieś straszliwe nieporozumienie. Ale oczywiście takiego telefonu też nie było.

Przez długie miesiące, dzień i noc, szukaliśmy naszej córeczki. Nie potrafiliśmy przestać. Pomagali nam przyjaciele i sąsiedzi, niektórych z nich nigdy wcześniej nie widzieliśmy na oczy. Co wieczór kolumna samochodów jechała do Ikei, ochotnicy przeczesywali pola otaczające sklep, a światła latarek tańczyły po zmroku na trawie. Ludzie przeszukiwali rowy i otwarte bagażniki porzuconych samochodów. Czułam ulgę, że nikt jej tam nie znalazł. Nie chciałam, aby odnaleziono ją martwą.

Wszędzie rozwiesiliśmy plakaty: na słupach telefonicznych, w centrach handlowych, na szkolnych tablicach z ogłoszeniami. Kserowali je ludzie w biurze Toma. Zapłacili kurierom rowerowym, żeby zostawiali plakaty w firmach, do których jeżdżą. Zatrudniliśmy nastolatków,

którzy okleili sąsiednie miasteczka. Zamieniliśmy salon w centrum dowodzenia akcją „Odzyskać Natalie”. Nasz dom nie był już domem, stał się miejscem publicznym. Nasze zaginione dziecko nie należało wyłącznie do nas, lecz do wszystkich. Odwiedzali nas nie tylko ludzie, którzy chcieli pomóc, ale też ciekawscy. Gapie stawali na naszym trawniku i zaglądali przez okno, zostawiając smugi na szybie dzielącej ich od niewyobrażalnego nieszczęścia. Ludzie zawiązywali żółte wstążki<sup>5</sup> wszędzie, gdzie się dało: na drzewach, krzakach, na skrzynce pocztowej. W wiadomościach powiedziano, że lokalnym sklepom skończyły się zapasy żółtej taśmy. Pewnego dnia ktoś przywiązał do naszej ozdobnej studni pęk żółtych balonów, które podskakiwały na wietrze całymi tygodniami. Zdałam sobie sprawę, że ten, kto je tam przywiązał, musiał je wymieniać, dzień po dniu. A potem jednego ranka zobaczyłam, że balony, pozbawione powietrza, leżą na trawniku. Zrozumiałam wtedy, że ten ktoś stracił nadzieję.

Na kredensie w salonie zawsze stała kawa i leżały kanapki. Potem całymi latami zapach termosów z kawą wywoływał u mnie mdłości.

AT&T zaproponowało mi przedłużenie urlopu, ale odeszłam. Nie mogłam znieść myśli o powrocie do pracy. Jak mogłabym wrócić do życia, które kiedyś uważałam za normalne, do robienia przez całe dni czegoś, co odrywałoby mnie od realizacji mojego obecnego celu – odnalezienia Natalie lub pomagania ludziom, którzy starali się ją znaleźć. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że jeszcze kiedykolwiek mogłabym się skupić na pracy. To przez pracę straciłam dziecko.

Detektyw Brown przychodził co rano, akurat kiedy Tom wychodził do biura.

– Jak możesz funkcjonować w pracy? – spytałam kiedyś mojego męża, a on odpowiedział, że to jedyne miejsce, w którym może funkcjonować.

– Nadal musimy spłacać hipotekę – dodał, co było zgodne z prawdą, ale wiedziałam, że gdyby poprosił o płatny urlop, pewnie by go dostał, wtedy był już partnerem w firmie.

Zaczęliśmy radzić sobie z tragedią każde na swój sposób. On przez zaprzeczenie. A ja przez wyparcie z myśli wszystkiego, poza utratą naszej córki. Utraciliśmy wspólny język. On rzadko się odzywał. Już się nie dotykaliśmy. Kiedyś otarł się o mnie w kuchni i powiedział „przepraszam”, jak gdybym była obcą osobą w metrze. Poczułam się tak odrzucona tymi słowami, jakby fizycznie mnie odepchnął.

Mijały miesiące i pewnego dnia detektyw Brown, który dotychczas przychodził co rano, nie pojawił się u nas. Kiedy minęło południe, zadzwoniłam do Toma, który go namierzył. Detektyw wrócił za swoje biurko. Powiedział, że został oddelegowany do nowej sprawy. Do nowej sprawy! Jak mógł się zajmować nową sprawą, wiedząc, że nasze dziecko wciąż gdzieś tam jest, bez nas? Nigdy nie wątpiłam, że Natalie nadal żyje. Każdy centymetr mojej skóry żył pewnością, że chociaż od nas odeszła, nadal jest na tej ziemi.

<sup>5</sup> Żółta wstążka jest symbolem oczekiwania na ukochaną osobę.

## Cheryl

To wszystko było takie wiarygodne. Pamiętam, jak Lucy zadzwoniła z Kansas, żeby przekazać nam nowinę. Wiedziałam, że dała ogłoszenie w tamtejszej gazecie. Dlatego uwierzyłam, kiedy powiedziała, że pojechała do Wichity, aby zabrać dziecko od dziewczyny, która wpadła w kłopoty.

Pamiętam, jak nam mówiła, że prywatna adopcja jest droga. Powiedziała dokładnie, ile to kosztuje, podała sumę, która wstrząsnęła Dougiem i mną i sprawiła, że jeszcze bardziej się cieszyliśmy, że mogliśmy mieć naszych dwóch chłopców w naturalny sposób. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby kwestionować tę adopcję. Dlaczego miałabym to robić? Nigdy bym nie przypuszczała, że moja siostra mogłaby kłamać w tej kwestii.

Zaproponowałam, że przylecę, żeby pomóc Lucy, ale zdecydowanie odmówiła, nawet kiedy wróciła z dzieckiem do New Jersey. Po części byłam zadowolona, muszę to przyznać, gdyż niełatwo byłoby mi zostawić własną rodzinę. Chłopcy chodzili wtedy do gimnazjum, mama już nie żyła i nie miałam do pomocy nikogo poza Dougiem, a on był bardzo zajęty, ciągle w drodze.

Patrząc wstecz, myślę, że może powinnam była coś podejrzewać. Ale po prostu uznałam tę odmowę za przejaw dumy mojej siostry. Lucy jest dwa lata ode mnie starsza. Starszemu rodzeństwu nie zadaje się zbyt wielu pytań.

Cieszę się tylko, że nasza matka już nie żyje i nie musi znosić bólu, jaki sprawiłoby jej poznanie prawdy o Lucy. Że była zdolna do takiego czynu, takiego oszustwa. Moja siostra nie jest tą osobą, za którą wszyscy ją uważali.



## Lucy

Wiedziałam, że muszę wrócić do pracy. Ale bałam się zostawić Mię na cały dzień. Zastanawiałam się, czy nie zwolnić się z agencji i nie zostać wolnym strzelcem. Wolni strzelcy inkasują tłuste dniówki i pracują, kiedy chcą. Wiedziałam jednak, że z pensją freelancera może mi być trudno zapewnić nam obu takie życie, jakiego dla nas pragnęłam. Potrzebowałam pewności, jaką dawała wypłata co dwa tygodnie i opieka zdrowotna.

Szukałam w myślach zawodu, który pozwoliłby mi zostać w domu z dzieckiem. Ale jakie zajęcie mogłabym wykonywać w domu i zarabiać tyle, by nas utrzymać? Był rok 1990, nikt jeszcze nie słyszał o pracy przez internet. Moja firma znajdowała się w sercu Manhattanu. W New Jersey też były agencje reklamowe, w których mogłabym pracować, żadna jednak nie miała renomy Scali, McCabe, Sloves, która była jedną z kreatywnych potęg na Madison Avenue, czego dowodził między innymi fakt, że się z Madison wyprowadzili. Będę miała dziecko na utrzymaniu przez najbliższych osiemnaście lat. Nie było mnie stać na porzucenie kariery.

Uznałam, że jeśli mam wrócić do pracy, powinnam zamieszkać w mieście. Muszę być w stanie dotrzeć z biura do mojego dziecka czy też do szpitala w razie nagłego wypadku w ciągu kilku minut, co byłoby niemożliwe, gdybym musiała polegać na kapryśnych autobusach, pociągach czy wiecznie zakorkowanym Lincoln Tunnel<sup>6</sup>.

Zaczęłam wertować ogłoszenia w „New York Times”. Wstawałam wcześniej razem z małą, zabierałam gazetę z wycieraczki, zamykając szybko drzwi o szarym świcie, zanim sąsiedzi wyszli z domów. Czytałam przy kuchennym stole, z Mią na kolanach, czasami dając jej do zabawy czerwoną kredkę, którą zakreślałam ogłoszenia: „Dwie sypialnie, portier”. Wiedziałam, że musi być portier. Mia miała dopiero pięć miesięcy, ale ja już oczami duszy widziałam nastolatkę, na jaką wyrośnie, wracającą w nocy do domu z tańców, smukłą dziewczynę z długimi włosami, z gołymi nogami, w mikroskopijnej spódniczce. Nie chciałam, żeby stała w ciemnym wejściu, szukając kluczy. Chciałam jasno oświetlonej markizy i portiera, który będzie miał ją na oku. Budynek blisko stacji metra, żeby droga do domu była na tyle krótka, by żaden złodziej nie zdążył okraść mojej córki. To był Nowy Jork przed Giulianim<sup>7</sup>. Wszędzie roiło się od złodziei.

Bałam się oglądać mieszkania w towarzystwie agentów nieruchomości, z dzieckiem na ręku. A jeśli któryś z nich jakimś cudem ją rozpozna? Poczułam ulgę, kiedy się okazało, że jednak nie muszę korzystać z usług agencji. Dowiedziałam się o mieszkaniu, zanim zostało wystawione na sprzedaż. Księgowa z agencji znalazła pracę w Düsseldorfie. Zamieściła ogłoszenie w agencyjnej gazecie, że chce sprzedać mieszkanie. Dała mi dużą zniżkę. I tak zamieniłam jasne, przestrzenne trzy sypialnie w Montclair na dwie sypialnie w Morningside Heights. Mieszkanie mieściło się z tyłu budynku, na pierwszym piętrze. W holu był portier. I markiza nad wejściem,

w nocy jasno oświetlona dla bezpieczeństwa. Tylko krótki spacer dzielił to miejsce od stacji przy ulicy Sto Dziesiątej. Mieszkanie było ciemne, ale to mi nie przeszkadzało. Ciemność mi teraz odpowiadała, otulała mnie ochronnym welonem.

Jedną z zalet, z jakich nie zdawałam sobie sprawy, kupując owo mieszkanie, był fakt, że znajdowało się naprzeciwko świeżo urządzonego placu zabaw w Riverside Park. Doceniłam to udogodnienie, gdy tylko się wprowadziłam.

Plac zabaw był miejscem, gdzie mogłam zabierać dziecko bez obaw. Nikt nie wiedział, że tak naprawdę nie jestem jej matką. Nikt nie zerkał na mnie podejrzliwie. W ogóle nikt na mnie nie patrzył, co bardzo mi odpowiadało. Siedziałam nad rzeką, wdychając świeże, rześkie powietrze, i chłonełam matczyną mądrość kobiet wokół mnie, dyskutujących nad kwestiami, o których nie miałam wówczas pojęcia – jakie mleko jest najzdrowsze, jak znaleźć pediatrę, które przedszkola są najlepsze i jak się do nich dostać?

Mia miała sześć miesięcy, siadała w piaskownicy, a ja, przycupnięta na drewnianej krawędzi, patrzyłam, jak mała się bawi, i zdobywałam wiedzę niezbędną, by się nią zajmować, rzadko odzywając się choć słowem.

Dowiedziałam się o zajęciach „Mamusia i ja”, które odbywały się w piwnicy pobliskiego kościoła, i że jeśli pierwszego dnia nie stawię się tam punktualnie o siódmej rano, to mnie nie przyjmą. Usłyszałam, który wózek najłatwiej się składa, a zatem jest najwygodniejszy do autobusu albo taksówki. I co robić, gdy dziecko ma katar (trzeba zastosować nawilżacz powietrza). Dowiedziałam się też, jak zabezpieczyć dom (żadnych pinezek!) i jaki odcień kupy oznacza, że niemowlę jest chore. Zdałam sobie sprawę z tego, jak niewiele dotychczas wiedziałam o życiu, chroniąc się przed jego brudną stroną w czystych biurach.

Kiedyś, gdy pomagałam Mii zjechać ze zjeżdżalni, usłyszałam, jak kobieta siedząca na ławce za moimi plecami opowiada o poczuciu winy, jakie ma z powodu romansu.

– Nie mogłam się powstrzymać – wyznała, nawet nie ścisząc głosu. – Gdy tylko go zobaczyłam, poczułam się tak, jakby porwała mnie fala.

Słuchaczki pokiwały głowami, mrużąc słowa otuchy, a ja nagle poczułam się urażona. Ponieważ gdybym ja im powiedziała, że mnie też porwała fala miłości, raczej nie okazałyby mi podobnego zrozumienia.

[6](#) Lincoln Tunnel – mający półtora kilometra tunel drogowy pod rzeką Hudson.

[7](#) Rudolph Giuliani – burmistrz Nowego Jorku, m.in. wzmocnił policję i przeprowadził kampanię walki z przestępczością.

## Cheryl

Wkrótce po tym, jak Lucy wzięła Mię, zrobiłam coś, co, jak myślałam, będzie dla mojej siostry miłą niespodzianką. Skontaktowałam się z koleżanką ze szkoły, która pracowała w gazecie w naszym miasteczku, i poprosiłam, żeby zamieściła zawiadomienie o zaadoptowaniu przez Lucy dziecka. Gdy tylko się ukazało, wycięłam je i wysłałam Lucy, a ona natychmiast do mnie zadzwoniła. Myślałam, że chce mi podziękować. Ale była wściekła! Krzyczała na mnie, robiła mi wyrzuty, że przekroczyłam dopuszczalne granice, naruszyłam jej prywatność. Musiałam odsunąć słuchawkę od ucha. Przeprosiłam, ale nie mogłam zrozumieć jej reakcji, bo czy taki drobiazg mógł doprowadzić kogokolwiek do takiego szału. Przypisałam to przeprowadzce Lucy do Nowego Jorku, gdzie ludzie chyba wolą zachować dystans i żyć anonimowo.

## Lucy

Najtrudniejsze w powrocie do pracy było znalezienie solidnej opiekunki. Jak mogłam zostawić Mię? Jak mogłam ją porzucić tak, jak już kiedyś została porzucona? Jak mogłam ją zostawić z kimś, kto mógłby ją zabrać oczarowany nią tak, jak mnie oczarowała? Nękały mnie koszmary, w których wracałam do ciemnego, pustego mieszkania, rozbrzmiewającego pustką jej nieobecności. Musiałam jednak wrócić do pracy, żeby nas utrzymać. Gdy mój urlop „macierzyński” dobiegał końca, zmusiłam się do szukania w książce telefonicznej numerów agencji niań. Zadzwoiłam do tej, której nazwa wydała mi się najbardziej godna zaufania. Instytut Profesjonalnych Niań. Podobało mi się jej brzmienie, zawarta w nazwie obietnica, że w agencji zatrudnia się tylko kobiety, które już opiekowały się dziećmi zawodowo. Na pewno nie zaryzykowałyby swojej kariery, porywając jedną z podopiecznych. Zadzwoiłam, wyobrażając sobie rurociąg prosto z Londynu, przez który spływają do Ameryki sobowtóry Mary Poppins. Jednak chociaż kobieta, która odebrała telefon, miała krzepiąco brytyjski akcent, powiedziała, że z Anglii przyjeżdża już bardzo mało opiekunek. A firma była instytutem tylko z nazwy. Jedyny kurs, jaki oferowali, to zajęcia pomagające uzyskać zieloną kartę. Ich cennik mnie zbulwersował. Powiedziałam, że oddzwonię, i się rozłączyłam.

Kilka matek z placu zabaw znalazło opiekunki, wertując ogłoszenia w „Irish Echo”, tygodniku zawierającym najwięcej ofert niań w Nowym Jorku. Jednak kandydatki, z którymi się spotkałam, rozczarowały mnie: dziewczyna z Dublina, która przyszła na rozmowę z wielką torbą różowego popcornu w cukrze – jak Mia miałyby przejść od niej zdrowe nawyki żywieniowe? Młoda kobieta z Trynidadu, która chciała przychodzić do pracy z malutkim synkiem, żeby opiekować się obojgiem – a gdyby wybuchł pożar, które dziecko ratowałyby najpierw? Kobieta z Barbadosu, która była praczką Claudette Colbert – ale co ona wiedziała o opiece nad dzieckiem?

Zdałam sobie sprawę, że szukam osoby nie tylko profesjonalnej, ale też myślącej podobnie jak ja. Zaczęłam pojmować, jakiego zaangażowania wymaga udana relacja matka–opiekunka. Przypominała małżeństwo. W sumie niektóre matki z placu zabaw częściej widywały opiekunki swoich dzieci niż mężów.

Opiekunka to osoba, która będzie miała ogromny wpływ na moje dziecko, której będę musiała powierzyć pieczę nad rozwojem córki. Opiekunka może zmienić moje życie w koszmar lub w piękny sen. Ta świadomość nadawała decyzji ogromną wagę. Obleciał mnie strach. Znowu zaczęłam się zastanawiać nad zajęciem, które pozwoliłoby mi zostać w domu z dzieckiem. Mogłabym założyć firmę. Moi znajomi zrezygnowali z pracy w reklamie i zaczęli wydawać katalog z dziecięcymi ubrankami. Odnieśli sukces – czasami widywałam ludzi przeglądających ten katalog w metrze – ale to trwało całe lata. Ja nie miałam tyle czasu.

I wtedy, pewnego popołudnia, gdy pchałam wózek z Mią do sklepu na rogu, zobaczyłam na przystanku ogłoszenie. „Opiekunka – doświadczeniemowlaki”. Zostało napisane ręcznie i zastanawiałam się, czy połączenie wyrazów było celowe, jako zamierzony żart słowny. Litery stały ciasno, ale były równe, ozdobione eleganckimi zawijasami. Takiego pisma nie uczono od dziesięcioleci i dlatego wiedziałam, że ogłoszenie napisała starsza osoba. Chętnie zatrudniłabym starszą panią. Na placu zabaw słyszałam, że starsze nianie są bardziej odpowiedzialne.

Zadzwoiłam pod podany numer, odebrała kobieta z obcym akcentem, która powiedziała, że jest kuzynką opiekunki. Samej zainteresowanej nie było w domu, ale jest bardzo dobrą opiekunką, zapewniła mnie kuzynka. Powierzyła jej własnego syna, teraz jednak nie pracuje i już nie potrzebuje pomocy. Opiekunka ma umówione dwie rozmowy na następny dzień, czy ja też chcę się umówić. Tak, powiedziałam i ustaliłyśmy godzinę. Kobieta po drugiej stronie zaproponowała, że przyjdzie także. Ponieważ angielski opiekunki nie jest najlepszy, dodała. To mnie zaniepokoiło. Nie chciałam, żeby moim dzieckiem zajmował się ktoś, kto nie umie poprawnie mówić po angielsku. Odparłam, że zmieniałam zdanie, najwyraźniej jednak nastąpiło jakieś nieporozumienie, ponieważ następnego dnia o ustalonej godzinie zadzwonił dzwonek u drzwi.

To była kandydatka na opiekunkę. Przyszła sama – uprzejma, delikatna Chinka mniej więcej w moim wieku. Na rozmowę włożyła staromodną, jedwabną sukienkę, która przypominała mi stroje noszone przez moją matkę. Niegrzecznie byłoby jej nie wpuścić.

Uparła się, że nie może wejść do mieszkania w butach, i pomimo moich protestów zostawiła je na wycieracze. Bez obcasów była niższa i chociaż nie jestem olbrzymką, czułam się ogromna, kiedy prowadziłam ją, bosą, do salonu, gdzie Mia bawiła się w swoim skoczku. Wobec poprzednich kandydatek, z którymi rozmawiałam, dziewczynka zachowywała rezerwę, lecz gdy tylko zobaczyła tę kobietę, zaczęła skakać z radości, jakby już zostały przyjaciółkami.

Wskazałam Chince miejsce na kanapie, sama usiadłam naprzeciwko.

Zapytałam ją o doświadczenie z dziećmi. Jej angielski nie był taki zły.

Powiedziała, że opiekowała się synem kuzynki. Sama też miała syna, został w Chinach. Sięgnęła po torebkę, wyjęła plastikowy portfel, a z niego zdjęcie. Chłopiec nosił szkolny krawat i pozował na rowerze, z jedną stopą na pedale, drugą na ziemi.

– Wychowywałam go, dopóki nie skończył dwunastu lat – wyjaśniła, patrząc na zdjęcie.

Ząbkowane rogi były pozaginane i delikatnie przycisnęła je palcem. Teraz chłopiec ma czternaście lat, powiedziała, mieszka z jej mężem i rodzicami w Szanghaju.

Pieczołowicie schowała fotografię na miejsce, a ja pomyślałam, jakie to smutne, że musiała zostawić swoje dziecko w innym kraju, na drugim krańcu świata. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

## Wendy

Zostawiłam mojego syna, żeby pojechać do Meigu. Do „pięknego kraju” – tak po chińsku nazywa się Ameryka. Wyjechałam w 1988 roku, kiedy Lin miał dopiero dwanaście lat. Feng i ja chcieliśmy dla niego lepszego życia. Chcieliśmy lepszego życia dla naszej rodziny. Wtedy Chiny były bardzo biedne. Wielu ludzi chciało wyjechać z Chin, pojechać do innych krajów, żeby tam żyć i pracować: do Ameryki, Niemiec, Kanady. Ameryka była najlepsza, kraj tak bogaty, że jak mówiono, dzieci piją tam mleko jak wodę. W Chinach wiele rzeczy było wciąż wydzielanych. Potrzebowałam *liangpiao* – kartek – żeby kupić cokolwiek: mięso, olej, nawet ryż. Ile mogłeś tego kupić, zależało od tego, jak dużą miałeś rodzinę. Poza jajkami. Każdej rodzinie przysługiwały dwa tuziny jajek na miesiąc, bez względu na to, jak była duża. *Liangpiao* były jak złoto. Kiedy moja matka zmarła dwa lata temu, znaleźliśmy *liangpiao*, starannie owinięte w chusteczkę w pudełku w jej pokoju, trzymała je na wypadek gdyby wróciły ciężkie czasy.

Mój kuzyn pracował w Nowym Jorku. Razem z żoną mieli restaurację w Chinatown i potrzebowali kogoś do opieki nad synem. Ułożyliśmy taki plan, że ja pojedę do Stanów pierwsza, a potem Feng przyjedzie z Linem.

W latach osiemdziesiątych było bardzo trudno dostać amerykańską wizę. Stałam w długiej kolejce pod ambasadą całymi dniami, rodzina przynosiła ci jedzenie. Stany wymagały, żebyś miał wyciąg z konta bankowego pokazujący ekwiwalent trzech tysięcy dolarów amerykańskich. Pożyczaliśmy pieniądze od moich rodziców. Rodzice Fenga też zaproponowali pożyczkę, ale my jej nie przyjęliśmy. Wiedzieliśmy, że władze nie pozwalają obojgu małżonkom wyjechać za granicę w tym samym czasie, w obawie, że nie wrócą. Jeśli ci odmówili, nie mogłeś się starać o wizę przez następnych sześć miesięcy.

Dostałam wizę, ponieważ Feng kochał amerykański jazz. Wtedy słuchanie amerykańskich audycji było w Chinach zabronione i Feng w tajemnicy zmontował krótkofalowe radio. To też było niezgodne z prawem. Nikt nie mógł wiedzieć, inaczej zostałby aresztowany. Nie chciałam, żeby je miał, ale on mnie nie słuchał. Włączał je cicho, późno w nocy, kiedy ja już spałam. Radio nadawało też amerykańskie wiadomości.

W wieczór przed moim przesłuchaniem ćwiczyliśmy, co powinnam powiedzieć. Prawie nie mogłam spać tamtej nocy, bo powtarzałam sobie wszystko w głowie: jak mam się zachowywać, jak szybko mówić, kiedy wyglądać, jakbym myślała, kiedy odpowiadać od razu. Ale w końcu jest rano i Feng mną potrząsa.

– Obudź się. – Opowiada, że usłyszał w radiu coś, co pomoże mi dostać wizę. Twierdzi, że to mój as atutowy, ale nie mogę go odkryć, dopóki rozmowa się nie skończy. – Przesłuchanie nie jest skończone, póki nie zostanie zakończone – mówi.

Później stałam przy okienku w ambasadzie i nerwowo odpowiadałam na pytania, starając się

stać prosto przy jednej odpowiedzi, a pochylać głowę przy innej. Urzędnik spojrział w moje dokumenty i wyciągnął rękę po wielką, czerwoną pieczęć. Wiedziałam, że czerwona oznacza „odrzucone”. Wtedy zagrałam kartą, którą dał mi Feng.

Wzięłam głęboki oddech.

– Gratuluję panu.

Mężczyzna podniósł wzrok. Po raz pierwszy na mnie spojrział.

– Dlaczego mi gratulujesz?

– Ponieważ pana kraj ma statek kosmiczny, który wylądował na Księżycu.

To właśnie usłyszał Feng. Poprzedni statek kosmiczny Amerykanów się rozbił, ale teraz następnemu udało się wylądować.

– Naprawdę? – Urzędnik odwrócił się do innego, który właśnie za nim przechodził. Mówił po angielsku, ale wiedziałam, że pyta, czy to, co powiedziałam, jest prawdą.

Kiedy odwrócił się do mnie, rysy mu zmiękły. Dokumenty leżały między nami i przysunął je do siebie. Gdy mi je oddał, zamiast czerwonego stempla odmowy zobaczyłam czarny, oznaczający akceptację. Biegłam całą drogę do domu. Feng czekał na mnie w małym parku obok naszego osiedla. Poznał po mojej twarzy, że jego plan się powiódł. Zaczęliśmy płakać, ze szczęścia, ale też dlatego, że wiedzieliśmy, co to oznacza, że wyjadę, rozstanę się z nim i z naszym synem na długi czas.

Gdy minęło pierwsze podniecenie, zaczęłam się martwić. Zastanawiałam się, czy to wszystko jest warte takiego poświęcenia, przecież będę musiała zostawić moją rodzinę. Kiedy zwierzyłam się przyjaciółkom z moich obaw co do wyjazdu, powiedziały, żebym nie gardziła swoim szczęściem. Mówiły, żebym się nie martwiła o Lina, bo moja matka i Feng z pewnością go wychowają. Ale kiedy wypowiadały te słowa, ja czułam się tak, jakby rzucały we mnie kamieniami.

Spodziewałam się, że wsiadając do samolotu, będę czuła podniecenie, ale czułam tylko strach i ogromny smutek. Siedziałam przy oknie i machałam do Fenga i Lina, stojących przy barierce, machałam, dopóki samolot nie ruszył. Starłam się nie płakać. Chciałam, żeby mój syn widział, że jestem dzielna.

W samolocie było ciepło, więc poszłam do toalety, żeby zdjąć długie wełniane rajtuzy, jakie wtedy nosiły pod spodem Chinki. Był dopiero październik, ale włożyłam je, żeby mieć miejsce w walizce na prezenty, które wiozłam kuzynowi. Siedziałam tam przez długi czas, płacząc cicho w wełnę. Zostawiałam za sobą wszystko, co znałam, wszystko, co kochałam.

Kiedy pierwszy raz przyleciałam do Ameryki, byłam zdumiona, jak bardzo jest brudna. Nawet podłogi nowoczesnego lotniska były brudne. I te śmieci! W Chinach zostawia się kości, żeby ugotować na nich zupę, ale w restauracji w Chinatown je wyrzucaliśmy. Chociaż jedzenie jest bardzo drogie. Koszyk jaj, który w Chinach kosztuje grosze, w Ameryce kosztuje dolary. Dlatego jestem zaskoczona, że tutaj ludzie bogaci są chudzi, a biedni grubi.

Jednego, czego nie mogłam się doczekać, to Bożego Narodzenia. W Chinach słyszeliśmy o amerykańskiej Gwiazdce. Ale święta w restauracji wcale nie różniły się od zwykłych dni. Tylko klientów było więcej, ponieważ rodziny, które nie obchodzą Gwiazdki, idą na obiad do chińskich restauracji.

Po dwóch latach mój kuzyn przeniósł restaurację do Queens. Jego żona została w domu i nie potrzebowaliśmy dwóch kobiet do opieki nad jednym dzieckiem. Dlatego musiałam znaleźć inną pracę. Musiałam przecież zarabiać pieniądze, żeby posyłać je do domu.

Wieszam dużo ogłoszeń w dobrych dzielnicach w nadziei, że jakaś miła rodzina je zobaczy.

I tak poznaję Lucy. Na początku nie mogę uwierzyć, ile będzie mi płaciła za godzinę. O wiele więcej, niż zarabiałam u żony kuzyna. A Lucy potrzebuje wielu godzin, co mi pasuje. Nie mam tu żadnego innego zajęcia poza pracą.

Posyłam pieniądze, żeby Lin poszedł do dobrej szkoły. Posyłam pieniądze na jego nowe ubrania i nowy rower. Co tydzień dzwonię do domu, ale telefony są tak drogie, że stać nas tylko na to, żeby każdy się przywitał. Dzwonię o określonej godzinie, a oni przekazują sobie słuchawkę.

– Cześć, tu Feng. U mnie wszystko dobrze, a u ciebie?

– Cześć, tu mama. U mnie wszystko w porządku, a u ciebie?

Co dwa lata jeżdżę do domu, przywożę zabawki dla Lina i angielskie książki, które mu czytam. Napisaliśmy wiele listów. Ja wciąż mam jego listy. Szkoda, że Lin wyrzucił te, które do niego napisałam.

Po kolejnych dwóch latach, kiedy Lin miał już szesnaście lat, Fengowi też pozwolono wyjechać z Chin. Jednak władze nie pozwoliły mu zabrać Lina w obawie, że nie wróci. Więc Feng przyjeżdża sam, zostawiając Lina z moją matką. Wtedy mam już własne mieszkanie. Kiedy Feng też będzie zarabiał dolary, wkrótce będę mogła wrócić do domu i pomóc Linowi przejść przez liceum, na które nas teraz stać. Ale Feng znajduje tylko pracę w pralni. Zapachy tam są tak straszne, mówi, że psy powinny to robić. Ma tak małą pensję, że musi iść czterdzieści przecznic zamiast jechać metrem, inaczej nic by nie zarobił. Nie może znaleźć takiej pracy jak moja, dobrze płatnej i czystej. Więc Feng wraca do domu i nasz plan upada. Ja pracuję dla Lucy, dopóki Mia nie skończy piętnastu lat, jeżdżę do Chin tylko raz w roku. Potem moja matka zaczyna chorować i muszę wracać do Szanghaju, żeby się nią zająć. Ale wtedy Lin jest już dorosły.

Każdego dnia, który spędziłam z Mią, kochałam tę dziewczynkę. Ale zawsze w Ameryce tęskniłam za moim synkiem, którego kocham tak bardzo, że byłam w stanie go opuścić.



## Lucy

Następnego dnia, gdy nowa opiekunka przyszła do pracy, zapytałam ją o imię. Napisała je na skrawku papieru, ale porwała go Mia i już nic nie dało się odczytać.

Na początku nie odpowiedziała.

– Jak masz na imię? – powtórzyłam wolniej, myśląc, że nie zrozumiała.

Jednak ta kobieta mnie zaskoczyła.

– A jak by pani chciała?

Co to za pytanie?

Wyjaśniła, że koniecznie musi mieć amerykańskie imię. Zaczęła chodzić na lekcje angielskiego do kościoła w Chinatown i w tym tygodniu w ramach pracy domowej mieli zadane wymyślić sobie amerykańskie imię.

Spojrzała na mnie z nadzieją, a ja nie potrafiłam jej wytłumaczyć mojego amerykańskiego oporu przed odbieraniem jej własnego imienia i nadawaniu innego.

Zapytałam, jak brzmiało jej chińskie imię. Wanling, powiedziała. To piękne imię, odrzekłam. Nie potrzeba jej innego. Ale upierała się, że chce mieć amerykańskie imię. Uznała, że to jej pomoże bardziej stać się Amerykanką.

Mia wierciła się w moich ramionach i przypomniałam sobie książki z imionami dla dzieci.

Zacząłyśmy szukać imienia, zaczynającego się na W. Nie było ich wiele. „Winifred” uznałam za okropne. „Wanda” jeszcze gorsze.

– Winona? – zapytałam. – Winsome? Wendy?

Gdy tylko powiedziałam „Wendy”, Chinka powtórzyła imię, jakby je smakowała.

– Wendy. – Uśmiechnęła się, pokazując na siebie i wtedy pierwszy raz widziałam chiński sposób wskazywania – przykłada się palec nie do piersi, lecz do nosa.

Wyciągnęła z rękawa czystą, złożoną chusteczkę i pochyliła się do Mii, żeby delikatnie wytrzeć ślinę z jej ust.

– Ale ty mów do mnie *ayi* – powiedziała, ostrożnie biorąc małą ode mnie. – To znaczy „ciociu” – wyjaśniła mi.

Mia uśmiechnęła się swoim dwuzębnym uśmiechem, oczarowana. Tak jak ja.

Martwiłam się, zostawiając dziecko pod opieką osoby, która nie władała biegle naszym językiem. Angielski Wendy pozostawiał sporo do życzenia, jednak wprawnie posługiwała się mową najważniejszą dla półrocznego dziecka, pozawerbalnym językiem opiekunki. Siedziała na podłodze, bawiąc się z Mią, i nigdy nie wydawała się zmęczona wrzucaniem klocków przez dziurki czy budowaniem wież z plastikowych cegiełek. Śpiewała piosenki po chińsku i czytała

kartonowe książeczki i kolorowe komiksy. Przynosiła je z Chinatown razem z kasetami wideo o przygodach Monkey King i przewijała filmy do scen, przy których Mia się śmiała.

Uspokajał mnie fakt, że mieszkaliśmy na pierwszym piętrze, a na dole był portier. W naszej okolicy telefony alarmowe działały wyjątkowo sprawnie. Mieszkaliśmy przy szerokiej ulicy.

Kupiłam pager i opracowałam skomplikowany system, według którego Wendy zawsze mogła się ze mną skontaktować. (To były czasy przed telefonami komórkowymi). „333” oznaczało, że wszystko w porządku i Mia chce tylko usłyszeć mój głos. „999” oznaczało, że Wendy ma jakiś niewielki problem lub pytanie i mam zadzwonić, kiedy będę mogła. „666” oznaczało ALARM – mam natychmiast zatelefonować do domu. Dlaczego wymyśliłam tak podobne kody? Potem kilka razy zdarzyło mi się zerknąć na pager leżący do góry nogami i pomyliłam „999” z „666”. Żołądek podszedł mi do gardła i nie mogłam wystarczająco szybko sięgnąć po mały czarny aparat, wibrujący, jakby był sercem, moim sercem, linią życia, łączącą mnie z dzieckiem. Ale dopóki leżał cicho, ufałam, że wszystko jest dobrze.

## Lucy

Mii nigdy nic się nie stało, kiedy była pod opieką Wendy. Kod „666” nigdy się nie pojawił na wyświetlaczu. Tylko będąc pod moją opieką, dziewczynka robiła sobie krzywdę. Na przykład wtedy, gdy uczyłam ją jeździć na rowerze. Przewróciła się na chodnik, a z jej kolana popłynęło tyle krwi, że porwałam ją na ręce i pobiegłam trzy przecznice do gabinetu lekarskiego. Potrzebne było szycie i ścisnęłam Mię za rękę, trzymając głowę małej zwróconą w moją stronę, żeby nie musiała patrzeć na igłę. Lekarz założył trzy szwy. Radził założyć sześć, żeby nie została blizna, ale nie mogłam pozwolić, by cierpiała więcej, niż to było konieczne.

Wcześniej nastąpił dzień, kiedy myślałam, że ją straciłam. Wendy nigdy jej nie zgubiła, a ja tak. Tamtego dnia zrozumiałam ogrom zła, jakie wyrządziłam Marilyn, brutalne przestępstwo, jakie wobec niej popełniłam.

To się stało w Bon Point, luksusowym sklepie z artykułami dla dzieci na Madison Avenue, którego już nie ma. Mia była malutka, miała koło półtora roku. W ten wczesny sobotni poranek w sklepie nie było innych klientów. Wpadłyśmy na chwilę po prezent w drodze na jakieś pępkowe.

Rozmawiałam z kobietą stojącą za ladą o przedmiotach leżących pod szkłem, a Mia bawiła się u moich stóp, w każdym razie tak myślałam. Dałam jej jedną z plastikowych zabawek, które Wendy wozila w siatkowej torbie, przyczepionej do wózka. Nagle spojrzałam w dół, a Mii tam nie było. Pamiętam, że nie mogłam oderwać oczu od miejsca, w którym przed sekundą siedziała, byłam pewna, że wzrok płata mi figle. Upłynęła długa chwila, zanim zrozumiałam, że musiała gdzieś odpełznąć. Nie znajdowała się nigdzie w zasięgu wzroku, ale nie mogła zbytnio się oddalić. Jeszcze nie potrafiła chodzić. Późno zaczęła stawiać pierwsze kroki.

– Gdzie moje dziecko?! – wrzasnęłam do kobiety za ladą, chociaż stała ode mnie na wyciągnięcie ręki. Jej oczy rozszerzyły się za okularami do czytania w szylkretowej oprawie i natychmiast krzyknęła do drugiej sprzedawczynie:

– Zamknij frontowe drzwi!

Reakcja była tak błyskawiczna, że pomyślałam ze strachem, że to nie pierwszy raz. Dlaczego miały otwarte drzwi? Wtedy w żadnym sklepie na Madison nie zostawiano otwartych drzwi. Carnegie Hill, jak wtedy nazywano tę okolicę, jeszcze nie była tak elegancka jak teraz.

Druga kobieta wbiegła po kilku stopniach i zatrzasnęła drzwi. Ale ja pobiegłam za nią, otworzyłam je na oścież i wypadłam na szeroki chodnik, rozglądając się w poszukiwaniu postaci, uciekającej z moim dzieckiem. Madison Avenue była opustoszała, długie chodniki zdawały się wyludnione niczym w mieście duchów i – chociaż to niemożliwe – w moim wspomnieniu tamtej chwili nadlatują ku mnie suche szarłaty, niesione wiatrem, gwizdzącym w pustej alei.

Przed samym sklepem stał samochód kombi. Miał przyciemniane szyby. Pochyliłam się i przycisnęłam czoło do okna pasażera z przodu, osłaniając oczy dłońmi, żeby zobaczyć, co jest w środku. W samochodzie znajdowały się dzieci, ale żadne z nich nie było Mią. Mężczyzna w średnim wieku, siedzący za kierownicą, zdumiony podniósł wzrok znad gazety. Bez słowa czy gestu przeprosin – mimo wszystko ten człowiek starał się zachować uprzejmie – odwróciłam się i popędziłam z powrotem do sklepu. Kobieta, która otworzyła mi drzwi, zapytała o imię mojej córki i wkrótce w sklepie rozbrzmiewał chór głosów:

– Mia! Mia? Mia!

Za każdym razem odczuwałam to jak cios w pierś i zdałam sobie sprawę, że ból, który sprawił Marilyn, był fizyczny. Składałam obietnicę wszechświatowi: jeśli Mia się znajdzie, wszystko naprawię. Oddam ją. Znajdę jakiś sposób, żeby to zrobić i nie zostać złapaną. Płacono mi duże pieniądze za rozwiązywanie problemów. Jeśli tylko się zastanowię, znajdę rozwiązanie i tego. Jeśli Mii nic się nie stanie, jeśli nie jest ranna ani martwa, zrobię wszystko, absolutnie wszystko, czego będzie się ode mnie wymagać. Jedyne, o czym mogłam myśleć, co powtarzałam w głowie bez końca, była modlitwa, mantra: Proszę, proszę, proszę, niech Mia do mnie wróci.

Nadal wołałam jej imię, nasycając słowo błaganiem (Mia?), niecierpliwością (Mia!) i rozpaczą (MIA!).

Zaraz, pomyślałam, wezwą policję i już widziałam oczyma duszy, jak się załamuję pod gradem pytań. Zdradzę mój sekret, nie dbając o konsekwencje. Żadne konsekwencje nie będą miały żadnego znaczenia, jeśli Mia zaginęła.

I wtedy usłyszałam słowa:

– Tutaj jest!

Popędziłam w kierunku, z którego dobiegł głos sprzedawczynie. I zobaczyłam Mię. Była zupełnie bezpieczna, siedziała sobie wewnątrz okrągłego wieszaka na ubrania, które rozsunęła ekspedientka. Schowała się. Podniosła na mnie wzrok, spokojna, nieporuszona. W oczach miała ten błysk satysfakcji, który pojawiał się zawsze, gdy zrobiła kupę – coś, co lubiła robić w samotności, chociaż pielucha skrywała jej dzieło.

– Mia! – zawołałam; łzy przesłoniły mi wzrok, gdy sięgałam między ubrania, żeby wziąć ją na rękę. Dolatujący od niej zapach wydał mi się najśladszym aromatem, jaki kiedykolwiek wdychałam.

Nie poszliśmy na pępkowe. Zmieniłam Mii pieluszkę w przebieralni – sprzedawczynie prawie wychodziły ze skóry, wskazując mi drogę – i zabrałam małą do domu. W taksówce trzymałam ją na kolanach, a ręce nadal mi drżały z wdzięczności za to, że ją mam.

Była jesień. Jechaliśmy przez Central Park do West Side, pod żółcią, czerwienią i złotem, lśniącym na błękitnym niebie. Mijałyśmy rolkarzy, rowerzystów, spacerowiczów i biegaczy, a wszyscy zmierzali w tym samym kierunku, jakby rozpoczął się jakiś exodus.

Wyjeżdżając z parku, minęłyśmy neon cyrku Big Apple. Zanotowałam w pamięci, żeby kupić bilety, i zdałam sobie sprawę, że jednak nie zamierzam dotrzeć do obietnicy, złożonej wszechświatowi.

## Wendy

Mia była dużym, grubym dzieckiem, więc noszenie jej nie było dla mnie łatwe. Zaczęła chodzić dopiero, jak skończyła półtora roku. To bardzo późno. Lin postawił pierwszy krok przed swoim przyjęciem Zhua Zhou, które wyprawia się dla dzieci kończących rok. Tego dnia przestaliśmy nazywać go jego mlecznym imieniem, które mu nadaliśmy, żeby oszukać bogów, przekonać ich, że chłopiec nie jest wart uwagi, by nie zabrali go z powrotem. Jego mleczne imię brzmiało MuMu co oznacza „drewno”. Mój mąż i ja tak naprawdę nie wierzymy w tę tradycję, ale nie chcieliśmy ryzykować losu naszego dziecka.

Wiem, że Mia zaczęła tak późno chodzić z mojej winy. Bałam się, że coś sobie zrobi. Bałam się pozwolić, żeby uczyła się chodzić po mieszkaniu, bo na podłogach nie było dywanów. Niektóre były marmurowe, inne drewniane, a wszystkie twarde. Lucy nie miała dywanów, uważała, że podłogi są piękne, i nie chciała ich zakrywać. Kolejny przykład amerykańskiego myślenia.

Martwiłam się, że Mia upadnie i uderzy głową w coś twardego. Wszędzie ją nosiłam – z kuchni do sypialni, do salonu, gdzie oglądałyśmy w telewizji Monkey King. W końcu, pewnego dnia, moje ramiona były tak zmęczone, że prawie ją upuściłam. Wtedy wiedziałam, że muszę ją nauczyć chodzić. Jedynym miękkim miejscem na podłodze był okrągły dywan w pokoju Mii; leżał obok łóżeczka, żeby dziecko, jeśli wypadnie, nie wylądowało na twardej podłodze. Tam ćwiczyłam z Mią chodzenie.

Na początku ona nie chce chodzić. Wiem dlaczego. Myśli: dlaczego miałabym chodzić? Mia siedzi jak mały Budda, wszystko jest przynoszone do niej albo ona jest niesiona do wszystkiego. Ja mówię, mówię i mówię do niej, bez końca, powtarzam, że musi nauczyć się chodzić. Tłumaczę jej, że jest już dużą dziewczynką, że musi stanąć prosto i chodzić jak dorosła pani. Ale przez wiele dni ona tylko siedzi, podnosi ramiona w górę i płacze: „*ayi! ayi!*”, czekając, aż wezmę ją na rękę. Próbuję ją przechytryć i wychodzę z pokoju, żeby sprawdzić, czy poradzi sobie sama. Ale nie. Przypęłza do mnie, gdy wchodzę, staje, przytrzymując się mojej nogi, i płacze, żebym wzięła ją na rękę.

Pewnego dnia jesteśmy w parku i bawimy się w piaskownicy. Jest tam jeszcze jedna Chinka z dzieckiem, którym się opiekuje. Chłopiec jest młodszy od Mii, ale już chodzi. W pewnym momencie wstaje, przecina piaskownicę, wyjmuje Mii łopatkę z ręki i zanosi z powrotem tam, gdzie się bawił. Mia nie płacze, tylko wygląda na zaskoczoną. I wtedy ona też wstaje i robi kilka kroków po piasku, żeby odzyskać swoją łopatkę. Kiedy to widzę, zaczynam klasnąć i pokrzykiwać. Jestem taka szczęśliwa. Mówię drugiej opiekunce i ona też klaszcze, chociaż teraz jej dziecko płacze. Nasze oklaski i okrzyki sprawiają, że Mia stawia kolejny krok i następny.

Tamtego dnia nie powiedziałam Lucy, że Mia zaczęła chodzić w piaskownicy. Zachowałam to w tajemnicy, ponieważ jestem opiekunką, ale też matką. Wiem, że matka chce zobaczyć na własne oczy pierwsze kroki swojego dziecka. Nie chce, żeby opiekunka widziała je pierwsza. Dlatego kiedy Lucy wraca do domu, ja czekam, aż do nas przyjdzie. Siedzimy z Mią na dywanie w jej pokoju i bawimy się. Gdy Lucy wchodzi, pomagam Mii wstać i zaczynam klaskać, jakby to była część naszej zabawy. Nagle Mia robi krok w stronę Lucy, potem drugi, zanim upadnie.

– Ona chodzi! – woła Lucy, rzuca swoją wielką torbę i biegnie do Mii.

Bierze ją na ręce, a ja uśmiecham się i wyglądam na zaskoczoną, jakbym nigdy wcześniej tego nie widziała. Lucy patrzy na mnie, do jej oczu napływają łzy i zastanawiam się, czy ona wie, że to nie są pierwsze kroki Mii, ale jest zadowolona z mojego milczenia.

## Lucy

Przez cały czas wstrzymywałam oddech w oczekiwaniu na karę. Kiedy na mnie spadnie? Nie miałam pojęcia. Ale podejrzewałam, że los szykuje dla mnie jakąś odpłatę.

Kiedy Mia skończyła trzy lata, zapisałam ją do przedszkola we Florence School po drugiej stronie miasta. Florence była – nadal jest – szkołą tylko dla dziewcząt. Chciałam posłać Mię do takiej szkoły. Sama chodziłam do szkoły dla dziewcząt i lubiłam się uczyć w towarzystwie przedstawicielek swojej płci. Kiedy zwiedzałam szkoły, zauważyłam, że hałaśliwi chłopcy skupiają na sobie najwięcej uwagi.

Żeby ją zapisać, potrzebowałam oczywiście aktu urodzenia i papierów z adopcji. Sfałszowanie ich okazało się prostsze, niż się spodziewałam. Przeczytałam w gazecie, że w Kansas spłonął urząd miasta. Wszystkie dokumenty poszły z dymem. Grafik z agencji stworzył dla mnie akt urodzenia. Powiedziałam mu, że to żart dla klienta. Jako datę urodzin wybrałam dwudziesty szósty kwietnia, kilka bezpiecznych tygodni po jej prawdziwych urodzinach, których datę oczywiście znałam z wiadomości.

Kupiłam polaroid, ponieważ przez te pierwsze lata bałam się robić jej prawdziwe zdjęcia. Obawiałam się, że uważny pracownik laboratorium fotograficznego może dostrzec coś, co wzbudzi jego podejrzenia. Wtedy jeszcze nie było aparatów cyfrowych. Filmy wywoływano w laboratoriach, długie wstążki kliszy trzeba było rozwinąć z metalowych puszek i wywołać w ciemni, po czym naświetlić, pochylając się troskliwie nad każdym ujęciem. Dopóki Mia nie poszła do przedszkola, robiłam tylko zdjęcia, które wywoływały się same. Mam dwa z nich przy sobie. Trzymam je schowane w jednej z jej rękawiczek w szufladzie, w ciemności, żeby nie zblakły. Na jednym Mia ma po raz pierwszy obcinane włosy. Oto ona, w wieku dwóch lat, okryta elegancką, czarną, jedwabną peleryną z wytłoczoną nazwą salonu przy Madison Avenue, popatruje niepewnie na nożyczki, wycelowane w loczek na czole. Na drugim zdjęciu, zrobionym kilka lat później, w Halloween, stoi przebrana za Alicję w Kranie Czarów. Ma na sobie biały, obsyty falbanką fartuszek, przysłaniający bladobłękitną sukienkę, i skórzane pantofelki, które kupiłam w ekskluzywnym sklepie niedaleko Florence. Paska od bucików nie można było zapiąć palcami, trzeba było użyć staromodnego haczyka do guzików, dołączonego do butów. Później dowiedziałam się od Mii, że Wendy nienawidziła tych butów i że uciążliwe manipulowanie haczykiem okazało się jedyną rzeczą, jaka była w stanie wyprowadzić ją z równowagi. Chociaż ona sama nigdy mi się nie poskarżyła.

Najpierw szykowałam się do pracy, a potem ubierałam Mię do szkoły. Nakładając jej ubranie, zawsze rolowałam regulaminowe skarpetki i gdy wyglądałam koronkę, starałam się odepchnąć

myśli, co by się stało, co by się przydarzyło Mii, gdyby świat był sprawiedliwy. Zamykałam oczy przed potwornymi obrazami, takimi jak osłonięte koronką kostki Mii, odcięte w wyniku jakiegoś strasznego wypadku, gdy mała wpada pod autobus, miażdżący jej ciało – to się przydarzyło przed laty pewnej dziewczynce z Florence; imię widniało wygrawerowane na tabliczce w szkolnej bibliotece. Jej rodzice mieli drugą córkę, która chodziła do grupy Mii. Byli dobrymi ludźmi, nie zasługiwali na coś takiego, a na pewno o wiele mniej niż ja.

Martwiłam się, że w śledztwie FBI może nastąpić przełom, że agenci przyjdą do naszego domu i ją zabiorą. Całymi latami z drżeniem wchodziłam do holu, szukając na twarzy portiera sygnału, że była u nas policja.

Przestałam się martwić, dopiero gdy Mia skończyła pięć lat, po pewnym wydarzeniu na szkolnej wycieczce.

Zgłosiłam się jako opiekunka na wycieczkę do fabryki ciast. Wtedy w Chelsea było mnóstwo fabryk, które jeszcze nie zamieniły się w przeszklone gabloty sztuki. Wiele matek dziewczynek z grupy Mii nie pracowało i starałam się wykorzystać każdą okazję, żeby udowodnić im i mojemu dziecku, że chociaż mam pracę, która odbiera mnie córce na wiele godzin, to jestem równie troskliwą matką jak one.

Było nas około dwudziestu: piętnaście pięciolatek, dwie nauczycielki i kilka matek oprócz mnie. Mia cieszyła się, że się zgłosiłam, była jeszcze na tyle mała, że nadal chciała mieć mnie obok siebie. Powierzono mi pieczę nad trzema dziewczynkami, Mią i jej dwiema koleżankami. Pamiętam, jaka szczęśliwa była tamtego dnia i ja też. Patrzyłam, jak dokazuje na przystanku z innymi dziewczynkami w plisowanych szarych spódniczkach i fartuszkach w czerwonej kratkę, w których wyglądały jak miniaturowe mleczarki.

Po zwiedzeniu fabryki, kiedy to dziewczynki ciągle chichotały na swój widok w obowiązkowych siatkach na włosach, wyszliśmy na ulicę, gdzie mieścił się firmowy sklep z ciastami. Kolejka była długa i gdy stanęłam na końcu, trzymając Mię za rękę, przy krawężniku za oknem wystawowym zaparkował radiowóz. Gardło mi się zacisnęło, a serce zaczęło walić niczym młot i gdy policjanci stanęli za mną w kolejce, bałam się, że bije tak mocno, że wprawi złotą szpilę w mojej jedwabnej bluzce w drgania, które powiedzą wszystko.

Nie miałam żadnego powodu przypuszczać, że obecność policji w sklepie jest w jakikolwiek sposób powiązana ze mną. Jednak mój umysł szalał na myśl, że istnieje taka możliwość, że przyjazd funkcjonariuszy oznacza, iż śledczy nadal podążają dawno zatartym tropem uprowadzenia. Prawie czułam ich oddech na karku.

Pozwoliłam, by dłoń Mii wysunęła się z mojej, i odwróciłam się do policjantów. Z promiennym uśmiechem zaproponowałam, że przepuszczę ich w kolejce. Byli młodzi, mieli po dwadzieścia kilka lat, mężczyzna i kobieta. Zastanawiałam się, czy ona jest matką i czy posiada matczyny szósty zmysł. Uśmiechnęła się do mnie, a potem spojrzała w dół, na moje małe stadko. Cieszyłam się, że nie zatrzymała wzroku na Mii.

– Nie, dziękujemy – powiedział jej kolega, dotykając daszka czapki. – Możemy poczekać.

Czy to była zamierzona ironia? Czy mówiąc to, miał na myśli, że czekają, aż popełnię błąd, pozwalający im połączyć mnie z przestępstwem, które popełniłam, z którym na razie nie mogli mnie powiązać?

Nie było żadnych logicznych przesłanek do takiego myślenia, ale strach ścisnął mi wnętrze, wciągając się wokół nich niczym wąż.

Odwróciłam się do lady. Stałyśmy na końcu kolejki, byłyśmy ostatnie z całej grupy, ponieważ po drodze musiałyśmy jeszcze wejść do toalety.



Czułam wzrok policjantów, wwiercający się w tył mojej głowy. Byli tak blisko mnie, na tyle blisko, jak mi się wydawało, żeby wszystkie te myśli przeskoczyły z mojej głowy do ich, myśli, które starałam się powstrzymać kośćmi czaszki, niedorzeczny wysiłek, z czego zdawałam sobie sprawę, już gdy to robiłam, ale i tak nie mogłam przestać.

A jeśli oni – czy też ta kobieta – czytają w moich myślach? Jeśli ona wyczuje, co łączy Mię i mnie? Kiedyś twarz maleńkiej Mii widniała na kartonach z mlekiem, zanim zaprzestano umieszczania na nich zdjęć zaginionych dzieci. Wprawdzie wtedy Mia prawie wcale nie przypominała tej z fotografii, nie mówiąc o Mii obecnie, ale jeśli policjantka nalewała mleko z tego kartonu, zapamiętała buzię zaginionego dziecka. A może została wyszkolona przez policyjnych artystów, którzy przedstawiali obecne twarze poszukiwanych, wydłużając owal, dodając włosy, nadając kształt nosowi, ustom, oczom?

Nagle od słodkiego zapachu ciast zrobiło mi się niedobrze i bez słowa złapałam za ręce obie dziewczynki w nadziei, że w ten sposób udowodnię stojącym za mną policjantom, że jedna z nich jest moją córką. Nigdy nie zapomnę wyrazu zawodu na twarzy Mii, gdy zdała sobie sprawę, że wychodzę ze sklepu z innymi dziećmi, nie z nią. Poszła za nami, tak jak się spodziewałam.

– Zaczerpniemy trochę powietrza – wyjaśniłam moim podopiecznym, sadowiąc się z nimi na ławce przed sklepem. Siedziałyśmy tam, dopóki policjanci nie wyszli, mijając nas bez jednego spojrzenia, skupieni na swoich porcjach ciasta.

Wtedy zrozumiałam – ujdzie mi to na sucho.

## Marilyn

W pierwsze dni po porwaniu byłam tak przytłoczona poczuciem winy, że ledwo udawało mi się zwlec z łóżka.

Jak mogłam zostawić swoje dziecko? Tom nigdy nie zadał mi na głos tego pytania, ale wiedziałam, że o tym myślał. Ja też się zastanawiałam. Ciężar tego, co zrobiłam, czasami przygniatał mi pierś, przygwałdział mnie tak, że nie mogłam się ruszyć.

Innym razem nie mogłam się opanować. Byłam rozgorączkowana. Moja żaloba zmieniała się w przerażenie. Sprzątałam i sprzątałam, szorowałam wszystko w domu: ściany pokoju dziecięcego, łazienki, kuchnię; pucowałam wszystko, dopóki nie wykorzystałam ostatniej butelki płynu do czyszczenia, jaką miałam w szafce. Przez cały boży dzień szorowałam wszystkie powierzchnie, aż padałam na łóżko wyczerpana, ze spierzchniętymi dłońmi. Tarłam i tarłam plamę po winie, które rozlałam obok łóżka, ale nigdy nie zniknęła. Na czworakach szorowałam podłogę w pokoju Natalie. Zdjęłam białe zasłony i wybieliłam je, nie używając rękawiczek. Chciałam ukarać moje dłonie, które zgubiły dziecko. Myłam jej ściany, prałam pościel, szorowałam przewijak mojej córki, wszystko, co kiedyś było jej i, jak miałam nadzieję, znowu będzie do niej należało. Kiedy tak czyściłam, kiedy się starałam, żeby wszystko było idealne na jej powrót, torturowałam się, odtwarzając bez końca w głowie tamten dzień, nadając mu inny przebieg niż ten rzeczywisty: Nie zabieram dziecka na zakupy, zostaję w domu i pracuję. Nie odbieram w sklepie telefonu, w ogóle go nie słyszę, bo jest zakopany głęboko w torbie. Odbieram telefon, ale połączenie zostaje przerwane, więc szybko kończę zakupy, wracam z Natalie do domu i dopiero wtedy oddzwaniam, nieświadoma, że w ten sposób udało mi się zapobiec tragedii.

Nienawidziłam uników, jakie zaczął robić Tom, jego prób odciążenia się od bólu, wyparcia koszmaru, którego nie dało się ignorować.

Wkrótce zaczęliśmy funkcjonować w krańcowych godzinach dnia: on wczesnym rankiem, ja nocą. Nasze orbity rzadko się przecinały. Jednak pewnej nocy, kiedy wreszcie przyszłam do sypialni, zobaczyłam, że jego połowa łóżka jest pusta. Poszłam go szukać, może źle się poczuł. Mijając pokój Natalie, zobaczyłam go tam, w świetle księżycy; klęczał na dywanie, zaciskał dłonie na barierce łóżeczka, wspierając czoło o szczebelki. Nie słyszałam żadnego dźwięku, ale po drzeniu jego pleców widziałam, że szlochał. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak Tom płacze. Ja to zrobiłam, powaliłam mojego męża na kolana. Wróciłam do łóżka i nigdy mu o tym nie wspomniałam.

Dni zdawały się mijać w zwolnionym tempie i na przyspieszonych obrotach jednocześnie. Przez większość czasu czułam się tak, jakby nic nie łączyło mnie ze światem. Każdego dnia całymi godzinami rozmyślałam, gdzie jest Natalie. Zastanawiałam się, czemu spotkało nas coś

tak potwornego, Toma i mnie. Ale tak naprawdę to była moja wina. On nigdy tego nie powiedział, ale wiedziałam, że tak myśli. Ja też tak myślałam. I jego rodzice. Przyjechali w pierwszy weekend. Żadne z nich ani razu nie spojrzęło mi w oczy.

Za każdym razem gdy patrzyłam na mojego męża, widziałam twarz Natalie. Jej czoło. Kształt jej oczu, jej podbródek. Nie chciałam już na niego patrzeć. On nie był nią. Nie mógł mi jej zwrócić. Nikt nie mógł.

Pewnego dnia usłyszałam piosenkę ze skoczka Natalie. Byłam w pralni. Uznałam, że Tom ją włączył z jakiegoś powodu. Wściekła popędziłam korytarzem do jej sypialni, ale skoczek stał cichy i nieruchomy. Nie miałam pojęcia, skąd się wzięła ta muzyka, dopiero później zdałam sobie sprawę, że to Natalie daje mi znak, iż nadal jest na tym świecie.

Tom i ja coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie i od innych ludzi. Na początku chętni do pomocy sąsiedzi tłoczyli się w naszym domu, jednak po kilku miesiącach woleli nas unikać. Kiedyś w sklepie spożywczym koleżanka z klubu książki na mój widok odwróciła wózek w drugą stronę. Nie dziwię się jej. Nikt nie wiedział, co powiedzieć. Przestałam chodzić na spotkania klubu książki. Przestałam chodzić gdziekolwiek, w ogóle nie wychodziłam z domu, o ile nie było to bezwzględnie konieczne. Zaczęłam czuć urazę do ludzi, których dzieci nie zginęły.

Kim byliśmy teraz, kiedy nie mieliśmy już naszej córeczki? Czy nadal byliśmy rodzicami? Tom chciał to wiedzieć. Zapewniłam go, że jesteście rodzicami i zawsze nimi będziemy. Byliśmy rodzicami małej dziewczynki, która gdzieś tam jest. Jednak on przestał w to wierzyć. Stracił nadzieję. Rozstaliśmy się, uznając, że przecinamy problem na pół i teraz każde z nas będzie musiało się zmagać tylko z połową cierpienia. Jednak rozstanie jedynie pogorszyło sprawę, przynajmniej dla mnie.

## Tom

Oto my w 1990 roku, świeżo upieczeni rodzice. Stawialiśmy pierwsze kroki w opiece nad dzieckiem, ucząc się, czego nasza córka chce, co lubi, dopiero wyczuwając, kim ona jest, jaki ma charakter. Rozmawialiśmy o niej bez przerwy, Marilyn i ja planowaliśmy jej przyszłość, marzyliśmy, co będzie robić, kim pomożemy jej zostać. Może zostanie gwiazdą rocka. A może będzie pierwszą gwiazdą rocka, która zostanie prezydentem.

I nagle, pewnego dnia, bez ostrzeżenia czy wyjaśnień, ta istota, ta część naszego życia, zniknęła. Moja żona robiła zakupy z córką i nagle robiła zakupy bez córki. Dziecko było nasze i nagle już do nas nie należało. Nie dostaliśmy żadnych listów ani telefonów, więc rozumieliśmy, że nie chodziło o okup.

Szukałem jej razem z policją. W nocy organizowaliśmy ekipy poszukiwawcze z latarkami. Czasami szedłem do biura po nieprzespanej nocy, wytaczałem się z windy, nie mając pojęcia, gdzie jestem.

Przez kilka pierwszych miesięcy odchodziłem od zmysłów, układając w głowie przeróżne scenariusze, na przykład że naszą córkę porwali rosyjscy gangsterzy, żeby ją sprzedać bogatym Niemcom.

Pewnej nocy wydawało mi się, że słyszę płacz Natalie. Obudziłem się, wiedząc, że to niemożliwe, ale znowu usłyszałem jej cichy płacz. Wstałem z łóżka i poszedłem do jej pokoju, łudząc się, że może zobaczę nasze dziecko w łóżeczku. Ale czy to mogło być możliwe? Wciąż na wpół spałem, jednak nie czułem się, jakbym śnił. Zajrzałem do jej łóżeczka i zobaczyłem tylko światło księżyca, oczywiście dziecka tam nie było. Materacyk był pusty. I wtedy zrozumiałem, że Natalie do nas nie wróci. Minęły miesiące, odkąd ją straciliśmy. Byłem pogrążony w żalu za córką, która nigdy nie wróci. Musiałem stawić temu czoło.

Tragedie dotyczą wielu ludzi. Możesz pozwolić, żeby cię zniszczyły, albo pójść dalej.

Ja zabroniłem sobie myśleć o tym, co się dzieje z naszym dzieckiem. Nie potrafiłem i nie chciałem sobie wyobrazić, co się z nią stało. Co dobrego by z tego wynikło?

Chciałem, żeby moja żona też przestała o tym myśleć. Uznałem, że będzie dla niej lepiej, jeśli zacznie żyć chwilą obecną. Myślałem, że będzie lepiej dla nas, jeśli pójdziemy dalej, przestaniemy żyć dla dziecka, którego już nie mamy, a zaczniemy żyć dla siebie nawzajem. Ale nie umiałem znaleźć słów, żeby jej to wytłumaczyć, a w każdym razie nie takie, jakie chciałyby usłyszeć.

## Marilyn

Nie mogłam już sobie ufać. Nie mogłam polegać na własnej ocenie sytuacji. Popełniłam potworny błąd, oddalając się od mojego dziecka. Jak mogłam polegać na sobie, że nie popełnię podobnych błędów w przyszłości?

Przestałam gotować i często zapomniałam o jedzeniu. Podczas mycia włosy wychodziły mi garściami – i nic mnie to nie obchodziło. Czasami, zamiast sprzątać, spędzałam cały dzień w łóżku z książką. Czytałam tylko te o porwaniach, o dzieciach, które zaginęły – synek Lindberga<sup>8</sup>, Etan Patz<sup>9</sup>, Adam Walsh<sup>10</sup>. Myślałam, że może historie innych porwań naprowadzą mnie na jakiś trop, podpowiedzą, dokąd zostało uprowadzone moje dziecko.

FBI współpracowało z grupą jasnowidzów i czasami do nich wydzwaniałam, zasypując ich pytaniami, próbując wyciągnąć jakiegokolwiek informacje, jakie mogliby uzyskać z kosmosu. Po skończonej rozmowie brałam się do sprząkania. Albo szłam na spacer. Chodziłam i chodziłam. Maszerowałam godzinami, żeby tylko nie siedzieć w pustym domu. Schudłam czternaście kilo. Na początku byłam z tego zadowolona. Chciałam się skurczyć, zniknąć. Straciłam wszystkie kilogramy, które zostały mi po ciąży, i więcej.

Zaczęłam sobie wyobrażać, w jaki sposób mogłabym się zabić. Tabletki byłyby bezbolesne. Ale to by oznaczało, że moja córka straciła mnie dwukrotnie. Musiałam pozostać przy życiu dla niej.

Zaczęłam chodzić do terapeuty. Rozpaczliwie potrzebowałam kogoś, z kim mogłabym porozmawiać, kto by mnie wysłuchał, kto by wiedział, jak mam się poskładać z powrotem w całość. Wtedy już Tom odszedł.

Terapeutka mi pomogła. Wyjaśniła mi, że utrata dziecka jest jak odcięcie nerwu. Jeśli dziecko umiera, nerw w końcu obrasta skórą i ból maleje, chociaż nigdy nie znika. Jednak ponieważ nie wiem, gdzie jest moje dziecko, mój nerw pozostanie odkryty, zawsze na wierzchu. Nie mogę spodziewać się, że rana się zagoi, dopóki ona się nie odnajdzie. Ponieważ nigdy nie przestanę się zastanawiać, co się z nią stało. Mogę tylko szukać jakichś sposobów odwrócenia uwagi od bólu.

Wspomnienia o Natalie prześladowały mnie, kiedy jechałam do drogerii czy czytałam gazetę w poczekalni – nagle słyszałam jej radosny pisk, gdy pluskała się w wannie, albo widziałam jej małe piąstki, zamykające się i otwierające podczas snu – i wtedy nie mogłam złapać oddechu, żołądek ścisnął mi się coraz mocniej, aż musiałam zaciskać zęby, żeby nie krzyknąć.

Terapeutka powiedziała, że mogłaby mi pomóc zmiana otoczenia. Zasugerowała przeprowadzkę. Na początku odrzuciłam jej sugestię w obawie, że Natalie jakimś cudem wróci do domu, a mnie tam nie będzie. Jednak gdy zadzwonił dawny kolega z propozycją pracy w Clorox w San Francisco, moi przyjaciele – ta garstka, która wciąż ze mną rozmawiała – zachęcali mnie, bym zaczęła od nowa. Pomogli mi zrozumieć, że tkwiąc w tym domu, nie

sprowadzę Natalię z powrotem. Została zabrana, gdy miała cztery miesiące. Przecież nie wejdzcie po prostu któregoś dnia przez drzwi.

Nie sądziłam, że dam radę spakować cały dom. Nie przypuszczałam, że jestem na tyle silna, a jednak pakowanie dobytku okazało się uzdrawiające. Przede wszystkim miałam zajęcie dla umysłu i rąk, które utrzymywało mnie w chwili obecnej, nie pozwalając wracać do przeszłości. Nie mogłam pozwolić, by moje myśli błądziły po ponurych bezdrożach, kiedy musiałam się skoncentrować, podejmować decyzje, przejrzeć wszystkie swoje rzeczy, wybierając, co wziąć, a co zostawić. To zmusiło mnie do pogodzenia się ze stratą. Trzymałam tak wiele rzeczy tylko dlatego, że kiedyś do kogoś należały: suknia ślubna mojej babki, kolekcja znaczków dziadka. Teraz dostrzegłam, że to tylko przedmioty. Suknia nie jest moją babką, znaczki nigdy nie będą moim dziadkiem. A rzeczy Natalii – jej maleńkie buciki, sweterki, jej łóżeczko, skoczek i kojec – nie są nią, Natalią. Usuwając jej rzeczy, nie usuwam jej samej. Nadal mogę mieć nadzieję, że do mnie wróci.

A mimo to, gdy mój samolot wystartował do Kalifornii, czułam się tak, jakbym opuszczała moją córkę.

Ocaliła mnie joga. Naprawdę. Na początku ostrożnie zanurzyłam palec w tej wodzie.

W pokoju wypoczynkowym w Cloroksie w przerwie na lunch odbywały się sesje vinyasy. Polubiłam te ćwiczenia. Dzięki nim poczułam się silna i opanowana tak, jak się nie czułam, odkąd to się stało.

Potem zobaczyłam ulotkę jogi redukującej lęk i zwiększającej poziom szczęścia w mózgu. Byłam gotowa spróbować wszystkiego, co przyniosłoby taki efekt. Wsiąknęłam od pierwszego dnia. Samo chodzenie boso po pustej, białej przestrzeni napawało nadzieją, jakby otaczający mnie spokój mógł przeniknąć do mojego wnętrza. Polubiłam też instruktorkę. Widać było, że Sonya zajmuje się tym od lat. Była delikatna w obejściu, oczy miała pełne mądrości i współczucia. Nauczyła mnie oddychać. Zdałam sobie sprawę, że nigdy wcześniej tego nie umiałam.

Każda sesja jogi, nieważne jakiej formy, kończy się savasaną, kiedy to leżysz na plecach na podłodze, z zamkniętymi oczami, rozluźniając całe ciało. Gdy tak leżałyśmy, Sonya chodziła po sali, delikatnie dotykając palcem naszych czół, „trzeciego oka”, i kiedy to robiła, cały mój lęk zniknął. Pewnego dnia na koniec zajęć zaproponowała medytację. I w ten sposób poznałam dharmę. To, co tłumaczyła nam Sonya, przemówiło do mnie: że buddyzm skupia się na życiu w teraźniejszości, bez zastanawiania się nad tym, co mogłoby być, co powinno być potoczyć się inaczej.

Dzięki ćwiczeniom zrozumiałam, że na tym świecie nie da się uniknąć bólu, ale nie trzeba cierpieć. Bez względu na to, co cię spotyka, istnieją postawy i praktyki, które pomogą ci przetrwać, a nawet rozkwitnąć. Nauczyłam się rozpoznawać, jak ból manifestuje się w moim ciele, czułam zaciskające się mięśnie i zmianę oddechu, gdy myślałam o tym, co się stało, a także wykorzystywać tę świadomość jako okazję do uzdrowienia i wzrostu. Tak, bym była gotowa i otwarta na Natalię, kiedy ona wróci. Wiedziałam, że wróci.

Przez krótki czas ćwiczyłam jogę Iyengara, w której najważniejsze jest właściwe ustawienie ciała, po czym Sonya przeniosła mnie na zajęcia z ashtangi, gdzie najistotniejsze jest łączenie poz ze sobą. Jestem spod znaku Bliźniąt. Potrzebuję połączeń.

Przez kogoś, kogo poznałam na jodze, dołączyłam do grupy wsparcia dla osób pogrążonych w bólu. Spotkałam innych, których spotkała tragedia. Dowiedziałam się, na jak wiele sposobów można stracić dziecko – nastoletni syn jednej kobiety był gwiazdą piłki nożnej, dopóki nie został sparaliżowany, bez przyczyny, bez diagnozy. Czteroletni wygadany synek innej mamy zniknął, nie cieleśnie, lecz przestał mówić. Pewna para straciła w Wigilię trzy córki, bo stojąca w salonie choinka zapaliła się, kiedy spali.

Musieliśmy zrozumieć, że to, co spotkało nas, nasze dzieci, po prostu się wydarzyło. Nie „zrobiono” nic ani nam, ani im. Nikt nas nie ukarał. Zaczęłam wierzyć, że nie tylko mnie się to przytrafiło.

Nauczyłam się uciekać tam, gdzie jest światło, ponieważ ciemność może wciągnąć cię głęboko w swoje odmęty.

Dowiedziałam się, że za każdym razem gdy myślę o swojej córce, posyłam jej miłość. Zrozumiałam, że jeśli wierzę, że znowu spotkam Natalie, tak się właśnie stanie. Nauczyłam się dokonywać wyborów, które miały ku temu prowadzić.

Kiedy wykonałam całą tę pracę, by zdobyć wiedzę przynoszącą szczęście, poznałam Granta. Robił stolarkę w kościele, gdzie spotykała się moja grupa wsparcia. Natknęłam się na niego, wychodząc ze spotkania. Stał na drabinie i mocował światło nad drzwiami wejściowymi. Drabina zagrażała mi drogę i gdy przeprosił, patrząc na mnie z ostatniego szczebla, i powiedział, że zaraz zejdzie, mogłam myśleć tylko o zmarszczkach w kącikach jego oczu, zmarszczkach, dzięki którym wyglądał na kogoś, kto uwielbia się śmiać. Byłam gotowa na szczęście.

[8](#) W 1932 r. syn pilota Charlesa Lindberga został porwany z własnego łóżka, podczas gdy oboje rodzice i niania byli w domu. Dziecko znaleziono martwe.

[9](#) Etan Patz zaginął w 1979 r. na Manhattanie, dzień jego zaginięcia jest obchodzony jako Narodowy Dzień Zaginionych Dzieci. W 2001 r. został oficjalnie uznany za zmarłego.

[10](#) Adam Walsh, porwany w 1981 r. w Hollywood, został znaleziony martwy. Ojciec Adama stworzył Narodowe Centrum Pomocy Zaginionym i Wykorzystywanym Dzieciom, był też gospodarzem programu telewizyjnego *America's Most Wanted*.

## Grant

Kiedy poznałem Marilyn, była dyrektorką w dużej firmie. Nie sądziłem, że zainteresuje się mężczyzną, kimś, kto zarabia na chleb własnymi rękami. Spotykałem się już z takimi kobietami. Zwykle miewają wymagania, którym żaden mężczyzna nie może sprostać. Dawno temu podjąłem decyzję, że chcę wykonywać pracę przynoszącą namacalne efekty. Gdy byłem dzieciakiem, odrzuciłem stypendium jednej ze szkół na Wschodzie. Niektórzy znajomi uważali, że nie powinienem marnować takiej szansy. Ale dla mnie to nie była szansa, tylko zobowiązanie, a ja nie chciałem go wypełniać. Mój ojciec miał firmę i nauczył mnie wszystkiego, co sam umiał. Lubiłem tę pracę. Wiedziałem, że gdybym pojechał do szkoły z internatem, nie mógłbym z nim pracować. Nigdy nie żałowałem swojej decyzji. Ojciec zmarł, gdy był po pięćdziesiątce. Cieszyłem się, że tyle czasu mogliśmy spędzić razem. Żałuję, że Marilyn nie mogła go poznać.

Kiedy ją spotkałem, akurat kupiłem starą fabrykę w San Mateo i w weekendy robiłem tam remont. Marilyn zaczęła mi pomagać; zdzieraliśmy tynki, wymienialiśmy okna, wyrównywaliśmy podłogi z orzechowego drewna, zakładaliśmy elektrykę, szlifowaliśmy i bejcowaliśmy. Nie bała się pobrudzić sobie rąk. Od razu wiedziałem, że jest inna niż kobiety, z którymi się spotykałem.

Pobraliśmy się w 1995 roku, dwa lata po jej przeprowadzce na Zachód, pięć lat po zaginięciu jej córki. Przyjęła moje nazwisko. Nie prosiłem jej o to, ale chciała.

Zostaliśmy pobłogosławieni trójką dzieci – dwoma chłopcami i dziewczynką. Marilyn odeszła z pracy po urodzeniu pierwszego dziecka. Ostatnie urodziło się, gdy miała czterdzieści trzy lata. To wymagało trochę modlitwy. I mnóstwa homeopatycznych leków.

Na początku zastanawialiśmy się, czy powiedzieć dzieciom o Natalie. Uznaliśmy jednak, że mogą tego nie zrozumieć, a nawet się przestraszyć. Może popełniliśmy błąd. Może lepiej by było, żeby się przyzwyczaili do myśli o siostrze, może wtedy jej pojawienie się nie byłoby dla nich takim szokiem. Ale naprawdę, nigdy nie sądziłem, że ona wróci.



## Cheryl

Poznałam Mię dopiero, jak miała siedem miesięcy. Lucy przyjechała z nią na Święto Dziękczynienia. Z Manhattanu do Emmettsville jest pięć godzin jazdy. Lucy wzięła taksówkę! Powiedziała, że w wypożyczalni nie mieli już żadnych samochodów, a zapomniała zrobić rezerwację. Nie chciała z dzieckiem jechać autobusem ani pociągiem. Nigdy nie zapomnę widoku jaskrawożółtej taksówki, pyrkającej na naszym stromym podjeździe, z mężczyzną w niebieskim turbanie za kierownicą. Nie byłam pewna, jak się zachować – czy powinnam go zaprosić, żeby rozprostował nogi, skorzystał z toalety? Jednak zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Lucy zapłaciła i kierowca odjechał. Moja siostra potrafiła sobie poradzić w każdej sytuacji. Zawsze to w niej podziwiałam.

Pamiętam, jak bawiłyśmy się w dom. Ja byłam matką z dwiema lalkami. Lucy była matką z dwiema lalkami i nianią. Już wtedy wiedziała, czego chce. I zawsze wiedziała, jak dostać to, czego pragnęła.

## 31

### Lucy

Powiedziałam Mii, że została adoptowana, kiedy miała trzy i pół roku. Przez pewien czas jej ulubioną książką była *Czy jesteś moją mamą?* Pewnego wieczoru siedziałam na łóżku, czytając ją po raz tysięczny. Kiedy skończyłyśmy, uznałam, że to odpowiednia chwila. Wyjaśniłam jej, że podczas gdy większość mam musi zaakceptować takie dzieci, jakie dostaną, ja miałam więcej szczęścia. Mogłam sama sobie wybrać dziecko. Mia wysłuchała mnie, kiwając głową, po czym poprosiła, żebym przeczytała jej książeczkę jeszcze raz.

Następnego dnia słyszałam, jak dzieli się nowiną z koleżanką, którą spotkałyśmy w autobusie:  
– Moja mamusia mnie nie dostała, ona mnie wybrała! – szczebiotała.

Powtarzała to z radością wiele razy jako dziecko, a za każdym razem gdy słyszałam jej słowa, w mojej piersi płonął ogień, ponieważ wiedziałam, że odzwierciedlają prawdę w sposób, którego nawet nie potrafiła sobie wyobrazić.

Najbardziej nienawidziłam kłamać. Wiem, że to brzmi dziwnie w ustach kogoś, kto tak długo łągał. Ale naprawdę nienawidziłam tworzenia w pamięci skomplikowanych konstrukcji, delikatnego ustawiania jednego kłamstwa na drugim, kiedy prawie przekonując samą siebie, że każde z nich jest prawdą, budowałam z nich pałac. A raczej więzienie. Opowiadałam tak wiele kłamstw, że sama zaczęłam w nie wierzyć. Okazało się, że najłatwiej oszukać samą siebie.

Każdy kłamie, tłumaczyłam sobie. Kłamstwa są potrzebne, wszyscy to wiemy. Kłamiemy, mówiąc innym to, co chcieliby usłyszeć. Ludzie robią tak każdego dnia. Kłamią, że dobrze się bawią na imprezie, kłamią na temat wieku swojego i innych, kłamią, że w ogóle się nie zmieniłaś od czasów liceum. Słyszałam, jak matka okłamywała nianię, mówiąc, że ma poranne spotkanie, podczas gdy tak naprawdę szła na siłownię. Kobiety z placu zabaw okłamywały mężów co do tego, ile kosztowało obicie kanapy czy odnowienie kuchni. Mężczyźni w biurze kłamali żonom odpoczywającym w domkach letniskowych, że muszą zostać na weekend w mieście i pracować. Kłamstwa leżały u podstaw gałęzi przemysłu, w którym pracowałam, pomimo obowiązującego przeciw temu prawa. Pierwszą rzeczą, jakiej się nauczyłam w tym zawodzie, to jak kłamać legalnie, używając zwrotów, nazywanych przez nas kruczkami – wprowadzających w błąd słów, takich jak „badania pokazują” (jakie badania?) albo „dzięki niemu skóra sprawia wrażenie młodszej” (ponieważ żaden producent nie może legalnie twierdzić, że dzięki jego produktom „skóra wygląda na młodszą”).

Najbardziej nienawidziłam okłamywać Mii, nawet gdy kładłam ją do łóżka, kiwając głową w rytm piosenki z *Misiowanek*, w której misie przypominały nam, żeby nigdy nie kłamać, ponieważ „zaufanie to coś, czego nie da się odbudować”. Głaskałam Mię po miękkim ramionku,

czytając jej bajkę na dobranoc, i żałowałam, że wychowuje ją kłamczucha.

Tak, jak w bajce o misiach, im dłużej kłamałam, tym bardziej moje kłamstwo się rozrastało. Musiałam je powtarzać coraz większej liczbie ludzi. Teraz krąg osób przekonanych, że Mia została adoptowana, obejmował nie tylko Wendy, ale też matki ze szkoły, które czasami pytały o prawne aspekty adopcji, i nagle opowiadałam obrazowo o natręctwie pomocy społecznej i stertach dokumentów. Nie mogłam poprawić sobie samopoczucia, przyznając się do kłamstwa, do czego zachęcano misie. W tamtym momencie wyznanie prawdy Mii byłoby okrucieństwem. Gdyby poznała rzeczywisty przebieg wypadków, byłaby przerażona. Przecież czuła się ze mną szczęśliwa. Nie potrafiłam znieść myśli, że mogłaby zostać wyrwana z jedyne go domu, jaki znała.

Kiedyś widziałam, jak oddawano dziecko biologicznej matce. Surogatka zażądała zwrotu swojego synka, gdy mały miał dwa lata. Nigdy nie zapomnę zapowiedzi programu, bez końca nadawanej w telewizji: przerażony malec wrzeszczał w ramionach obcej kobiety, która od teraz miała być jego matką. Nie mogłam pozwolić, żeby coś takiego spotkało Mię.

Czasami trzeba wybrać mniejsze zło. Czasami odpowiedni wybór to ten, który wydaje się wyrządzać jak najmniej szkody.

Wiedziałam, że kiedyś będę musiała wyznać Mii prawdę. Zasługiwała na to, by poznać swoje prawdziwe korzenie. Gdzieś w głębi duszy myślałam, że jeśli odczekam odpowiednio długo, jeżeli użyję właściwych słów, może ona będzie w stanie mnie zrozumieć.

Wyobrażałam sobie nas w przyszłości, jak siedzimy przy kominku – ona, kobieta w średnim wieku, może zamężna, z własnymi dziećmi, na pewno szczęśliwa oraz ja, siwa, dystygowana, w wieku życzliwości – i rozmawiamy szczerze, nareszcie, z czułością, a ja wyznaję jej to wszystko, co musiałam przed nią ukrywać.

Która matka nie ma sekretów przed własną córką?

## Część druga

Nic nie czyni nas tak samotnymi, jak nasze tajemnice...

Paul Tournier *Guilt and Grace*

## Lucy

Mia zawsze była nad wiek dojrzała. Nie chodzi tylko o to, że była bystra. Była mądra. I zaskakująco zdyscyplinowana, nawet jako małe dziecko. Pamiętam, jak zabrałam ją na premierę *Toy Story*. Nie miała jeszcze wtedy sześciu lat. Poszliśmy do Radio Music City Hall. Zwolniłam się wcześniej z pracy i sama odebrałam małą ze szkoły. Nie chciałam wysłać po nią Wendy. Jej angielski wciąż nie był najlepszy, a znajomość miasta ograniczona.

Przyjechaliśmy wcześniej, zanim zrobiło się tłoczno. Podeszłam z Mią do stoiska z cukierkami, żeby jej kupić łakocie. Wybrała chuckles, jaskrawokolorowe żelki, które uwielbiałam jako dziecko. Nigdy wcześniej ich nie jadła. Sprzedawano je tylko w wielkich paczkach, ale się zgodziłam. Mii rzadko wolno było jeść słodczyce, a chciałam, żeby ten dzień był dla niej wyjątkowy. Pracowałam bez wytchnienia – ostatnio dostaliśmy zlecenie od Revlona – i całymi tygodniami nie widziałam małej w dzień. Zapłaciłam za cukierki i poszliśmy z bileterką na nasze miejsca w wydzielonym sektorze, na które dostałam zaproszenie od klienta.

Kiedy zdjęłam jej płaszczyk, usiadliśmy na aksamitnych poduchach i otworzyłam paczkę z cukierkami. Podsunęłam jej słodczyce z dziecinną nadzieją, że nie wybierze czarnych, które lubiłam najbardziej, w co Cheryl nigdy nie mogła uwierzyć. Ale Mia zaskoczyła mnie, gdyż nie sięgnęła po cukierka, lecz żeby odsunąć moją dłoń.

– Poczekajmy z jedzeniem na film – powiedziała.

Zawstydzona zwinęłam z powrotem celofan, podziwiając umiejętność samokontroli tej małej istoty siedzącej obok, poruszona świadomością, jak bardzo mi tej cechy brakuje, co zaowocowało obecnością Mii nie tylko na fotelu przy mnie, ale i w całym moim życiu.

## Cheryl

Zawsze żałowałam, że mam z Mią taki słaby kontakt. Byłam jej jedyną ciotką. Doug, chłopcy i ja stanowiliśmy jej jedyną rodzinę poza Lucy. W rodzinie Douga nikt już z nikim nie rozmawia. Lucy i Mia przyjeżdżały do nas na święta. Odziedziczyłam stary wiktoriański dom, w którym dorastałyśmy. Na początku lat pięćdziesiątych nasi rodzice kupili go za bezcen, ponieważ nie był nowoczesny, a wtedy wszyscy szukali nowoczesności. Lucy dostała wszystko, co było w sejfie, poza aktem własności domu. Były tam akcje i biżuteria naszej matki, która trafiła do Lucy, ponieważ ona miała córkę. Ale z tego co mi wiadomo, żadna z nich nigdy nie nosiła tej biżuterii i zawsze mnie to trochę smuciło. Może nie była w ich stylu. Ja bym nosiła.

Świąteczne poranki zawsze były pełne napięcia, chociaż Lucy starała się ograniczać stertę prezentów czekających pod choinką na Mię, by zachować równowagę wobec tych, które my przygotowaliśmy dla chłopców. Chłopcy kiedyś mi powiedzieli, że Mia ma drugą Gwiazdkę w domu, a ja w duchu podziękowałam Lucy, że potrafiła zachować umiar. Ale dla chłopców zawsze była hojna. Byliśmy jej za to wdzięczni.

Pamiętam, jak w jedne święta, kiedy Doug dostał premię, rozpakowałam swój prezent od niego i znalazłam torebkę od Kate Spade. Byłam zachwycona. Te torebki kosztowały setki dolarów.

– Ja mam taką czerwoną – powiedziała Mia, a ja nie mogłam w to uwierzyć. Na co dziewięcioletce designerska torebka? – Wszystkie moje koleżanki je mają – dodała i zobaczyłam, jak Lucy ucisza ją spojrzeniem.

Przez resztę roku się nie widywałyśmy. Nigdy nie wybraliśmy się do nich z wizytą. Podróż trwałaby pięć godzin, za długo na jednodniową wycieczkę, a mieszkanie mojej siostry było za małe, żeby przemocować naszą czwórkę. Pojechaliśmy tam jedyny raz, kiedy zabrała Mię – i opiekunkę! – do Disney Worldu. Doskonale się bawiliśmy, mieszkając u Lucy przez długi weekend, udawaliśmy, że jesteśmy nowojorkami, i podziwialiśmy widoki, które one oglądały każdego dnia. Karmiliśmy ich kota; zwierzak dostawał tak wyszukane jedzenie, że pakowano je nie do puszek, tylko w saszetki, które trzeba było szczelnie zamykać i przechowywać w lodówce. Nie przepadam za kotami, ale Dyniek był słodkim, miękkim, rudym pieszczochem. Wiedziałam, że Lucy też niezbyt lubi koty, ale wzięła go, jak zobaczyła w mieszkaniu mysz.

Mia zawsze bardziej lubiła szkołę niż moi synowie, może dlatego, że tak wcześniej do niej poszła. Oni nigdy nie lubili czytać, ale Mia tak. W pewne święta, gdy miała około ośmiu lat, zapytała mnie, czy chcę należeć do jej klubu książki.

– A kto jeszcze w nim jest? – zapytałam.

Odpowiedziała, że nikt, bo mama jest zbyt zajęta, a niania nie potrafi czytać po angielsku. Oczywiście się zgodziłam i wstąpiłam do jej klubu książki. Zawsze szukałam sposobu, żeby nawiązać z dziewczynką lepszy kontakt. Wybrałam pierwszą książkę, z serii o Ramonie, którą

uwielbiałam w jej wieku. Mia napisała potem do mnie w liście, że przeczytała tę historię w jeden dzień i że zawsze chciała mieć młodszą siostrę, ale po tej opowieści już nie chce. Wybrała też następny tytuł. Spodziewałam się kolejnej książki z tej samej serii, lecz nie. Wybrała *Mitologię* Edith Hamilton! Myślałam, że to lektura szkolna i Mia chce upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, okazało się jednak, że ona naprawdę chciała przeczytać tę książkę. Muszę przyznać, że nigdy przez nią nie przebrnęłam. Chłopcy byli nastolatkami, ja wróciłam do pracy pielęgniarki i nie miałam zbyt wiele czasu na lektury. Oczywiście to był koniec naszego klubu książki. Zawsze miałam z tego powodu wyrzuty sumienia. Żałuję, że nie byłam z nią bliżej, kiedy dorastała. Ale Lucy zawsze trzymała ją przy sobie. Mówiłam siostrze, że Mia może przyjechać do nas na wakacje. Wzięłabym w pracy wolne na czas jej wizyty. Ale Lucy wolała ją posyłać na kosztowne obozy.

## Lucy

Oto, co pamiętam: cudowny zapach jej niemowlęcej główki i jej ciężar na moim kolanie; jak pierwszy raz spojrzała na ocean i zawołała „bąbelki!”; że jej ulubioną zabawką była moja szczoteczka do zębów; że kichała na słońcu.

Mężczyzna, z którym kiedyś pracowałam, stracił żonę i martwił się, gdy jej obraz zacierał się w jego pamięci. Nie mógł sobie przypomnieć koloru jej oczu. Ja nigdy nie zapomnę oczu Mii, oszałamiającego błękitu lodowca.

Jak mogłam to zrobić? Co kryło się we mnie, przyzwoitej kobiecie, co sprawiło, że byłam zdolna do tak okropnego czynu?

Kiedy mam czas – och, teraz mam mnóstwo czasu – żeby spojrzeć wstecz na moje uczynki, próbować znaleźć w nich jakiś sens, ułożyć je w jakimś porządku, żeby wyjaśnić, dlaczego moje życie stało się tym, czym się stało, przypominam sobie pewien incydent, o którym nie myślałam od lat.

Incydent ten wydarzył się, kiedy miałam sześć lat. To był pierwszy dzień w szkole, w katolickiej szkole. Matka zapisała mnie tam, chociaż czesne przekraczało możliwości finansowe sekretarki, samotnie wychowującej dwie córki. Powtarzała nam, że dobre wykształcenie jest warte każdych pieniędzy; to przekonanie, mam nadzieję, ja także wpoilałam Mii.

Zamówiła dla mnie mundurek z firmy mającej prawo do ich produkcji i pamiętam zapach brązowego papieru, gdy odwiązywała sznurek z paczki, a potem wełniany zapach plisowanej spódniczki, którą uniosła obiema rękami, jakby to była świętość. Podziwiałam siebie w lustrze, wiszącym na drzwiach sypialni mamy. Spódniczka leżała idealnie i pomyślałam, że elegancko w niej wyglądam. Oglądałam plisy, kiedy matka uklękła obok mnie i centymetrem zdjęła ze mnie miarę. Gdy ściągałam spódniczkę, upomniała mnie, żebym była ostrożna, gdyż zamierzała ją zwrócić.

– Uszyję ci dokładnie taką samą – obiecała i pomogła mi ją zdjąć, żebym nie nadepnęła na dół.

Złożyła starannie mundurek i z powrotem zapakowała w brązowy papier, zaginając go w tych samych miejscach, po czym obudziła Cheryl z drzemki i poleciwszy mi trzymać paczkę na kolanach, gdy siedziałam na przednim siedzeniu auta, zawiozła nas do miasta, do pani Mulcahy, właścicielki imperium tanich materiałów. Pani Mulcahy podziwiała materiał, cmokając z aprobatą, szczypała plisy kciukiem i palcem wskazującym, po czym podniosła ładę i poprowadziła nas długą alejką, gdzie pachniało stęchlizną. Razem z moją matką oglądały zmrużonymi oczami ciemne bele materiału, aż wreszcie pani Mulcahy zawołała chłopca do pomocy, żeby wyciągnął jedną z nich.

Moja matka uszyła przepiękny mundurek. Przez kilka nocy odpływałam w sen przy kojącym



akompaniamencie szumu maszyny do szycia, zdobytej dzięki zielonym znaczkom, które wklejałyśmy z Cheryl do książeczki po każdej wizycie w sklepie. Z jaką pieczołowitością umieszczaliśmy jeden po drugim na środku zielonego kwadracika – bałyśmy się, że jeśli przykleimy je choć odrobinę krzywo, nie zostaną uznane.

Uszycie mundurka zajęło mamie dłużej niż zwykle, większość naszych ubrań była gotowa w kilka godzin. Plisy jej się myliły, powiedziała. Nie miała dostawki ułatwiającej ich wykonanie i musiała sama je składać, a potem zszywać materiał w ręku. Ale kiedy skończyła, spódniczka wyglądała dokładnie tak jak oryginał i byłam pełna podziwu dla mojej mamy, jaka jest sprytna, że potrafi sama uszyć coś, za co inne, mniej sprytnie matki, musiały słono płacić.

Jednak moja duma z dzieła matki nie trwała długo. Gdy tylko poszłam do szkoły, dziewczynka stojąca za mną orzekła, że mój mundurek jest podróbką – poznała po suwaku. Wiedziałam, że zaraz dowiedzą się o tym wszystkie dzieci w klasie, i nienawidziłam mamy za tę zdradę, za to, że omamiła mnie tak, że nie dostrzegłam rzeczy widocznej dla innych dziewczynek, że odmówiła mi czegoś, co one miały, a co ja powinnam otrzymać także.

Moja siostra ma inne wspomnienia. Nasza mama jej też uszyła mundurek i tak dobrze sobie z tym poradziła, że Cheryl także zapragnęła szyc, do czego mnie nigdy nie ciągnęło.

Tak wiele z tego, kim jesteś, ma związek z twoją matką. Od niej przejmujesz pierwsze zasady moralne i pierwsze oceny. I dlatego zapewniam was – nie można winić mojej matki. Była uczciwa aż do przesady i zawsze uważała, by mieć tylko to, co bezdyskusyjnie do niej należało. Pochodziła ze Środkowego Zachodu i chociaż wychowywała się w Chicago, przez całe życie kierowała się przykazaniami farmerów: wstawaj o świcie, pracuj ciężko, bierz tylko to, co twoje, i nic więcej, nie kupuj nowego, jeśli stare jeszcze się nada. Była dla mnie dobrym przykładem, dobrym wzorem. Jedyne, o co można ją obwiniać, to o to, że zasiała we mnie pragnienie, bym stała się jak ona dobrą matką.

Jeśli żyjesz wystarczająco długo, wybaczasz swoim rodzicom. Ale ja się nie spodziewam, że Mia kiedykolwiek mi wybaczy. Bo ja nie mogę wybaczyć sama sobie.

## Cheryl

Kilka lat temu, na moje pięćdziesiąte urodziny, Doug wysłał kartki do znajomych z prośbą, aby napisali dla mnie mądre sentencje, skoro osiągnęłam wiek, w którym człowiek powinien być mądry. Najbardziej mi się spodobała kartka Mii: „Nigdy nie wychodź z domu bez kluczy”. To było takie błyskotliwe. Ale i smutne. Moja siostrzenica miała wtedy piętnaście lat i jej opiekunka musiała wrócić do Chin. Oczywiście Mia była za duża na kolejną opiekunkę, wciąż jednak była dzieckiem. Pomimo wszystkiego, co zapewniła jej Lucy, nie miała tego, co dla innych dzieci jest naturalne, na przykład kogoś, kto je wita, gdy wracają ze szkoły.

Ja mogłam sama ustalać godziny swoich zajęć. Nie pracowałam w tak bezlitosnej branży jak Lucy. Ale ona zawsze pragnęła życia na wysokim poziomie. Nawet gdy była mała, mówiła, że wyjedzie z domu i zamieszka w mieście. Ja jestem zupełnie inna. Podoba mi się tutaj. Lubię mieszkać w miejscu, gdzie ja znam ludzi, a oni znają mnie, gdzie można bezpiecznie wychowywać dzieci.

Rodzina zawsze była dla mnie ważna. Przed laty, jedenastego września, kiedy zobaczyłam w wiadomościach atak na wieżowce, prawie oszalałam, martwiąc się o Lucy i Mię. Bez przerwy do nich telefonowałam i telefonowałam, aż w końcu się dodzwoniłam. Myślałam, że Lucy będzie chciała przyjechać, żeby być z nami w tamtym tygodniu, że będzie potrzebowała bliskości rodziny. Ale gdyby tak zrobiła, nie byłaby sobą. Zapewniła mnie, że ona i Mia mają się dobrze, a kiedy zadzwoniłam kilka dni później, powiedziała, że wybierają się na czuwanie w parku. Poczulałam się, jakby dała mi w twarz, słysząc, że szuka pocieszenia wśród obcych, zamiast być z nami, z własną rodziną.

## Lance

Kiedy poznałem Lucy w agencji reklamowej w 1998 roku, była dyrektorem kreatywnym kampanii psiego jedzenia. Dyrektorem zarządzającym był mój przyjaciel. Udostępnił mi gabinet, gdzie mogłem pisać. Dopiero zaczynałem karierę, niedawno opublikowałem *Czerwone psy* i chciałem wykorzystać ten sukces. W zamian za pokój miałem służyć pomocą w razie awarii. Okazało się jednak, że nie mogę tam pracować nad książką w ciągu dnia. Za duży ruch. Zacząłem więc pisać po nocach. To był dla mnie najlepszy czas. Żadnych telefonów, żadnego hałasu, miasto migoczące pode mną. Biuro było na trzydziestym piętrze i rozciągał się stamtąd wspaniały widok.

Lucy przychodziła do pracy koło ósmej trzydzieści, akurat gdy ja zbierałem się do domu. Wcześniej odwoziła córkę do jakiejś luksusowej szkoły po drugiej stronie miasta. Na piętrze kreatywnych nikt nie pojawiał się przed dziesiątą. Lucy wydała mi się taka sama, jak każda nowojorska matka – neurotyczna, ale niespecjalnie zwariowana. Zostaliśmy przyjaciółmi. Właściwie więcej niż przyjaciółmi. Rozmawialiśmy o pisaniu. Opowiadałem jej o swoich pomysłach – po całej nocy pracy cieszyłem się, że mam z kim porozmawiać. W końcu te nasze rozmowy przerodziły się w coś więcej. Romans w biurze był dla niej nowością. Powiedziała, że nigdy wcześniej tego nie robiła, a ja jej wierzyłem. Prawie dostała zawału, kiedy pewnego ranka jej szef nakrył nas w swoim gabinecie – nigdy nie robiliśmy tego w naszych pokojach, to była część zabawy. Odpuścił nam, po prostu obrócił się na pięcie i wyszedł – w tamtych czasach w agencjach działy się przedziwne rzeczy, zanim reklama stała się branżą liczb.

Wiedziałem, że Lucy chętnie pisałyby też o czymś innym poza psim jedzeniem. Pewnego dnia zapytałem, czy nie chciałaby dla mnie pracować. Miałem pomysły na więcej książek, niż mogłem sam napisać. *Płaczący kamień* był pierwszą powieścią, jaką stworzyliśmy razem. Trafił na listy bestsellerów i utrzymywał się na nich całymi tygodniami. Oczywiście na okładce widniało tylko moje nazwisko, taka była umowa. Wydawca uznał, że czytelnikom nie spodoba się dwa nazwiska. Na początku Lucy nie miała nic przeciwko anonimowości. Jednak po kilku następnych książkach zaczęła się domagać, by jej nazwisko również znalazło się na okładce.

Nie chciałem naciskać wydawcy. Uważałem, że pieniądze są dla niej wystarczającą kompensatą. Fabuła, bohaterowie, intryga, wszystko było moje, ona je tylko łączyła w całość, była jak szwaczka, która urzeczywistnia pomysł projektanta. Ale czy nazwisko szwaczki widnieje na metce? Nie.

Zwykle musiałem dopracowywać wszystko, co napisała. Powinienem był policzyć jej za naukę tworzenia zajmującej opowieści. Pokazałem jej zasady dobrego pisarstwa. Wytnij fragmenty, które ludzie opuszczają. Nie trać czasu na opisy. Pasjonująca historia pędzi naprzód, tylko akcja, akcja, akcja. Każdy rozdział ma trzymać w napięciu. Właśnie takie rzeczy chcą czytać

zapracowani ludzie, którzy kupują książki.

*Pragnienie dziecka* było jej pierwszą powieścią, której nie musiałem nawet tknąć. Miała doskonałe tempo, a wszystkie sceny wydawały się prawdziwe jak w żadnej innej, jaką dla mnie napisała.

Teraz już wiem dlaczego.

## Lucy

Po kilku latach znajomości Lance zaproponował mi, żebym spróbowała sił jako jego ghostwriter. Dał mi zarys fabuły i poprosił o pięć rozdziałów. Mozoliłam się z nimi w pocie czoła. Jak ciężko było przestawić się z pisania sześćdziesięciu ośmiu słów, bo tyle właśnie mieści się w trzydziestosekundowej reklamie, na tysiące, jedno po drugim. Szkic Lance'a miał siedemdziesiąt stron, właściwie książka sama w sobie. Podziwiałam doskonałe tempo, to, jak pozwalał nieśpiesznie rozwijać się wątkom, na co reklama nie mogła sobie pozwolić. Obawiałam się, że nie dam rady napisać niczego poza ogłoszeniem czy sloganem, ale Lance mnie zatrudnił.

To on obmyślał zwroty akcji, rozdział po rozdziale. Nigdy mu się nie przyznałam, ile wysiłku wymagało ode mnie napisanie niektórych z nich. To nie były powieści, które czytałabym dla przyjemności: historyczne albo obyczajowe, tylko thrillery, pełne makabry, przemocy i okrutnego seksu. Lance przeprowadził badania. Miliony czytelników chciały kupować właśnie takie książki.

W branży reklamowej czasami czułam się winna, promując nadmierny luksus czy produkty niosące ryzyko. Nieraz pracując dla klienta z branży farmaceutycznej, musiałam przypominać lektorowi, by jego głos brzmiał radośnie, gdy informował o alarmujących skutkach ubocznych, takich jak „ryzyko uzależnienia” czy „skłonności samobójcze”.

Czasami jednak pisząc dla Lance'a Orloff'a, czułam się jeszcze gorzej. Niektóre sceny były makabryczne. Ćwiartowanie ciał. Tortury. Nekrofilia. Musiały być na tyle wstrząsające, by zaszokować czytelnika, co w dzisiejszym świecie nie jest łatwe. Czasami, gdy je pisałam, bolał mnie brzuch. Ale Mia poszła do gimnazjum, college zbliżał się wielkimi krokami, a to była najbardziej lukratywna fucha, jaka kiedykolwiek mi się trafiła. Dawno temu założyłam dla niej fundusz edukacyjny, ale poniosłam duże straty, kiedy spadły notowania akcji biotechnologicznych.

Oczywiście nie zrezygnowałam z pracy w agencji. Wolnym strzelcom nikt nie opłaca składek. Pisałam książki dla Lance'a po nocach i w weekendy. Wracalam do domu po całodziennych zmaganiach z polityką firmy i żądaniami klientów, zjadałam chiński posiłek, który ugotowała przed wyjściem Wendy, pomagałam Mii w lekcjach, jeśli tego potrzebowała, po czym siadałam przy biurku i stukałam w klawisze tak długo, jak mogłam.

– Skoro pracujesz dla siebie, to dlaczego masz tak podłego szefa? – zapytała Mia w pewną słoneczną niedzielę, którą spędzałam przed komputerem. Ale ona była dzieckiem, nie miała pojęcia o finansach. I chciałam, żeby tak pozostało.

Gdy moje nazwisko znalazło się na okładce, pomyślałam, że uda mi się zrobić karierę. Tę pracę mogłabym wykonywać bez względu na wiek. Skończyłam pięćdziesiąt lat. Reklama jest branżą dla młodych.

Bez nazwiska na okładce kim byłam dla wydawcy? Tylko kolejną autorką reklam z manuskrypcem w szufladzie.

Nie chwaliłiśmy się tym, ale Lance i ja mieliśmy przelotny romans. On nie był w moim typie. Jednak to, jak pracował jego umysł – Lance potrafił nie tylko sypać pomysłami na kampanie dla klientów, ale też planować intrygi, książka po książce, wymyślać zwroty akcji, potrafił wziąć moje wypociny i kilkoma skreśleniami lub poprawkami wydobyć rzeczy, które ja próbowałam przekazać – wszystko to wydawało mi się bardzo seksowne. Był kilka lat młodszy ode mnie. Sprawiał, że poranki w pracy stały się ekscytujące.

Nigdy nie przyprowadziłam go do domu, żeby poznał Mię. Ona pozostała moją jedyną drugą połową. Nie chciałam ryzykować konsekwencji wprowadzenia kogokolwiek między nas. Widziałam takie filmy. Nigdy dobrze się nie kończyły. I nigdy nie odważyłam się związać z kimś, w kim mogłabym się zakochać, komu mogłabym chcieć wyznać moją tajemnicę.

Nigdy nie zdradziłam nikomu mojego sekretu. Nikomu.

Po naszych pierwszych dwóch książkach Lance przeniósł się z agencji do śródmieścia. Orloff Enterprises zyskało własną siedzibę: przestronny, pomalowany na biało strych w SoHo.

To działało w taki sposób: Lance przedstawiał mi swoje pomysły, po czym pisał szkic. Podawał streszczenie książki albo rzucał hasła przez telefon lub podczas lunchu, żeby sprawdzić moją reakcję. Mordujące syjamskie bliźniaki! Wędrowny gang kobiet kanibali! Nigdy nie stałam się tak dobra jak on w wymyślaniu tego typu historii, moje pomysły nigdy nie były dla niego wystarczająco makabryczne. Ale mogłam mu pomóc zdecydować, które z jego wątków najbardziej spodobają się naszej publiczności, obejmującej – według danych wydawcy – zaskakująco szeroką grupę czytelników, od porzucających naukę licealistów po profesorów college’u.

*Pragnienie dziecka* zupełnie mnie zaskoczyło. Nigdy nie rozmawialiśmy o porwaniach. Szkice Lance’a były długie i drukowałam je w pracy. Pamiętam, że stałam przy drukarce i patrzyłam, jak strony tej historii spływają z maszyny. Dostrzegłam słowa „dziecko” i „porwanie” i w pierwszym odruchu spojrzałam za siebie, żeby się upewnić, że poza mną nikogo w pobliżu nie ma.

Przeczytałam nagłówek: „Socjopatka porywa dziecko, żeby zastąpić to, które straciła”.

Czy Lance jakimś cudem mnie przejrzał? Czy wygadałam się przez sen? Wtedy już nie byliśmy razem. Stosunki między nami ochłodziły, odkąd przeprowadził się do śródmieścia, co przypisałam dzielącej nas odległości, ale może powód był inny. Czy on coś podejrzewał? Miał sforę usłużnych detektywów, którzy za niewygórowane honorarium pomagali mu zbierać informacje. Może rozmawiał z nimi o mnie i któryś połączył fakty. Twarz mi płonęła, kiedy patrzyłam na rosnący stosik na tacce drukarki. Słowa zdawały się wyskakiwać z kolejnych stron i mnie oskarżać: pragnienie dziecka, zazdrość wobec innych matek, niepłodność. Zebrałam kartki, gdy tylko ostygły, i zabrałam do gabinetu, żeby je przeczytać, starannie zamykając za sobą drzwi.

Dziecko w książce było dziewczynką, ale poza tym opisana przez Lance’a historia nie przypominała mojej. Zostało zabrane ze szpitala, nie ze sklepu. Kobieta była samotna i bezdzietna, jak ja. Pozostawała bezkarna, dopóki jej córka, już jako nastolatka, nie odkryła prawdy i nie zamordowała winowajczynie we śnie. Nawiedziła mnie potworna wizja Mii,

zbliżającej się do mojego łóżka ze szpikulcem do lodu.

Odwołałam spotkanie i popędziłam taksówką do śródmieścia. Musiałam widzieć twarz Lance'a, kiedy będę zadawała mu pytania. Tylko stojąc z nim twarzą w twarz, mogłam dostrzec jakiegokolwiek oznaki jego podejrzeń.

Myślał, że przyjechałam, bo spodobał mi się konspekt.

– Dobry jest, prawda? – zapytał, dumny z siebie. – Wpadłem na ten pomysł w zeszłym tygodniu, oglądając *Prawo i porządek*. Jeszcze nie pisaliśmy o porwaniach i w sumie nie wiem czemu temat szybuje na wykresach naszych sondaży.

Lance wymyślił, jak zamienić pisarstwo w równie sprawną maszynę co reklama, tworząc algorytmy i grupy fokusowe, które miały mu pomóc w wyborze tematyki.

Próbowałam go odwieść od tego pomysłu. Porwanie jest zbyt oklepane, przekonywałam. To klisza, na ten temat było już mnóstwo filmów i książek.

– Masz rację – przyznał Lance, dając mi nadzieję. Jednak miał tylko na myśli, że musimy skomplikować intrygę. Dodać bohaterom nieoczekiwane cechy charakteru. I mnóstwo tego, czego oczekiwali nasi czytelnicy: makabry.

Jedyną zmianą, do jakiej go przekonałam, była płęć porwanego dziecka.

– Dobrze, chłopiec – zgodził się Lance, zacierając rękę. – Możliwość kazirodztwa.

Wiedziałam, że muszę wyrzucić z siebie tę opowieść szybko, inaczej zabraknie mi odwagi. Napisałam *Pragnienie dziecka* za jednym zamachem, w pośpiechu, w ciągu kilku tygodni, które spędziłam w tanim hotelu w New Jersey, wzięwszy urlop w pracy.

Powiedziałam Mii, że kręcimy zdjęcia w L.A. Wtedy była już w college'u, miała wakacje po pierwszym roku. Mieszkała w domu, pracowała przy kampanii reelekcyjnej senatora i chodziła na kursy przygotowujące na prawo. Nie mogłam pisać tej książki w naszym mieszkaniu, z nią obok. Nie chciałam, żeby moje pisanie albo osoba, jaką musiałam się stać, żeby to napisać, skałały nasz dom, zachwiały stabilnością otoczenia, z takim trudem przeze mnie stworzonego. Bałam się, że historia, którą miałam opisać, zatruje powietrze, że Mia wyczuje zakłócenia, odkryje prawdę. To były piekielne tygodnie. Spędziłam je w Red Roof Inn, po drugiej stronie rzeki, w moim najstarszym szlafroku, zamknięta niczym więzień, pokonując codziennie tylko kilka kroków dzielących biurko od łóżka i od drzwi, gdy odbierałam jedzenie na wynos – ale słowa same się ze mnie lały. Stuk, stuk – obnażałam siebie, powracając do tamtego dnia, do pożądania, ekscytacji, rozsadzającego serce lęku, i co jakiś czas klękałam przy toalecie roztrzęsiona, gdy moje ciało protestowało przeciw temu, co musiałam przywołać.

Znajdowałam pewne pocieszenie w tym, że Mia miała szczęśliwe dzieciństwo. Nie była molestowana jak syn mojej bohaterki, wychowywany przez kobietę, która nie spuszczała go z oka, narażając dziecko na traumę emocjonalną i szereg dewiacji seksualnych. Ale nie mogłam przestać patrzeć na siebie tak, jak postrzegałby mnie czytelnik – byłam osobą, która ukradła dziecko, zabrała je innej matce. Traktowałam Mię dobrze, zapewniłam jej wszystko, ale brutalnie wyrwałam ją z życia, jakie było jej przeznaczone. Tak właśnie widziałby to czytelnik. I żadne wyjaśnienia, żadna racjonalizacja nie uchroniłyby mnie przed tą beznamiętną konkluzją.

Pisałam w gorączce. Szło mi łatwiej niż przy jakiegokolwiek innej książce, którą stworzyłam dla Lance'a. Siedziałam przy małym biurku, oświetlonym przyśrubowaną do blatu lampką, a słowa przepływały przeze mnie i tryskały strumieniem na monitorze, wypełniając stronę za stroną

prawie bez mojego udziału.

Jednak od czasu do czasu musiałam biec do łazienki, żeby objąć porcelanę. Za każdym razem odpoczywałam potem chwilę, zaciskając płace na muszli, jakby w obawie, że coś mnie wyrwie, jakby nagle pokój znalazł się w oku cyklonu, a ja musiałam przytrzymać się czegoś, by przeżyć.

Skończyłam pisać po dwudziestu siedmiu dniach. Gdy tylko nacisnęłam „wyślij”, zdjęłam stary szlafrok, padłam na łóżko, podciągnęłam kolana pod brodę i, prawie w pozycji embriona, ukołysałam się płaczem do dwunastogodzinnego snu.

Kiedy się obudziłam, czułam się lżejsza, jakbym została wyegzorcyzmowana. Przeszłam boso po cienkim dywanie do łazienki, by wziąć pierwszy od wielu dni prysznic, i miałam wrażenie, jakbym unosiła się w powietrzu.



## Lucy

Zwykle Lance podrzucał mi następną książkę, gdy tylko wysłałam mu tekst poprzedniej. Jednak po *Pragnieniu dziecka* było inaczej. Przełożył nasze spotkanie, powiedział przez telefon, że nie ma żadnych nowych pomysłów. zaproponowałam, że przyjadę do niego do SoHo i razem coś wymyślimy. Zgodził się. Kiedy tylko zdążyłam przekroczyć próg, zrobił mi drinka, chociaż jeszcze nie minęło południe, i wskazał jedno z białych reżyserskich krzeseł, na których nie lubiłam siedzieć, ponieważ nie sięgałam stopami podłogi.

Oświadczył, że już nie będzie mnie potrzebował. Powiedział to szybko, beznamiętnie, jakby opisywał zwrot akcji. Wyjaśnił, że koniec naszej współpracy nie jest ani moją, ani jego winą. Wydawca postanowił zakończyć serię.

– Jesteś dobrą pisarką – dodał. – Dasz sobie radę sama.

Próbowałam zapanować nad emocjami, które się we mnie rozszalały, starałam się nie rozlać bloody mary na jego białe krzesło.

– A oto prezent dla ciebie – zakończył i uznałam, że ma na myśli odprawę. W naszej umowie nie było wprawdzie mowy o żadnej premii, ale pomyślałam, że prawdopodobnie skłoniła go do tego gestu nasza osobista relacja.

Lance wyjął zza pleców kopertę, którą podał mi teatralnym gestem.

Była to duża, wyściełana koperta z logo wydawnictwa, taka, w jakiej przesyła się tekst po pierwszej korekcie.

Wypiłam połowę drinka, odstawiłam szklanekę na stół i otworzyłam kopertę. W środku nie było pieniędzy, tylko próbne wydanie *Pragnienia dziecka*. Co to miał być za prezent? Czy Lance chciał mi powiedzieć, że nie będę musiała czytać dwustu osiemdziesięciu pięciu stron w poszukiwaniu literówek i innych błędów, że sam wykonał za mnie tę pracę, taki był jego pomysł na prezent pożegnalny?

– Spójrz na okładkę – polecił.

Spojrzałam. Moja nazwisko – Lucy Wakefield – widniało na książce o porwaniu dziecka. Niezaprzeczalnie, bezdyskusyjnie, jednoznacznie, było tam, tuż pod nazwiskiem Lance’a. Chociaż wydrukowane mniejszą czcionką, litery wydawały się wyraźne i ogromne, jakby wyskakiwały z kartki. Oblałam się gorącym rumieńcem, zupełnie jakby ktoś dał mi w twarz.

– Wiedziałem, że się ucieszysz – powiedział Lance. – Możesz teraz zająć o wiele dalej, pracując na własny rachunek.

W pierwszym odruchu chciałam go poprosić, żeby to zmienił, nawet jeżeli na tym etapie procesu wydawniczego książki byłoby to niełatwe. Jednak nie mogłam się do tego zmusić. Moja nazwisko na okładce pomogłoby mi w wyrobieniu własnej marki. Potrzebowałam tego, zwłaszcza teraz, kiedy mnie zwolnił. Przekonywałam samą siebie, że w książce nie ma

absolutnie niczego, co pozwoliłoby połączyć opisaną historię z moją. Jednak gdy Lance ponownie napełnił mi szklanę i wznieśliśmy toast, moje wnętrze opanował strach i zagnieździł się tam na dobre.

## Lance

Lucy stworzyła *Pragnienie dziecka* w o wiele krótszym czasie, niż zwykle zajmowało jej napisanie książki. To dobrze wróżyło jej solowej karierze. Wiedziałem, że będę musiał ją zwolnić. Ta seria się wyczerpała i wydawca namawiał mnie na nową. Już zacząłem nad nią pracować, ale z kimś innym. Z kolejną autorką reklam, która – jak większość nich – chciała zmienić branżę. Była młodsza, jej teksty miały więcej ikry. Zaczęliśmy się spotykać. Lucy i ja dobiliśmy do mety. Ale byłem jej coś winien, nie wypadało mi zostawiać jej na lodzie. Dałem jej to, czego chciała, jej nazwisko na okładce. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby miała dobry start. Pokryłem część kosztów jej zaproszenia na przyjęcie w pubie w Dumbo, żeby mogła nawiązać znajomości. Zaprosiłem ją na spotkania autorskie w kilku lepszych miastach: Seattle, Portland, Frisco, chociaż te wyjazdy musiała sfinansować z własnej kieszeni, wydawca nie zgodził się pokryć kosztów. Na początku odmówiła, potem jednak udało mi się ją namówić. Jeśli chciała zostać znaną autorką, musiała pokazać się światu.

## Lucy

Marilyn mieszkała na obrzeżach San Mateo, czyli – jak sprawdziłam na mapie – pięćdziesiąt trzy kilometry od San Francisco. Denerwowałam się jednak, kiedy mój samolot wylądował na SFO<sup>11</sup>. A jeśli ją spotkam? Wiedziałam, jak wygląda, a raczej jak wyglądała wtedy. A jeśli akurat będzie na lotnisku, gdy wysiądę z samolotu? Oczywiście nawet gdyby mnie minęła, toby mnie nie poznała. Nie wiedziałyby, kim jestem. Mimo to obawiałam się, że na nią wpadnę, na lotnisku czy gdzieś indziej, i okaże się, że wyczuwa odór wina, jaki wydzielalam.

Wiedziałam, gdzie mieszka. Obserwowałam ją przez całe lata, żeby się upewnić, że nie przytrafiło jej się nic złego. W wiadomościach podano, że przeprowadziła się z New Jersey do Kalifornii, rozwiodła z gładko ogolonym mężem i wyszła za brodatego. Kilka razy, zanim wprowadzono identyfikację numeru, zdobyłam się na odwagę, żeby zadzwonić do ich domu, udając ankierkę. Zawsze byłam zdenerwowana, bałam się, że usłyszy w moim głosie napięcie, które starałam się ukryć. Jednak nigdy nic nie wyczuła. W ten sposób dowiedziałam się, że ma inne dzieci. Jedno, dwoje, troje. Cieszyłam się.

Gdy weszłam na lotnisko, zobaczyłam przed sobą wyznawców Hare Krysna. Szli szybko, a pomarańczowe szaty unosiły się wokół nich niczym żagle i przez sekundę wydawało mi się, że pod szalem dostrzegłam jej twarz. Oczywiście kobieta w pomarańczowych zwojach nie była Marilyn. Ale przypominała tę Marilyn, którą widziałam w telewizji dwadzieścia jeden lat temu. Twarz Marilyn musi być starsza, pomyślałam z ulgą, gdy kobieta przepłynęła obok mnie, pozostawiając za sobą woń cynamonu.

Zagrożenie, że wpadnę na Marilyn, jest bliskie zera, przekonywałam samą siebie, wkładając walizkę na kółkach do bagażnika taksówki. A nawet jeśli ją spotkam? Nie mogłaby dostrzec niczego, co pozwoliłoby jej połączyć mnie z nią albo z wydarzeniem, do którego doszło po drugiej stronie kraju ponad dwie dekady temu. Pisząc książkę, bardzo uważałam, żeby ani miejsce akcji, ani okoliczności mnie nie zdradziły.

Jednak kiedy taksówka zjechała z mostu i skręciła w Market Street, w porze lunchu pełną ludzi, odsunęłam się od okna pewna, że dostrzegłam Marilyn w tłumie na chodniku. Przez jeden przerażający moment myślałam, że przeszła po pasach przed nami, gdy zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle. Jej bliskość – a raczej moje poczucie jej bliskości – sprawiło, że moje ciało osłabło.

<sup>11</sup> SFO – San Francisco Airport.

## Marilyn

Odkąd to się stało, interesowały mnie książki i filmy o porwaniach. Nie miało dla mnie znaczenia, czy historia jest prawdziwa, czy nie. Byłam na siebie zła, że tak obsesyjnie śledzę każdy szczegół, badam, jakim cudem komuś uszło to na sucho lub nie. Czasami musiałam odłożyć książkę albo wyjść z kina, bo nie mogłam oddychać. Nie chciałam myśleć, że którekolwiek z tych nieszczęść mogło spotkać Natalie. Tom nie potrafił zrozumieć, dlaczego się tak torturuję, a ja naprawdę nie umiałam mu tego wytłumaczyć. Jednak musiałam to robić i dopiero później Sonya wyjaśniła mi, że to mój instynkt macierzyński kazał mi pozostawać otwartą na zakodowane wiadomości, poszlaki, które doprowadzą mnie do Natalie.

Dlatego kiedy czytałam *Pragnienie dziecka*, poczułam, że w tej książce kryje się jakaś wiadomość dla mnie. To nie była historia mojej córki. Dziecko z książki było chłopcem. Jednak zostało ukradzione, gdy miało cztery miesiące, dokładnie tak jak Natalie. I było coś w sposobie, w jaki ta historia została opowiedziana, w emocjach... coś w opisie konsekwencji posiadania dziecka, co do mnie przemówiło. Gdy czytałam stronę za stroną, miałam gęsią skórę i czułam, jak zimny dreszcz przebiega mi po kręgosłupie. W książce nie było ani jednego szczegółu, który opisywałby moje dziecko. A mimo to czułam, że ta historia ma jakiś związek ze mną.

Przeczytałam książkę wieczorem w wannie i przez cały czas czułam obecność Natalie. Przeczytałam ją w jeden wieczór. To była makabryczna historia, pełna potwornych opisów, żerujących na najniższych instynktach, czułam jednak, że przybliżyła mnie do mojej córki. Potem musiałam wyrzucić z głowy te potworne wizje. Nie mogłam pozwolić, żebym znowu pogrążyła się w szaleństwie. Powtarzałam sobie, że gdziekolwiek ona jest, jest bezpieczna. Ta opowieść była fikcją, wymyśloną historią, thrillerem. Żaden jej szczegół nie był prawdą.

Tamtej nocy miałam bardzo wyrazisty sen o Natalie, pierwszy od dłuższego czasu. W moim śnie była noc. Natalie była dorosła, miała na sobie koszulę nocną i stała przy wysokim oknie bez szyby.

– Chcesz, żebym cię nauczyła? – spytała, po czym wyskoczyła przez okno i poszybowała do gwiazd, a potem nagle frunęłam za nią i wiatr rozwiewał mi włosy.

Była pełnia. Przez te wszystkie lata często rozmawiałam z księżycem, ponieważ wiedziałam, że gdziekolwiek jest Natalie, patrzy na ten sam księżyc. Nawet śniąc, miałam świadomość, że to sen, ale akurat to było prawdą: Natalie wyciągała ku mnie rękę, mówiła mi, że żyje i nic jej nie jest, i że wkrótce znowu będziemy razem.

Następnego dnia zobaczyłam ogłoszenie w „Chronicle” o spotkaniu z autorem książki, Lance’em Orloffem. Miało się odbyć w dużej księgarni Barnes & Noble w San Francisco, do której i tak się wybierałam. Chciałam obejrzeć nową serię książeczek dla Chloe, *If you live*.

Pewna mama, tak jak ja ucząca dzieci w domu, poleciła mi tę serię, dzięki której historia stawała się zabawą, a nie czymś, czego należy się bać. W naszych lokalnych księgarniach jej nie było. Grant chwilowo nie miał żadnych zleceń i mógł zostać z Chloe. Pojechałam do miasta, nie wiedząc (choć czując), że moja córka już do mnie wraca.

## Lucy

Przy wejściu do księgarni zobaczyłam plakaty zapowiadające spotkanie z Lance'em Orloffem. Nie widniało na nich moje nazwisko. Lance, na zdjęciu opalony i beztrojski, został w Seattle, ponieważ był chory. Powiedział mi, że to grypa, ale moim zdaniem miał kaca. Na spotkanie autorskie przyszedł jego stary kumpel z college'u i razem gdzieś się wypuścili. Nie uprzedził rzeczniczki, że się nie pojawi. Gdyby jej powiedział, odwołałaby spotkanie, a moje życie nadal toczyłoby się swoim torem.

Denerwowałam się występem bez Lance'a. W Elliott Bay (Seattle) i Powell's (Portland) pracowaliśmy w duecie: on opowiadał, jak wymyślał fabułę, potem czytał książkę przez dziesięć minut, a ja przez pięć.

Księgarnia była ogromna. Wjechałam windą na piętro, gdzie w rogu sali zorganizowano nasze spotkanie, i gdy podążałam w górę, patrząc na ludzi i towary na parterze, czułam się coraz bardziej pewna siebie, jakbym upajała się świadomością, co to znaczy być prawdziwą pisarką, a nie tylko autorką reklam. Wyobrażałam sobie wszystkie książki, jakie mogę napisać bez Lance'a. On już mnie umówił na spotkanie ze swoim wydawcą.

Spotkanie autorskie odbywało się niedaleko kawiarni, skąd rozchodził się mocny zapach kawy, a ja byłam tak zdenerwowana, że zrobiło mi się od niego niedobrze. Około czterdziestu osób siedziało na składanych krzesłach albo kręciło się w pobliżu, przeglądając książki i magazyny. Jakaś kobieta na podium poprawiała mikrofon, podeszłam więc do niej i się przedstawiłam. Kiedy jej wyjaśniłam, że Lance nie da rady przyjechać, jej oczy za tęczowymi oprawkami okularów rozszerzyły się ze zdumienia. Ale tylko westchnęła, zapytała mnie o nazwisko i opuściła mikrofon na moją wysokość. Przeprosiła publiczność, wyjaśniając nieobecność Lance'a, i powiedziała, że zamiast niego w spotkaniu weźmie udział jego współpracownica. Usłyszałam głośny jęk zawodu, potem jeden z przybyłych wstał z cichym parsknięciem, zabrał swoją torbę i wyszedł, a inni poszli w jego ślady, później następni, tak że kiedy wypróbowałam mikrofon, zostało przede mną tylko koło dziesięciu osób.

Jednak i tak byłam podekscytowana, przecież miałam czytać solo przed publicznością, nawet niewielką, to, co napisałam, słowa przedstawiające dramatyczną historię, a nie wychwalające zalety produktu na sprzedaż.

Podziękowałam gościom za przybycie – i za to, że zostali – i po krótkim wstępie zaczęłam czytać, od czasu do czasu podnosząc wzrok znad książki i wykorzystując sztuczki, jakich nauczyłam się podczas szkoleń dla menedżerów: mów powoli, tak wolno, że aż wydaje ci się to nienaturalne, oddychaj pomiędzy zdaniem, podnieś wzrok i popatrz na wszystkich obecnych.

Wtedy dostrzegłam coś, co sprawiło, że gardło mi się zacisnęło. W tylnym rzędzie siedziała kobieta, wyglądająca jak Marilyn. Miała takie same rysy twarzy. Odsunęłam się od mikrofonu,

w obawie, że urządzenie wychwyci i zwielokrotni łomotanie mojego serca.

Ale może to nie Marilyn? Już tyle razy dzisiaj wydawało mi się, że ją widzę. Jak duża istniała szansa, że ona rzeczywiście jest tutaj?

Za każdym razem gdy podnosiłam wzrok, moje spojrzenie wędrowało ku niej. Jej kanciasta twarz, gest, jakim unosiła dłoń do gardła, bez cienia wątpliwości przywoływały na myśl obraz kobiety, którą wiele lat temu oglądałam w telewizji w moim salonie w New Jersey.

Zaczęłam czytać bardzo szybko, w ogóle nie odrywając oczu od książki, chciałam tylko jak najprędzej dobrać do końca. Ominęłam cały akapit, czego chyba nikt nie zauważył.

Zerkałam na telefon, który położyłam na pulpicie. Na wyświetlaczu był zegar, odmierzający minuty mojego wystąpienia. Pokazywał 7:47. Kiedy dojdzie do 10:00, będę mogła skończyć. Jednak nie dałam rady. Przy 8:48 gwałtownie podniosłam głowę.

– A jeśli chcecie się dowiedzieć, co było dalej, będziecie musieli kupić książkę – powiedziałam wesoło, jak gdybym skróciła czytanie tylko w celu podniesienia sprzedaży.

<



## Marilyn

Byłam zaskoczona, że Lance Orloff nie pojawił się na spotkaniu. Zamiast niego stała na podium jakaś pisarka, o której nikt nie słyszał. Była za niska do mikrofonu, pracownica księgarni musiała go obniżyć.

– Witam? – powiedziała, jakby to było pytanie. Głos jej drżał, widziałam, że jest zdenerwowana.

Wyjaśniła, że Lance nie mógł przyjechać, i przeprosiła, że ona będzie czytała zamiast niego. Postanowiłam zostać, chociaż większość osób siedzących wokół mnie wyszła. Pisarka poczekała, aż zapanuje spokój, po czym zaczęła czytać, rzadko podnosząc wzrok znad książki i niepewnie wymawiając słowa. Pomyślałam, że czuje się zakłopotana z powodu tak nielicznej publiczności.

– „Powiedziałam sobie: Wezmę dziecko na dwór tylko na chwilę, żeby zabrać je z tego zimnego, klimatyzowanego pomieszczenia”.

I nagle zalała mnie fala wspomnień z tamtego potwornego dnia. Uzmysłowiłam sobie, jak zimno było w sklepie, jaką poczułam ulgę, wchodząc tam z sierpniowego skwaru. Przypomniałam sobie cios wymierzony w mój żołądek, kiedy zobaczyłam, że mojego dziecka nie ma tam, gdzie je zostawiłam.

Postanowiłam zostać i powiedzieć jej coś po spotkaniu. Powiem jej, że książka do mnie przemówiła, że sama to przeżyłam, bo moje dziecko zostało porwane, zobaczę jej reakcję.

Kolejka do pisarki poruszała się powoli, chociaż stało tylko kilka osób. Nie tylko podpisywała książki, ale też gawędziła z każdym. Mimo to czekałam. Chciałam znaleźć się blisko niej. Czułam, że muszę do niej podejść, że jej bliskość powie mi... coś.

Ale gdy tak stałam, zaczęły nachodzić mnie wątpliwości. Czego ja się spodziewam? Co jej powiem? Zapytam ją, czy wie, gdzie jest moje porwane dziecko? To niedorzeczne. Lucy Wakefield jest zawodową pisarką, ta kobieta z elegancką fryzurą i w kosztownym kostiumie nie mogła mieć nic wspólnego z porwaniem mojego dziecka. A mimo to czułam, że coś ją ze mną łączy.

Zorientowałam się, że powinnam była przynieść swój egzemplarz, który mogłaby podpisać. Wzięłam jeden ze stojaków przy podium, włożyłam okulary do czytania i otworzyłam na odpowiedniej stronie. Mężczyzna przede mną odszedł i jej oczy spoczęły na mnie. Jej twarz natychmiast się zmieniła. Nie chodziło tylko o mimikę. Jej oddech. Usłyszałam, jak gwałtownie wciągnęła powietrze. Jej policzki poczerwieniały. Wyglądała na przerażoną, jak zwierzę schwyte w pułapkę.

Zaczęły mi drżeć kolana.

– Podobała mi się pani powieść.

Podalam jej książkę, ale jej nie wzięła. Nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć. Byłam zbyt skupiona na jej twarzy. Rumieniec wypłynął jej aż na szyję. Spojrzała na mnie, ale natychmiast znowu uciekła gdzieś wzrokiem. I wtedy pulpit zaczął drżeć. Zadzwoił jej telefon. Na ekranie pojawiła się twarz, która wydała mi się znajoma, ktoś, kto wyglądał jak młodsza ja! Poczułam pewność – chociaż to niemożliwe – że ta dziewczyna to już dorosła moja córka, mimo że imię na ekranie nie należało do niej. Brzmiało „Mia”. Ta kobieta wiedziała, gdzie jest moja córka! Czy mogła mieć coś wspólnego z jej zniknięciem? Poczułam się tak, jakby w tamtej chwili wyrwała mi dziecko z ramion.

Wtedy Lucy Wakefield podniosła telefon i odwróciła go tak, że nie widziałam już ekranu, i zaczęłam się zastanawiać, czy – jak to się zdarzyło już tyle razy – wyobraźnia nie spłatała mi kolejnego figla.

## Lucy

Kilka osób stanęło w kolejce po autograf. Próbowałam przedłużyć rozmowę z każdą z nich, ponieważ widziałam, że Marilyn – byłam przekonana, że to ona – stoi na końcu, i miałam nadzieję, że straci cierpliwość i sobie pójdzie.

Dlaczego tu przyszła? Czy po prostu jest jedną z wielbicielek powieści Lance’a? Miał miliony fanów. Zaczął nawet występować w reklamach.

Rozmawiałam z każdym, kto stał w kolejce przed nią. Prawiłam komplementy, zadawałam pytania, odpowiadałam rozwlekłe na pytania, które mi zadawano. Pisałam nie tylko swoje nazwisko, ale też długie, kwieciste dedykacje, balansując książką na pulpicie, przesuwając długopisem po kolejnych stronach.

Jednak Marilyn z uporem czekała. I nagle stanęła przede mną. Wypowiedziała swoje imię, Marilyn. Stałam twarzą w twarz z kobietą, która urodziła moją córkę. Powiedziała coś jeszcze, ale nie mogłam jej zrozumieć. Mój umysł przestał działać. Patrzyłam tylko na jej usta, na twarz, która tak bardzo przypominała twarz mojej córki. Poraził mnie strach, ale starałam się zachować pozorną obojętność. Zerknęłam na boki, na wpół oczekując, że zaraz zobaczę ludzi w mundurach.

Byłam jak wmurowana, zastygłam z długopisem uniesionym w powietrzu. Patrzyłyśmy na siebie, przedzielone pulpitem, jak przeciwnicy mierzący się wzrokiem z przeciwległych krańców ringu, oceniający się nawzajem. Czy ona wiedziała, kim jestem? Łączyła nas niemal namacalna więź.

Dostrzegłam, jak bardzo się postarzała od tamtego wieczoru, kiedy widziałam ją w telewizji. Jej skóra straciła blask, rysy się wyostriły, włosy posiwiwały. Widziałam ból na jej twarzy. To ja byłam za to odpowiedzialna. Ja zabrałam jej dziecko, wyrządziłam jej największą krzywdę, jaka może spotkać matkę.

Ale co mogłam teraz zrobić? Nie mogłam cofnąć czasu. Nie mogłam oddać jej dziecka, wymazać lat cierpienia. Jej córka była moją córką. Moja córka stała się dorosła. Mnie też w pewien sposób odebrano dziecko. Wyjechała z domu do college’u, skończyła dwadzieścia jeden lat. Nic nie mogło sprawić, żeby tamta mała dziewczynka wróciła, do którejkolwiek z nas. Obie straciłyśmy tamto dziecko.

Marilyn podała mi książkę, ale jej nie wzięłam, stałam tam, niema i sztywna. Nie pamiętałam, co powinnam zrobić z rękami.

I wtedy zadzwonił mój telefon, wciąż leżący na pulpicie. Miał wyłączony dźwięk, ale zaczął wibrować, a ekran wypełniła twarz Mii i jej imię, wypisane jaskrawymi, wielkimi literami. Wibracje przesuwwały aparat po drewnianym blacie w stronę Marilyn. Spojrzała na wyświetlacz. Jej rysy się zmieniły. Jej twarz oblał rumieniec, a oczy się rozszerzyły, powiększone przez

okulary w szylkretowej oprawie, które nosiła na łańcuszku. Minęła wieczność, zanim położyłam dłoń na telefonie i usunęłam moją córkę z zasięgu jej wzroku.

– Cześć, skarbie – odezwałam się do telefonu, starając się, by mój głos brzmiał spokojnie. Odwróciłam się, zatykając ucho, jakbym odgradzała się od hałasu, chociaż w księgarni panowała teraz upiorna cisza.

– To koniec – oświadczyła moja córka.

Serce podeszło mi do gardła.

– Słucham? – zapytałam.

– TO KONIEC! – powtórzyła Mia. – MOJE EGZAMINY!

Dopiero wtedy przypomniałam sobie, że tego dnia zdawała egzamin na prawo, do którego przygotowywała się miesiącami. Ona mówiła, a ja trzymałam telefon przy uchu i marszcząc brwi, by pokazać, że stało się coś ważnego, wybąkałam przeprosiny. Potem schwyciłam torebkę i pokonując po dwa stopnie naraz, zbiegłam po ruchomych schodach, wyskoczyłam frontowymi drzwiami i wmieszałam się w tłum na chodniku, żeby jak najszybciej wrócić do hotelu.

## Marilyn

Kiedy pisarka wyszła, spojrzałam na książkę i po raz pierwszy dostrzegłam dedykację. „Dla Mii” – to samo imię, które pojawiło się na ekranie telefonu.

Tamtego wieczora odczekałam, aż dzieci i Grant położą się do łóżek. Gdy w domu było już ciemno i cicho, poszłam do salonu i włączyłam komputer. Serce mi waliło, łomotało tak mocno, że bałam się, że obudzi cały dom. Weszłam na Facebooka i wpisałam w wyszukiwarkę „Mia Wakefield”.

Znalazłam kilka Mii Wakefield. Na okładce książki napisano, że autorka mieszka na Manhattanie, dodałam więc tę informację, żeby zawęzić obszar poszukiwań.

Trzy Mii zamiast zdjęć miały zarys kobiecej postaci. Obok nazwiska czwartej pojawiła się twarz małej dziewczynki. Kliknęłam na zdjęcie, żeby je powiększyć, i kiedy czekałam, aż wirujące kółko zniknie, odsłaniając fotografię, sytuacja mnie przytłoczyła, zabrakło mi tchu w piersi. Siedziałam nieruchomo, wpatrzona w wirujący okrąg, aż w końcu zatrzymał się i zamienił w twarz mojej córki.

Odskokczyłam od monitora, jakby ktoś mnie odepchnął. Patrzyłam na stare zdjęcie z polaroidu, niewyraźne, ale wiedziałam, że to ona. Wyglądała na nim na jakieś trzy lata. Była piękna. Widziałam w jej rysach nas oboje, siebie i Toma. Cieszyłam się, że moja córka wygląda na pełną życia i zdrową. Kliknęłam na dwa pozostałe zdjęcia w jej albumie. Na jednym miała około osiemnastu lat, była ubrana w narciarski kombinezon, jej skóra jaśniała na tle śniegu. Wpatrywałam się w jej twarz, próbując ją wchłonąć, dosłownie wciągnąć wraz z oddechem z powrotem w siebie. Znowu powiększyłam jej zdjęcie, i jeszcze, i jeszcze, próbując dostrzec każdy por skóry, szukając jakichkolwiek śladów uszkodzeń, aż jej fotografia rozpadła się na maleńkie, nierozpoznawalne kwadraciki. Zmniejszyłam je, aż znowu scaliły się w obraz. Na ostatnim zdjęciu była na imprezie. Cieszyłam się, że ma przyjaciół.

Pragnęłam do niej napisać, ale zastanawiałam się, jak zareaguje, kiedy pojawię się tak niespodziewanie. Czy ona w ogóle wie o moim istnieniu?

Chciałam „zaprosić ją do znajomych”, ale w tamtych czasach Facebook wymagał oznaczenia kategorii, a jak miałam określić siebie w tym zaproszeniu? Nie byłam „koleżanką z klasy”, „przyjaciółką”, „znajomą” ani „współpracownikiem”. Nie muszę mówić, że nie istniała opcja „matka”.

Postanowiłam wysłać zaproszenie z wiadomością. Tylko co miałam napisać? Nie ma gotowych słów na taką okazję. Nie chciałam jej przestraszyć ani wyjść na jakąś szaloną prześladowczynię. Wiedziałam, że nie mogę napisać tego, co naprawdę chciałam:

„Ludzie, którzy cię wychowywali, nie są twoimi rodzicami, zostałeś porwana!”.

Siedziałam i pisałam, i usuwałam wiadomość za wiadomością.

„Kochana córeczko, jestem twoją matką i szukam cię od lat”. Zbyt emocjonalne. Mogę ją wystraszyć.

„Tak się cieszę, że wreszcie cię tu znalazłam. Nigdy nie przestałam cię szukać”. Jakbym ją prześladowała.

Położyłam się spać. I obudziłam się gwałtownie, ponieważ we śnie wreszcie przysły do mnie właściwe słowa. Wymknęłam się z łóżka, ostrożnie, żeby nie obudzić Granta, i poszłam na palcach do salonu.

„Myślę, że jestem twoją matką”, napisałam. „To nie żart”. Byłam szczerą. Bezpośrednią. Niegroźną. Taką miałam nadzieję.

Wpatrywałam się w wiadomość przez długi czas, zanim ją wysłałam. Już dawno się nauczyłam i zawsze powtarzałam to swoim dzieciom, żeby zanim się wrzuci coś do sieci, wziąć głęboki, oczyszczający oddech. Nie można cofnąć niczego, co znajdzie się w internecie, to wysiłek równie bezcelowy, jak próbować z powrotem włożyć do skorupki rozlane jajko.

Wciągnęłam głęboko powietrze, jak nauczyłam się na zajęciach pranayamy. Nadal jednak nie wysyłałam wiadomości. Zamiast tego wstałam, zrobiłam sobie herbatkę z korzenia kozłka lekarskiego i wróciłam do komputera z kubkiem, grzejącym mi dłonie.

Popijałam herbatkę, patrząc na słowa, które napisałam, zastanawiając się, jaką reakcję wywołają u mojej córki. Bez wątplenia wiadomość będzie dla niej zaskoczeniem. Czy wzbudzi w niej ciekawość? Czy Mia ją zignoruje? Modliłam się, żeby to nie były tylko pobożne życzenia, żeby się nie okazało, że to kolejny trop prowadzący donikąd.

I jaki wpływ będzie miała ta moja wiadomość na moją rodzinę, na naszą, jej i moją? Na ludzi, których nigdy nie spotkała, którzy nigdy jej nie widzieli, chociaż łączą ich z nią więzy krwi. Martwiłam się o Connora, mój pierworodny niedawno skończył szesnaście lat. Czy zaakceptuje starszą siostrę? A Thatch, dwa lata młodszy, który z trudem próbował zaadaptować się w gimnazjum? Czy to odkrycie nie sprawi, że poczuje się jeszcze bardziej wyobcowany? I jak zareaguje Chloe, która ma dopiero dziesięć lat, gdy się dowie, że już nie jest jedyną dziewczyną w rodzinie? A Grant? Co powie na kolejne dziecko – nie jego dziecko – w naszym stadle?

Jednak zdałam sobie sprawę, że wszystkie te pytania są czysto hipotetyczne. Nie było możliwe, żebym nie skontaktowała się z moją córką, żebym stłumiła gwałtowne pragnienie ujżenia jej. Wzięcia jej znowu w ramiona.

Gdy z herbaty zostały tylko fusy, odstawiłam kubek. Wzięłam jeszcze jeden długi, oczyszczający oddech, wdech i wydech, głęboko, z przepony, wciągnęłam wilgotną, drżącą dłoń ku klawiaturze i nacisnęłam „wyślij”.

## Lucy

Nic się nie wydarzyło, przynajmniej nie od razu. Ale co będzie, jeśli Marilyn znowu się pojawi? Może mnie śledziła, zawiadomiła władze i wkrótce mnie aresztują? Następnego dnia spięta pojechałam na lotnisko, spociałam się, kiedy pracownicy ochrony długo oglądali moje prawo jazdy, pełna obawy, że w każdej chwili mogą mnie zamknąć w celi. Jednak wszystko przebiegło bez żadnych zakłóceń.

Kiedy wróciłam do Nowego Jorku i przez kilka tygodni nic się nie działo, przekonałam samą siebie, że wszelkie lęki były bezpodstawne, poniosła mnie wyobraźnia, Marilyn była po prostu jedną z wielbicielek Lance'a Orloff'a, a moje życie nadal będzie się toczyło utartym torem. Aż pewnego dnia wróciłam do domu i zastałam mieszkanie przewrócone do góry nogami.

## Mia

Kiedy dostałam tę wiadomość, naprawdę się przestraszyłam. Była późna noc, próbowałam dokończyć referat. Teraz jednak nie mogłam już nawet czytać. Słowa skakały po monitorze. Wiedziałam, że dzieci szukają na Facebooku biologicznych matek, lecz nigdy nie słyszałam, żeby jakkolwiek matka próbowała w ten sposób odnaleźć dziecko. Oczywiście nieraz myślałam o mojej biologicznej matce, byłam jej ciekawa, chociaż nigdy na tyle, żeby zacząć jej szukać. Nie chciałam zostać po raz drugi odrzucona. Poza tym uznałam, że poszukując biologicznej matki, sprawię przykrość mojej mamie.

Zawsze myślałam, że to ja zacznę jej szukać pewnego dnia, kiedy będę na to gotowa. Nie byłam pewna, czy chcę nawiązać kontakt z kimś, kto mi to prawo odebrał. Nawet gdyby się okazało, że to rzeczywiście ona. Nie przyjąłam jej do grona znajomych. Ale też nie usunęłam jej zaproszenia.

Potem pojechałyśmy do cioci Cheryl na Święto Dziękczynienia, miałam egzaminy, wróciłam do domu na ferie zimowe, znowu pisałam referat i w ramach przerwy zaczęłam przeglądać zaproszenia na Facebooku. Znalazłam zaproszenie od Marilyn. Po raz pierwszy kliknęłam na jej zdjęcia. Przedstawiały głównie jej dzieci. Coś w ich twarzach wydało mi się niepokojąco znajome. Nie wiem dlaczego, jednak zaczęłam płakać. Pewnie gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że po raz pierwszy patrzę na zdjęcia osób, z którymi łączy mnie genetyka.

Tamtego wieczoru spytałam Lucy o moją adopcję. Nie chciałam pytać jej bezpośrednio o Marilyn. Jeśli nawet była moją biologiczną matką, coś mi kazało nie mówić o niej teraz. To Lucy jest moją matką. Nie chciałam, żeby pomyślała, że chciałabym mieć inną.

Byłyśmy w kuchni, zmywałyśmy naczynia. Lucy wyjęła rondel ze zmywarki i podała mi do wytarcia.

Ayi już dawno wróciła do Chin i nie jadałyśmy więcej chińszczyzny. Ugotowałam spaghetti, a Lucy miała posprzątać, taką miałyśmy umowę: ten, kto gotuje, nie zmywa. Ale czasami zostawałam w kuchni, żeby pomóc, bo szczerze mówiąc, było mi trochę żal mamy. Ciężko pracowała. Nie miała żadnych znajomych. Nie miała czasu dla nikogo poza mną. Pytałam ją, dlaczego nie próbowała kogoś poznać. Odpowiedziała, że za dużo pracuje, żeby stworzyć związek. Jej jedynymi znajomymi byli kumple z pracy, ale mieli własne rodziny, z którymi spędzali weekendy i wieczory, kiedy z nią nie pracowali. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak można żyć bez znajomych. Ale wydawało się, że Lucy to nie przeszkadza. Powiedziała, że lubi pracować. Uznałam, że po rozpadzie pierwszego małżeństwa postanowiła wziąć ślub z pracą.

Przypaliłam trochę sos i resztki nadal tkwiły na dnie rondla. Podałam jej go z powrotem.

– Jak nazywała się agencja adopcyjna? – zapytałam, starając się zachować obojętny ton.

Lucy wzięła rondel, studiując uważnie moją twarz.



– Nie adoptowałam cię przez agencję, nie pamiętasz?

– Nie – skłamałam, chociaż oczywiście pamiętałam.

Nie opowiadała mi tej historii od lat. Chciałam jeszcze raz usłyszeć wszystkie szczegóły. Nie zamierzałam mówić jej o kobiecie, która zaczęła mnie na Facebooku. Lucy nie rozumiała mediów społecznościowych. Miała hopla na punkcie prywatności.

– Jakaś dziewczyna z Kansas odpowiedziała na moje ogłoszenie w gazecie. Miała piętnaście lat, była zbyt młoda, żeby wychować dziecko. Próbowała przez cztery miesiące, bo nie chciała cię oddawać, ale rozumiała, że potrzebujesz lepszego domu niż ten, który ona mogła ci dać.

Nigdy wcześniej nie wspominała, że moja biologiczna matka była taka młoda. Teraz miałyby trzydzieści sześć lat. Na zdjęciach w Facebooku Marilyn wyglądała na starszą. Więc pewnie jednak nie jest moją biologiczną mamą.

Lucy szorowała dno rondla druciakiem, chociaż zwykle nie zadawała sobie aż tyle trudu. Wiedziałam, że ta rozmowa sprawia jej przykrość, co wydawało się w pełni zrozumiałe. To ona była moją mamą. Nie chciała rozmawiać o mojej innej matce.

– Poznałaś ją?

– Kogo?

– Moją biologiczną matkę!

– Widziałam ją tylko raz. Nie mogę uwierzyć, że nie pamiętasz tej historii. Spotkałyśmy się w sali konferencyjnej w kancelarii, żeby twoja matka mogła przeprowadzić ze mną wywiad i sprawdzić, czy będę dla ciebie odpowiednią mamą. Mnóstwo ludzi chciało cię adoptować.

– O tak, od samego początku byłam wspaniała. – Chciałam, żeby mówiła dalej i nie zmieniała tematu, jak zwykle robiła, kiedy poruszyliśmy kwestie, o których nie chciała rozmawiać. – Więc dlaczego wybrała ciebie?

– Na początku bardzo się bałam, że mnie nie wybierze. Byłam jedyną samotną matką, jaką brała pod uwagę, ale jej to nie przeszkadzało. Wychowywała ją samotna matka i sama też nią była. Powiedziałam jej, że ponieważ nie mam męża, będę mogła poświęcać więcej czasu dziecku. Tak bardzo pragnęłam mieć dziecko, Mia. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo.

– A mój tata? – Zawsze wyobrażałam sobie moich nastoletnich biologicznych rodziców jako pięknych i zakochanych, jak Romeo i Julia. Nigdy wprost o nich nie pytałam. Jakby była między nami jakaś niepisana umowa.

– To był chłopiec z innej szkoły, który nawet nie wiedział, że dziewczyna zaszła w ciążę. Powiedziała, że był bardzo przystojny. I mądry. – Lucy wytarła ręce o dzinsy z wysokim stanem, w które zawsze się przebierała, gdy tylko wracała z pracy.

– Jak ona się nazywała? – Marilyn miała na nazwisko Mornay. Może była matką mojej biologicznej matki.

– Kimberly coś tam. Prawnik mi powiedział, że zmarła kilka lat później. Zginęła w wypadku samochodowym.

– Co?! – To coś nowego. Lucy nigdy mi nie mówiła, że moja biologiczna matka nie żyje. Przez te wszystkie lata zawsze w urodziny myślałam o niej i zastanawiałam się, czy każdego dwudziestego szóstego kwietnia ona także myśli o mnie.

– Nie chciałam ci mówić, kiedy byłaś młodsza. Myślałam, że ta wiadomość cię zasmuci. Ale teraz jesteś już wystarczająco dorosła, żeby o tym wiedzieć.

Zadzwoił telefon i Lucy jak zawsze zaczęła szukać słuchawki. Dzwoniący telefon mnie nie interesował. Nikt z moich znajomych nigdy nie dzwonił na stacjonarny.

Stałam, opierając się o mokry blat, z brudną, wilgotną ścierką w ręku, i czekałam, aż trzęsienie ziemi we mnie ucichnie, żebym mogła postawić jedną stopę przed drugą i wyjść z kuchni.

Coś mi w tej historii nie pasowało.

Tamtego wieczoru zaakceptowałam zaproszenie Marilyn.

<

## Marilyn

Na początku Mia nie zaakceptowała mojego zaproszenia na Facebooku. Pewnego dnia zobaczyłam jednak, że należę do jej znajomych. Pierwsze, co sprawdziłam w jej profilu, to data urodzenia. Dzień się nie zgadzał, ale miesiąc i rok były prawidłowe. Ktoś mógł tę datę zmienić, z oczywistych powodów.

Wtedy zaczęłam zamieszczać o wiele więcej zdjęć. Fotografie dzieci, naszego domu, Granta, mojej ceramiki. Bardzo starannie je dobierałam, ponieważ wiedziałam, że przedstawiam mojej córce jej prawdziwą rodzinę. Ale nie napisałam do niej. Uznałam, że powinnam poczekać, aż ona będzie gotowa wykonać pierwszy krok.

Całymi godzinami chłonełam jej wirtualną obecność – tropiłam szczegóły jej życia w zabawnych zdjęciach, gorzkich komentarzach, rozważaniach, zamartwianiu się o egzaminy czy w okazywaniu miłości do zwierząt. Jak gdybym próbowała przesiąknąć moją córką, jakbym mogła wchłonąć ją przez monitor. Z jej profilu wiedziałam, że nadal chodzi do college'u. Spisałam numer jej telefonu z komentarza, który napisała komuś innemu. Dłonie mi drżały, gdy go zapisywałam. Te cyfry pozwoliłyby mi usłyszeć głos mojej córki. Ale wiedziałam, że nie mogę do niej zadzwonić. Jeszcze nie.

Klikałam zachłannie, poszukując w każdym zdjęciu podobieństw, analizując jej rysy. Miała dołeczki Toma, moje błękitne oczy i niesforne włosy. Zdjęcie z plaży ujawniło moją karnację, zawsze wymagającą filtrów przeciwsłonecznych. Czułam się dziwnie, patrząc na zdjęcia własnej córki i czując, jak bardzo jesteśmy ze sobą związane, a jednocześnie zdając sobie sprawę, że w ogóle jej nie znam. Na jednej z fotografii jej podbródek (podbródek Toma) objawił, że wyglądała na silną osobę. Cieszyłam się z tego. Będzie potrzebowała siły.

Na widok jej zdjęcia jako małej dziewczynki poczułam się tak, jakby ktoś wbił mi nóż w serce. Oto ona, w wieku około pięciu lat, blondyneczka w białej koszuli nocnej, w nocy, biegnie po chodniku z zapalonym zimnym ogniem w dłoni. Kto zrobił to zdjęcie? Kto wtedy na nią patrzył?

Na innej fotografii wyglądała, jakby miała siedem lat. Rozpoznałam swoje słodkie, zaginione dziecko. Cieszyłam się, że wygląda na szczęśliwą, uśmiechała się. Trzymała kogoś za rękę, osobę, której nie było widać na zdjęciu, ścisnęła dłoń kogoś, kto nie był mną. Poczułam w piersi palący ogień, gdy tak wpatrywałam się w twarz mojej córki i myślałam o tych wszystkich kamieniach milowych, które mnie ominęły, o urodzinach, pierwszych krokach, o dniu, gdy pierwszy raz powiedziała „mama”, i mimo żalu za tymi wszystkimi straconymi latami byłam wdzięczna, że Jedność w końcu prowadzi ją do domu. Oczywiście otrzymałam dar innych dzieci, uczestniczyłam w ich dzieciństwie. Ale nic nie mogło mi wynagrodzić tego, co straciłam.

Całymi latami żyłam w nieustannym strachu o los mojej córki. Teraz patrzyłam na nią, dorosłą, zupełnie inną od mojego wspomnienia jej jako niemowlęcia. Czułam radość tak wielką, że nie

potrafiłam wyrazić jej słowami, ale też cierpiałam. Każdy ułamek informacji był niczym policzek przypominający mi, że nie było mnie w jej życiu przez ponad dwie dekady.

Kliknęłam na następne zdjęcie. Miała chłopaka! Całowali się na tle migoczącego morza. Czy nadal są razem? Pewnie tak, inaczej usunęłaby fotografię. Czy był dla niej dobry? Na zdjęciu wydawał się miły, inteligentny. Ale czy był dobrze wychowany? Czuły? Następna fotografia była zbliżeniem. Odsuwał z jej twarzy kosmyk włosów. Na ile poważny jest ich związek? Według jej profilu nadal chodziła do Middlebury, jeszcze nie skończyła college'u. Moje serce przepełniło pragnienie, by ją przytulić, podzielić się z nią mądrością, miłością i macierzyńskimi ostrzeżeniami.

Kiedy zobaczyłam już wszystkie zdjęcia, zaczęłam je oglądać jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze; smakując je, powoli odzyskiwałam córkę, kawałek po kawałku. Jednak na razie nie wyciągałam do niej ręki, żeby jej nie przestraszyć, aż do radosnego dnia, kiedy dostałam od niej wiadomość.

„Kim tak naprawdę jesteś?”

Nie chciałam jej przestraszyć. Nie chciałam dać jej powodu, żeby usunęła mnie ze znajomych. Nie chciałam wyjść na wariatkę, pisząc, że została porwana. Ale właśnie to musiałam jej powiedzieć.

## Mia

Tamtego wieczoru, gdy przyjechałam Marilyn do znajomych, weszłam na jej profil. Trochę była do mnie podobna. Miała takie same oczy. Dostrzegłam, że ma krzywy jeden ząb – z tego samego powodu ja latami nosiłam aparat.

Mieszkała daleko, w Kalifornii. W informacjach o niej wyczytałam, że pochodzi z New Jersey, nie było ani słowa o Kansas. Wyglądała na miłą kobietę, ale nie znałam na Facebooku zbyt wielu matek, z którymi mogłabym porównać jej profil. Lucy nie miała konta. Była staroświecka. W pracy kazano jej założyć stronę i kilka razy prosiła mnie o pomoc przy aktualizacji.

– Dlaczego znowu muszę to robić? – pytała, a ja wzruszałam ramionami.

Szczerze mówiąc, nie chciałam mieć matki na Facebooku. Nie chciałam dzielić się z nią informacjami, którymi dzieliłam się z przyjaciółmi. Mama mojego chłopaka jest na Facebooku, to wystarczająco okropne.

Na profilu Marilyn przeczytałam, że zajmuje się ceramiką i uczy swoje dzieci w domu. To one interesowały mnie najbardziej. Powiększałam zdjęcia, żeby się przyjrzeć ich twarzom, czując na ramionach gęsią skórę. Grupka osób stała wokół tortu urodzinowego i jeden z chłopców wyglądał prawie tak samo jak ja. Dziwne było widzieć swoją twarz u chłopca. Zaczęłam się zastanawiać, czy wiadomość Marilyn jest prawdziwa. Czy mogła to być kobieta, która oddała mnie, kiedy byłam dzieckiem? Ale nie mogła mieć wtedy piętnastu lat, ta część historii też się nie zgadzała.

Pewnego dnia napisałam do niej i odpowiedziała prawie natychmiast. Jej wiadomość była długa, zajęła prawie cały monitor. Napisała, że jej dziecko zostało porwane w 1990 roku i że jest przekonana, iż tym porwanym dzieckiem jestem ja. Przesłała mi linki do artykułów prasowych na ten temat. Ale ja nie przypomiinałam porwanego niemowlęcia ze zdjęć.

Napisała, że moje prawdziwe imię to Natalie. Próbowałam sobie wyobrazić, że jestem dzieckiem o imieniu Natalie. Nie mogłam.

Jedynym dowodem na poparcie jej teorii był fakt, że moja mama napisała książkę o porwaniu. Odpisałam jej, że moja mama pisze też książki o morderstwach i napadach na banki, co nie oznacza, że jest morderczynią czy złodziejką.

Zaczęłam myśleć, że Marilyn jest wariatką, co przyniosło mi pewną ulgę. Lubiłam swoje życie. Nie chciałam, żeby się zmieniło. A pojawienie się biologicznej matki na pewno przewróciłoby wszystko do góry nogami.

## Detektyw Brown

Telefon zadzwonił kilka dni przed moim pożegnalnym przyjęciem z okazji przejścia na emeryturę. Na początku nie miałem pojęcia, kim jest pani Mornay. Potem wyjaśniła, że kiedyś nazywała się Featherstone, i oczywiście ją pamiętałem. Jej sprawa prześladowała mnie całymi latami. Powiedziała, że przez te wszystkie lata nosiła moją wizytówkę w portfelu. Oznajmiła, że znalazła swoją córkę na Facebooku, i zapytała, czy mógłbym jej pomóc.

Poradziłem jej, żeby nie robiła sobie zbyt wielkich nadziei. Możliwe, że dziewczyna z Facebooka nie jest jej zaginioną córką. Rzadko się zdarza, żeby ofiary, które nie zostały porwane przez kogoś z rodziny, odnajdywały się po tak wielu latach. Jeśli nie uda się odnaleźć dziecka w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin, szanse na jego odszukanie maleją do kilku procent. Jeśli dziecko po czterech miesiącach nadal pozostaje zaginione, szanse odzyskania go maleją praktycznie do zera.

Dlatego byłem niechętny, gdy poprosiła mnie o przeprowadzenie badań DNA. Postanowiłem jednak spróbować.

## Mia

Zadzwoił do mnie detektyw. Powiedział, że telefonuje w imieniu Marilyn Mornay, która się z nim skontaktowała, ponieważ w 1990 roku porwano jej córkę i myśli, że to mogę być ja. Teraz nasyła na mnie gliny? Przestraszyłam się.

Na początku odmówiłam zrobienia testu. Detektyw powiedział, że istnieje małe prawdopodobieństwo, że jestem tym dzieckiem. Chciał tylko mnie wykluczyć. Dodał, że nie muszę się spieszyć z decyzją, czy zrobić test, czy nie, nie muszę od razu udzielać odpowiedzi. Ale powiedziałam, żeby nie czekał na moje „tak”.

Powodem, dla którego postanowiłam jednak zrobić ten test, była kłótnia z Lucy.

Chciała pojechać na sylwestra na plażę, a ja wolałam gdzieś pójść z przyjaciółmi i chłopakiem. Miło z jej strony, że zaproponowała wyjazd do Puerto Rico i w ogóle, ale ten sylwester był dla mnie ważny! To miał być ostatni sylwester w college’u. Kto wie, czy za rok w ogóle będę mogła świętować. Zdawałam na studia prawnicze i jeśli dostanę się na dobry uniwersytet, nie będę miała czasu na imprezy. Poza tym to miał być mój ostatni sylwester z przyjaciółmi, zanim wszyscy skończymy szkoły i zaczniemy prawdziwe życie. Zawsze przywiązywaliśmy dużą wagę do sylwestra. Moja najlepsza przyjaciółka i ja zawsze zakładałyśmy złote stroje. Kochałam moją mamę, jednak nie chciałam spędzać z nią sylwestra.

Kiedy Lucy się wścieknie, wygląda jak Obcy – jej oczy robią się malutkie, czoło się marszczy, wypycha policzek językiem – i właśnie tak wyglądała, kiedy jej powiedziałam, żeby pojechała do Puerto Rico beze mnie.

Tamtego wieczoru koło jedenastej byłam gotowa do wyjścia. Dopiero co przyjechałam do domu na ferie i szłam do klubu spotkać się z przyjaciółmi. Lucy była ubrana w starą piżamę i puchate kapcie, miała potargane włosy. Wrzeszczała na mnie o to, co na siebie włożyłam! Krzyczała, że moja spódnica to zaproszenie do kłopotów w metrze, i gdy patrzyłam, jak poruszają się jej usta, pomyślałam, że ta kobieta nie ma pojęcia, o czym mówi. Ta kobieta, która mnie wychowała, naprawdę jest szalona.

Następnego dnia nadal byłam wściekła na Lucy i znowu zaczęłam oglądać zdjęcia Marilyn. Zamieściła nowe fotografie dzieci, otwierających prezenty pod choinką. Rozpoznałam tego chłopca i zobaczyłam jeszcze dziewczynkę, która też wyglądała jak ja. Kiedy jesteś adoptowany, zawsze chcesz „przynależeć”. Kiedyś przyglądałam się rodzinom idącym po chodnikach i myślałam, że należą do tego samego klubu. Ci ludzie wyglądali, jakby należeli do tego samego klubu, co ja.

Oddzwoniłam do detektywa. Powiedział mi, gdzie mogę zrobić test. Był bezpłatny i nawet nie

musiałam się umawiać. Ale minęło kolejnych kilka tygodni, zanim się zmusiłam, żeby tam pójść.

Pierwszy lutego 2012 roku. Dzień, który na zawsze zmienił moje życie. Siedziałam w moim ulubionym miejscu do pracy, kiedy jestem w domu – Starbucksie na rogu. Właśnie skończył się styczniowy semestr – w styczniu w Middlebury możesz chodzić na zajęcia na terenie kampusu albo odbywać gdzieś staż czy pracować jako wolontariusz. Ja odbyłam staż w kancelarii, załatwił go mój doradca, pomagający mi w dostaniu się na studia prawnicze. Pisałam podsumowanie, kiedy przyszły wyniki testu DNA. Zapomniałam, że zgodziłam się na przesłanie ich e-mailem. W temacie wiadomości wpisano „osobiste i tajne”. Wpatrywałam się chwilę w te dwa słowa. Padał śnieg, siedziałam przy samych drzwiach i za każdym razem gdy ktoś je otwierał, owiewał mnie zimny podmuch, ale teraz nagle zaczęłam się pocić. Wpatrywałam się w ikonkę „Otwórz wyniki”, niezdolna do żadnego ruchu. Serce mi biło, chociaż wiedziałam – albo myślałam, że wiem – że wynik będzie negatywny. Zamknęłam oczy i kliknęłam. Kiedy je otworzyłam, zobaczyłam słowo złożone z wielkich, zielonych liter: POZYTYWNY. Obok widniała liczba: „99,9 procent”. Ale ja skupiłam się na liczbie, której tam nie było. Cyfra, którą zobaczyłam w myślach, to 0,1 procent. Tyle wynosiła szansa, że wynik jest mylny. Chciałam, żeby tak było. Chciałam, żeby oni się mylili. Chciałam, żeby to wszystko okazało się pomyłką. Musiałam znaleźć wyjaśnienie dwóch faktów, które nie mogły współistnieć:

Wynik był prawidłowy i jednocześnie:

Moja matka nie jest kłamcą i porywaczką.

Jednak żadne wyjaśnienie nie przychodziło mi do głowy. Zebrałam papiery i wyszłam na zimno. Płatki śniegu wpadały mi do oczu. Cieszyłam się z tego, ponieważ kiedy odzwierny otworzył mi drzwi, nie zauważył, że płakałam. Dochodziła osiemnasta, Lucy jeszcze nie wróciła do domu.

Przez głowę przelatywały mi najróżniejsze scenariusze, historie, które miały wytłumaczyć niewytłumaczalne. Jeśli „pozytywny” jest prawdą, to skąd mogłam się wziąć u Lucy, o ile mnie nie ukradła? A to, że moja matka mnie ukradła, po prostu nie mieściło mi się w głowie. Była dobrym człowiekiem. Zagorzałym wrogiem kradzieży.

Jeżeli rzeczywiście jestem dzieckiem skradzionym tej kobiecie z Facebooka, to nie Lucy mnie porwała, uznałam. Pewnie nawet nie wiedziała, że dziecko, które adoptowała, zostało porwane. Widziałam odcinek *CSI* na ten temat. Wiedziałam, że w mojej adopcji pośredniczył prawnik z Kansas. Czy jeszcze pracował? Mogłabym go poszukać. Jego nazwisko pewnie widnieje na moim świadectwie urodzenia.

Poszłam do sypialni Lucy, do garderoby, w której trzymała wszystkie nasze ważne dokumenty w ogniotrwałej kasetce, ukrytej pod wiszącymi ubraniami. To było szare, metalowe pudełko. Nie otwierałam go od dawna, ostatni raz, jak miałam dziewięć lat i bawiłam się z przyjaciółmi w Harriet Szpiega. Uniosłam pokrywkę i zobaczyłam te same koperty, które pamiętałam, schludnie poukładane i opisane: „Dzierżawa”, „Ubezpieczenie społeczne”, „Akty urodzenia”. Wyjęłam tę ostatnią. Zawierała dwie kartki, złożone na trzy. Ta, którą rozłożyłam pierwszą, była różowa, ozdobiona staromodnymi rysunkami niemowląt. „Lucy Kane Wakefield urodzona 10 października 1954 r. w Emmettsville, Nowy Jork”. Powoli, drżącymi dłońmi, rozłożyłam drugą. Oczywiście widziałam wcześniej swój akt urodzenia. Potrzebowałam go na obozy, wycieczki,



gdy zdawałam do college'u. Ale nigdy nie przestudiowałam go uważnie.

„Świadectwo urodzenia”. Poczułam się lepiej, widząc to słowo. Tego właśnie szukałam: świadectwa.

„26 kwietnia 1990 r.

Nortonville, Kansas

Imię i nazwisko: Mia Woodrich

Panięskie nazwisko matki: Kimberly Woodrich”.

Spróbowałam wyobrazić sobie piętnastoletnią Kimberly. Zobaczyłam ciężarną, piętnastoletnią cheerleaderkę. Było mi smutno, że umarła.

„Ojciec: nieznany”.

Nie było nazwiska żadnego prawnika. Na dole widniał podpis urzędnika stanu cywilnego i ozdobne pieczęcie. Wypuściłam głośno powietrze, chociaż nawet nie wiedziałam, że wstrzymuję oddech. Kobieta z Facebooka się myliła. Testy DNA się myliły. Naprawdę byłam tą osobą, którą myślałam, że jestem. Miałam na dowód tego świadectwo.

Usiadłam, pełna ulgi, zdając sobie sprawę, jak głupio dałam się nabrać kobiecie z Facebooka, która pewnie jest wariatką, ale któż mógłby ją winić. Taka straszna rzecz ją spotkała.

I wtedy zobaczyłam, że na tylnej ścianie szafy coś błyszczy. Nigdy bym tego nie dostrzegła, gdybym nie siedziała akurat w tym miejscu. Podpełzałam tam na czworakach, perfumowane ubrania Lucy muskały mnie po twarzy, przypominając czasy, kiedy byłam małą.

Zobaczyłam klucz. Przyczepiony do ściany szafy taśmą klejącą tak starą, że zaczął odchodzić z niej klej. Oderwałam go – to był staroświecki kluczyk, miał mosiężne kółko i długi trzpień z ząbkami. Nie wisiał tam, kiedy byłam dzieckiem, bo na pewno bym go znalazła. Wścibskie promienie naszych latarek nie miały litości.

Co otwierał? Drzwi? Pudełko? Pomacałam w ciemności, ale na dole znalazłam tylko zakurzone buty, których Lucy już nie nosiła.

Wysunęłam się spod jej ubrań, wstałam i rozejrzałam się po garderobie. Była tam wbudowana komoda, ale szuflady nie zamykały się na klucz. Może to klucz od szkatułki z biżuterią? Wysłałam z garderoby i podbiegłam do biurka, na którym stała szkatułka. Nie była zamknięta, uniosłam wieczko i zobaczyłam biżuterię babki. Mama pozwoliła mi ją kiedyś włożyć na Halloween, kiedy byłam przebrana za Cruellę. Zajrzałam pod łóżko, pod nocny stolik i do szafki – w poszukiwaniu czegoś, co wymagało klucza. Wróciłam do garderoby i jeszcze raz się rozejrzałam. Wtedy zauważyłam zamykane na klucz walizki, leżące na górnej półce, trzy, ułożone jedna na drugiej. Stare, kartonowe walizki, które moja mama dostała, gdy wyjeżdżała do college'u. Jak byłam mała, obiecała mi, że mi je da, kiedy ja będę jechała do szkoły, ale oczywiście wtedy już nikt nie używał takich walizek.

Wzięłam z kuchni drabinę i zaciągnęłam ją do garderoby. Weszłam na górę i zdjęłam z zakurzonej półki pierwszą walizkę. Najmniejszą. Walizki różniły się wielkością jak lalki matroszki. Położyłam ją na podłodze i nacisnęłam mosiężne przyciski po obu stronach brązowych pasów. Odskoczyły, gdy tylko ich dotknęłam, i walizka stanęła otworem. Nic, pusto. Różowa, jedwabna wyściółka była spłowiała i zakurzona. Aż kichnęłam od kurzu. Wróciłam na drabinę i zdjęłam drugą walizkę. Przyciski natychmiast odskoczyły pod moimi kciukami. Ta także była pusta. Ostatnia walizka, największa, okazała się o wiele cięższa, z trudem zdjęłam ją z półki. Położyłam ją na podłodze i popchnęłam metalowe sztabki w przeciwnych kierunkach. Nic się nie wydarzyło. Spróbowałam jeszcze raz. Nic. Wsunęłam kluczyk w mosiężną dziurkę obok skórzanej rączki i obróciłam, a sztabki odskoczyły z kliknięciem tak głośnym, że aż

podskoczyłam. Gdy unosiłam wieko, zrobiło mi się niedobrze od zapachu starego papieru i ubrań.

Zanim podniosłam wieko do końca, już wiedziałam.

Zdjęłam bibułę i zobaczyłam starannie złożone dziecięce ubranko, różowy rampers w paski, który opisała mi Marilyn. Pod nim leżały poskładane gazety, brązowe i sztywne od upływu czasu. „Porwane dziecko” krzyczał nagłówek. „Niemowlę uprowadzone ze sklepowego wózka” informował inny. Wszystkie nosiły datę, o której pisała Marilyn: dziesiąty sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt, dziesiąty sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt, dziesiąty sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt.

Wydawało mi się, że ściany garderoby zamykają się wokół mnie i zaraz mnie zgniotą. Podłoga zaczęła się unosić. Czułam się tak, jakbym nagle znalazła się na tym urządzeniu w wesołym miasteczku, gdzie jesteś przypięta do ściany, a podłoga ucieka ci spod stóp. Wybiegłam stamtąd najszybciej, jak mogłam, popędziłam korytarzem, a potem przez cały dom, który teraz wyglądał zupełnie inaczej, nagle stał się muzeum przeszłości. Moje zdjęcia na ścianach nie przedstawiały już mnie, pokazywały dzieciństwo kogoś, kogo już nie poznawałam. Notatki przyklejone do lodówki, stojące na stole rzeźby z papier mâché, które zrobiłam w szkole – teraz były to eksponaty z innego czasu i miejsca, do których nigdy, przenigdy nie zdołam wrócić.

Kiedy dotarłam do swojego pokoju, wyciągnęłam spod łóżka wielką torbę i wepchnęłam do niej trochę ubrań. Nie miałam pojęcia, dokąd pojadę. Wiedziałam tylko, że muszę stąd wyjść. Czułam się, jakby oblało mnie stado robaków.

Pochyliłam się, żeby pożegnać się z kotem. Było mi żal Dyńka. Lucy może zapominać go nakarmić. Poszłam do kuchni, żeby napełnić mu miskę, i wyciskając jedzenie z saszetki, martwiłam się, co z nim będzie.

Kiedy usiłowałam zamknąć za sobą drzwi, nie mogłam trafić kluczem w dziurkę. Metal lśnił złowrogo, gdy celowałam i nie trafiałam, raz za razem. Zamykałam te drzwi tysiące razy, odkąd nosiłam mój pierwszy klucz na tasemce na szyi. Teraz wydawały się mówić: już tutaj nie mieszkasz.

## Lucy

Pod pewnymi względami budynek z portierem przypomina małe miasteczko: zawsze ktoś patrzy, co daje mieszkańcom złudzenie, że oni i ich mienie są strzeżeni i bezpieczni. Zresztą to nie zawsze złudzenie. Mieszkaliśmy w tym domu od dwudziestu jeden lat, odkąd Mia skończyła pół roku, i nigdy nie zostaliśmy okradzione.

Dlatego tamtego wieczoru, kiedy wróciłam do domu i zastałam otwarte drzwi, weszłam do środka, zobaczyłam przekrzywione lustro w przedpokoju, koszyk z pocztą przewrócony do góry dnem na ławie, mosiężną miskę na drobne na chodniku w holu, otoczoną rozsypanymi monetami, wiedziałam, że w końcu i nas spotkało to, co nieuniknione – doszło do włamania – a mimo to byłam w szoku.

Przede wszystkim martwiłam się o Mię. Czy nic jej się nie stało? Na chodniku leżała jedna z jej niebieskich mitenek.

Instynkt kazał mi zawrócić i wezwać portiera. Ale nie chciałam, żeby zawiadomił policję. Tak cicho, jak tylko mogłam, odłożyłam torebkę, zsunęłam buty i bezszelestnie, na palcach, ruszyłam do jej pokoju.

W naszym mieszkaniu były długie korytarze, a ten, którym szłam, wydawał mi się ciemny i nieskończony, gdy skradałam się do pokoju Mii. W mieszkaniu panowała cisza. Jedyne dźwięki dobiegały z holu: dzwonek telefonu, ujadanie psa.

Trzęsącą się dłonią odnalazłam na ścianie włącznik i zapaliłam światło. Mia lubiła porządek, w jej pokoju zawsze panował ład, rzeczy leżały w pudełkach, wisiały albo były pochowane w opisanych koszach, ale teraz zobaczyłam bałagan: drzwi szafy otwarte na oścież, ubrania poniewierające się na podłodze, powysuwane szuflady, z których wypadały dzinsy, koszule i dresy. Z ulgą zauważyłam, że klucza Mii nie ma na wieszaku przy drzwiach, zatem jest bezpieczna. Nie wróciła do domu. Ależ się zdenerwuje, pomyślałam, kiedy zobaczy, co złodziej zrobił z jej pokojem.

Zajrzałam do salonu i kuchni – tu było mniej zniszczeń, jednak i tak czułam, że nasza prywatna przestrzeń została naruszona. Figurki, które Mia robiła w szkole, leżały potraskane na podłodze. Dlaczego ktoś chciał się na nich mścić?

Poszłam do sypialni, nadal ostrożnie, chociaż już wtedy się nie bałam. Byłam pewna, że nikogo nie ma w mieszkaniu. Nie wyczuwałam niczyjej obecności.

Zapaliłam światło i przede wszystkim sprawdziłam, czy moja stara szkatułka na biżuterię stoi na swoim miejscu. Obiektywnie rzecz biorąc, nie miałam w niej nic cennego, ale jej zawartość była cenna dla mnie: biżuteria mojej matki i prababki, którą zamierzałam kiedyś przekazać Mii. Szkatułka była otwarta i z ulgą zobaczyłam, że niczego nie brakuje. Ale drzwi mojej garderoby stały otworem. W środku paliło się światło. Zbliżyłam się ostrożnie. Znowu pomyślałam

o zawiadomieniu portiera – nadal jednak nie chciałam, żeby zgłaszał włamanie.

Weszłam do garderoby. Zrobiło mi się sucho w ustach. Przy drzwiach leżał rampers, którego nie widziałam od lat, ten, w który ubrana była Mia, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Wydawał się taki maleńki. Uklękłam i podniosłam go z podłogi. Trudno było uwierzyć, że Mia kiedykolwiek mogła być tak mała, by się w niego zmieścić. Wyblakła tkanina zeszywniała. Wciąż pachniała talkiem. Pod ramperssem zobaczyłam wykrochmalony, pożółkły śliniak. Na myśl o obcych rękach dotykających tych rzeczy łzy napłynęły mi do oczu.

Obok były rozsypane wycinki z gazet, zbrązowiałe i kruche.

Pomyślałam, że ci, którzy się włamali, nie byli złodziejami, tylko policjantami z nakazem. Ale czy nie zabraliby ze sobą dowodów?

Walizka nie została otwarta siłą. Ktoś użył klucza, który nadal tkwił w zamku. Ktoś go znalazł. Wtedy zobaczyłam, że kasetka z dokumentami też jest otwarta. Pomyślałam o pomocniku hydraulika, który niedawno był w naszym mieszkaniu. Nie mówił po angielsku, a jego wzrok wędrował w głąb każdego pokoju, gdy mężczyzna szedł do kuchni. Może wrócił, żeby poszukać pieniędzy albo dokumentów do sfalszowania tożsamości. Ale ja nie trzymałam gotówki w domu. A dokumenty leżały przede mną.

Dlaczego zatrzymałam rzeczy, które mogły mnie obciążyć? Czemu już dawno nie spakowałam tego wszystkiego do worka na śmieci i nie wyrzuciłam? Ponieważ to były jedyne pamiątki po dniu, gdy trafiła do mnie Mia. Nie potrafiłam się z nimi rozstać. Przez lata trzymałam je w sejfie w banku. A potem okazało się, że tysiące dokumentów i rodzinnych pamiątek przepadło jedenastego września w obróconych w perzynę czeluściach banków Trade Center. Cieszyłam się, że nie było wśród nich moich rzeczy, ale zdałam sobie również sprawę, że żaden sejf bankowy nie jest wystarczająco bezpieczny. Przestałam uiszczać miesięczną opłatę i przeniosłam swoje skarby do domu, żeby tu je ukrywać aż do dnia, gdy zdecyduję się powiedzieć Mii. Zamierzałam kiedyś o wszystkim jej powiedzieć.

Podniosłam jedną ze stron gazety, której skrawek upadł na podłogę. To był fragment z „Post”, który zamierzałam pokazać Mii pierwszy: „Skradziono dziecko, gdy mama gadała przez telefon”. Tylko „Post” napisał prawdę, że córka Marilyn została zabrana, ponieważ matka od niej odeszła.

Ostrożnie, z czułością, schowałam wszystkie pamiątki z powrotem do walizki, którą odłożyłam na miejsce. Złodziej musiał być zawiedziony jej zawartością.

Odstawiłam drabinkę, pochowałam dokumenty z powrotem do kopert, a klucz wrzuciłam do kasetki. Powiem policji, że z sypialni nic nie zginęło, przecież to prawda.

Zdałam sobie sprawę, że drzę, chociaż nadal miałam na sobie płaszcz. Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam telefon. Musiałam zadzwonić do Mii i uprzedzić ją, że było włamanie, żeby nie przeżyła szoku, kiedy wejdzie za próg.

Wystukałam jej numer, ale zgłosiła się poczta głosowa. Jak większość młodych ludzi Mia często nie odbierała telefonu. Najpierw trzeba było wysłać SMS-a.

„Zadzwoń, zanim wrócisz do domu”. Nie chciałam pisać o włamaniu.

Kiedy nie odpowiedziała, dodałam: „Dobrze?”

Pewnie jest w metrze, poza zasięgiem. Mówiła, że zamierza pisać referat. Może nadal siedzi w Starbucks. Pójdę na róg i sprawdzę.

Francisco, gdy tylko na mnie spojrział, domyślił się, że coś złego się wydarzyło.

– Minęłyście się, tak?

– Słucham?

– Mia wróciła do szkoły, tak? Pół godziny temu zapakowałem ją razem z torbą do taksówki.  
I dopiero wtedy zrozumiałam, co musiało się stać. Moje serce zamieniło się w lód.

– Dokąd pojechała?

Nie wiedział.

## Mia

Francisco pomógł mi włożyć torbę do bagażnika. Był moim ulubionym portierem, znałam go, odkąd skończyłam sześć miesięcy. Co roku robiliśmy sobie przy fontannie wspólne zdjęcie, które *ayi* pomagała mi włożyć do albumu. Czasami zabierałam album do holu, żeby Francisco mógł obejrzeć fotografie. Kiedyś go pożyczył, żeby pokazać swojej rodzinie. Witał moich gości urodzinowych, gdy byłam dzieckiem, i znajomych, przychodzących na imprezy na dachu, o których moja mama nie wiedziała, gdy byłam w liceum. Teraz nawet się z nim porządnie nie pożegnałam.

Kiedy podziękowałam mu za pomoc, zobaczył, że płaczę.

Uniósł do góry kciuki, jak to miał w zwyczaju.

– Zaraz skończysz szkołę i wrócisz do Nowego Jorku.

Myślał, że jadę do Vermontu. Łzy szczypały mnie w oczy, kiedy patrzyłam, jak odwrócił się plecami do taksówki i zamienił w cień pod oświetloną markizą.

Siedząc w ciepłej taksówce, poczułam się, jakbym tkwiła w kokonie. Miętko, ciemno i ciepło, pomimo zimna na zewnątrz.

– Dokąd? – zapytał taksówkarz.

Tak naprawdę nie chciałam nigdzie dotrzeć. Chciałam tylko przez chwilę pojeździć, żeby pomyśleć.

– Róg Sześćdziesiątej Szóstej i York. – Podałam adres po drugiej stronie miasta, tak daleko na wschodzie, jak byłam teraz na zachodzie. Potrzebowałam czasu, żeby wymyślić, dokąd jadę, co zamierzam zrobić.

Rzadko wydawałam pieniądze na taksówki, ale kiedy już nimi jechałam, zwykle byłam świadoma klikania taksometru i pochylona do przodu, śledziłam coraz wyższe cyfry, martwiąc się, jak dużą kwotę wskazują. Tym razem jednak oparłam się na siedzeniu i tylko wyglądałam przez okno. Nie obchodziło mnie, ile ta jazda będzie kosztowała. Użyję złotej karty, którą mama dała mi na wszelki wypadek. A potem wrzucę ją do East River.

Myślałam, że moja mama nie kłamie. Była szczerą w kwestiach, w których inne matki oszukiwały. Powiedziała mi prawdę o Świętym Mikołaju, kiedy naprawdę chciałam ją poznać, tylko uprzedziła mnie, żebym nie mówiła o tym innym dzieciom. Wytłumaczyła mi, jak powstaje nowe życie, gdy byłam w czwartej klasie, więc nie wariowałam na lekcjach wychowania seksualnego jak większość moich koleżanek, których mamy nie miały jeszcze odwagi, żeby im wszystko wyjaśnić. A teraz tak jakby wzięła każde zdjęcie z mojego dzieciństwa i zamazała je farbą w spreju.

Taksówka mknęła przez park. Zawsze tak się dzieje. Jeśli w Nowym Jorku chcesz gdzieś szybko dotrzeć, taksówka się wlecze, ale jeśli potrzebujesz czasu, żeby się ogrzać albo coś

przegadać czy zastanowić się, dokąd chcesz jechać, nie ma żadnych korków i trafia ci się kierowca jak mój, który stara się dowieźć pasażera na miejsce w rekordowym czasie.

– Czy może pan zwolnić? – poprosiłam, demonstracyjnie zapinając pasy, jak gdybym w obawie przed wypadkiem chciała, żeby taksówkarz zrobił coś zupełnie odwrotnego niż to, na czym – jak sądził – polegało jego zadanie, na czym wszystkim w Nowym Jorku zależało – dotrzeć szybko do celu.

Jechaliśmy przez Central Park. Otaczały nas drzewa. Pokryte śniegiem gałęzie sięgały do księżycy. Jak w tym filmie Disneya, który widziałam jako dziecko, gdzie drzewa w lesie zmieniały się w smutne, błagające kobiety. Teraz ja byłam jedną z nich i prosiłam o coś, czego księżyc nie mógł mi dać, bo nikt nie mógł tego zrobić: żeby odstało się to, co się stało. Taksówkarz zatrzymał się na światłach, a mnie żołądek podszedł do gardła. Potem natychmiast ruszył dalej. Pędził przez park, a ja patrzyłam, jak bezużyteczny, piękny księżyc pojawia się i znika między gałęziami, aż dojechaliśmy na drugą stronę, do Piątej Alei, gdzie znów wyrosły budynki, za którymi srebrny krążek zniknął na dobre.

Jak mogła zrobić coś tak podłego? Nie chodziło tylko o to, że nie miałam już matki. Odebrano mi też jej obraz jako dobrego człowieka. W ilu jeszcze kwestiach kłamała?

Stanęliśmy na światłach przed moją szkołą. Moją starą szkołą. Całymi latami codziennie przychodziłam do Florence School, wielkiej budowli z wapienia, podarowanej niegdyś przez ojca wiktoriańskiej pannie młodej. Zatrzymaliśmy się przed kolistym podjazdem, na który niegdyś panienki przyjeżdżały powozami, gdzie *ayi* czekała na mnie o piętnastej razem z innymi opiekunkami i matkami. Czy ona wiedziała? Zrobiło mi się niedobrze. Uznałam, że nie. Musiała wierzyć, tak jak ja, że zostałam adoptowana. *Ayi* opowiadała mi wiele historii o mojej biologicznej matce, historii, które przynosiły mi pocieszenie, chociaż gdy podrosłam, rozumiałam, że je wymyśla. Opisywała ostatnie chwile, zanim moja biologiczna matka musiała mnie oddać, jak mocno przytuliła mnie do siebie, jej długi pocałunek w czoło, zanim mnie zostawiła, bo – jak powiedziała *ayi* – musiała to zrobić, żebym miała życie, jakiego dla mnie pragnęła. Opowiadała te historie tak, jakby były prawdziwe, ze szczerością, na którą nie mogłaby się zdobyć gdyby wiedziała, że zostałam ukradziona.

Cegły budynku były tak białe, że lśniły w ciemności. Czasami gdy byłam mała i miałam zły dzień, kładłam rękę na jednej z nich i już sam dotyk sprawiał, że natychmiast czułam się lepiej. Wyobraziłam sobie, jak wyskakuję z taksówki, podbiegam do budynku i przyciskam do niego dłoń. Ale oczywiście tego nie zrobiłam.

Taksówka skręciła w boczną uliczkę, mijając szkołę. Nagle taksówkarz powiedział:

– Nie martw się, zadzwoni.

Zobaczyłam jego życzliwe spojrzenie w tylnym lusterku i zdałam sobie sprawę z tego, że płaczę. Zaczęłam szukać w kieszeniach chusteczki, ale żadnej nie miałam. Wytarłam twarz szalikiem z angory, który mama dała mi na Gwiazdkę. Moja mama. Moja mama nie była moją mamą. Czy chociaż naprawdę miała na imię Lucy?

Dokąd mogłam pójść? Musiałam podjąć decyzję. Nie mogłam pozwolić, żeby taksówkarz zostawił mnie razem z torbą na śniegu w jakimś przypadkowym miejscu.

Zwykle kiedy miałam tak duży problem, dzwoniłam do mamy.

– Co jest z wami, dziewczyny, że codziennie dzwonicie do mamy? – pytała mnie matka mojego chłopaka. – Kiedy ja byłam w twoim wieku, nigdy nie dzwoniłam do mamy.

Znałam wiele dziewczyn, które nie rozmawiały codziennie ze swoimi mamami. Teraz stałam się jedną z nich.

Chciałam porozmawiać z Toddem, ale on jeszcze nie wrócił z Gwatemali, gdzie budował systemy wodne w miejscach, w których nie było nawet kanalizacji, o telefonie czy internecie nawet nie wspominając. Ashley, moja najlepsza przyjaciółka, która razem ze mną przetrwała Florence (słowo „przetrwanie” nabrało teraz nowego znaczenia – chodzenie piętnaście lat do tej samej szkoły było niczym w porównaniu z tym, co jeszcze miało mnie spotkać, jak się okazało), już wróciła do New Haven i zastanawiałam się przez chwilę, czy nie powiedzieć kierowcy, żeby jechał na wschód, na autostradę, która zaprowadzi mnie do Connecticut, a ja zapłacę mu podwójną stawkę, nie dbając o to, jak bardzo obciążę złotą kartę. Ale potem pomyślałam o twarzy Ashley, kiedy przekazę jej nowiny. Będzie zszokowana, współczująca i ciekawa najdrobniejszych szczegółów, opowiadanie jej wszystkiego wydawało się skomplikowane, a żadne jej słowo absolutnie nic nie mogło zmienić, i wtedy pomyślałam o pani Lanierze.

Pani Lanierze była najfajniejszą nauczycielką we Florence. Uczyła angielskiego i prawie nie zachowywała się jak dorosła, bo traktowała nas wszystkie jak dorosłe, nawet kiedy byłyśmy dziećmi w gimnazjum. Wiele razy bywałam u niej w domu. Pomogła mi przy pisaniu eseju, dzięki któremu dostałam się do Midd. Przez chwilę byliśmy blisko. Większości rodziców w relacjach z dziećmi wystarcza jedynie małostkowa ekonomia. Na przykład: ile piw wypijaś? Czy paliłaś papierosy? Ale pani Lanierze patrzyła na wszystko z odpowiedniej perspektywy. Wierzyła, że wiesz, co robisz. Ufała, że nie zostaniesz alkoholikiem po wypiciu jednego piwa. Czasami nawet pozwalała dziewczynom zamieszkać u siebie, na przykład kiedy ich rodzice się rozwodzili.

– Dzwon do mnie, kiedy tylko będziesz chciała – powiedziała mi.

Pewnie myśli, że o niej zapomniałam. Postanowiłam napisać SMS-a.

Moje kciuki poszły w ruch.

„Cześć, tu Mia”.

„Mia!” – pojawiło się na ekranie. „Czy to naprawdę ty?”

Moje kciuki się nie zatrzymywały.

Taksówka zwolniła, ponieważ zbliżaliśmy się do York. Nagle pochyliłam się gwałtownie, aż zacisnęły się na mnie pasy.

– Przepraszam! – powiedziałam. – Zmieniłam zdanie. Park Slope!

Taksówkarz odwrócił się, chyba żeby sprawdzić, czy nie żartuję, po czym wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno. Przynajmniej dobrze zarobi.

Sprawdzałam dokładny adres pani Lanierze w telefonie, gdy znów zadzwonił. Na ekranie rozbłysło słowo „mama”. Łzy szczypały mnie w oczy, kiedy nacisnęłam „ignoruj”. Zanotowałam w myślach, żeby zmienić nazwę tego kontaktu. Nie miałam już mamy.



## Christine Laniere

Kiedy Mia stanęła na moim progu, przestraszyłam się, że jest ranna. Szlochała, ale nie chciała powiedzieć, co się stało. Chciała tylko ze mną posiedzieć i gdy już się upewniłam, że nie krwawi, fizycznie nic jej nie dolega, pozwoliłam jej na to. Rozpaliłam w kominku, żeby się rozgrzała, i siedziałyśmy, rozmawiając w sumie o niczym. Spytałam, czy chce mi opowiedzieć, co się wydarzyło. Powiedziała, że nie. Uznałam, że chodzi o chłopaka. Żeby odwrócić jej uwagę, poruszałam inne tematy, mówiłam o uczennicach, jakie miałam w tym roku, o jej klasie i stażu. Rozmowa wydawała się ją uspokajać. Kiedy zrobiło się późno, powiedziałam, że powinna zostać, i pościeliłam jej na kanapie.

Była u mnie przez kilka dni i parę razy miałam ochotę zadzwonić do jej matki, jednak tego nie zrobiłam. Szanuję prywatność dzieci, dlatego do mnie przychodzą. Zresztą Mia nie była już dzieckiem. Skończyła dwadzieścia jeden lat, była dorosła.

Ta dziewczyna zawsze miała głowę na karku. Przez dwa lata uczyłam ją angielskiego, była jedną z moich najlepszych uczennic. Z ogromnym entuzjazmem czytała książki, które jej się spodobały, na przykład Faulknera. Nawet kiedyś w Halloween razem z kilkoma dziewczętami przyszły do szkoły przebrane za postaci z *Kiedy umieram*.

Napisała piękne wypracowanie o tym, jak dzięki nauce chińskiego zobaczyła świat inaczej. Jej esej był bardzo oryginalny, pełen niuansów i pomógł Mii we wcześniejszym przyjęciu do college'u. Nadal go mam:

Może mam błękitne oczy, ale tak naprawdę mój mózg jest w połowie chiński. Wychowywała mnie chińska niania, którą nazywałam *ayi*, i dorastając, byłam za dnia dzieckiem chińskim, a wieczorami amerykańskim. Symultanicznie nauczyłam się chińskiego i angielskiego i mogę śnić w obu tych językach. Wierzyłam, że małpy jedzą brzoskwinie, nie banany. Nie wolno mi było spać z odkrytym pępkiem, ponieważ przez niego wlatuje zimne powietrze. Kiedy byłam chora, jadłam *xi fan*, ryż na wodzie, i słuchałam, jak moja *ayi* śpiewa mi chińskie kołysanki. Wszystkie moje Barbie mają chińskie imiona.

Nie mogę uwierzyć, że jej mama – to znaczy pani Wakefield – zrobiła to, co zrobiła. Oczywiście we Florence nie mieliśmy o niczym pojęcia. Była samotną matką, jedną z niewielu, które pracowały poza domem, jak to się mówi, ale pomagała, kiedy tylko mogła. Pamiętam, że zrobiła nam piękny transparent na wystawę, i nadal co roku go używamy. Nie wyglądała na osobę zdolną kogokolwiek porwać. Ale pracuję z rodzicami dzieci uczących się w prywatnej

szkole od dziesięcioleci. Nic, co zrobią, nie może mnie już zaskoczyć.

## Lucy

Wróciłam do mieszkania i wreszcie zdjęłam płaszcz, ale go nie powiesiłam, tylko rzuciłam na ławę. Nie zadałam sobie trudu, żeby pozbierać koperty i monety, rozsypane na podłodze. Nie miały żadnego znaczenia. Jedyną rzeczą wartą podniesienia była rękawiczka. Schyliłam się po nią i ścisnęłam miękką wełnę obiema rękami, jak gdybym trzymała dłoń mojej córki.

Powlokłam się korytarzem, minęłam kuchnię i wsunęłam się do jadalni, której okna wychodziły na ulicę. Podniosłam żaluzje i patrzyłam na ludzi, skąpanych w świetle ulicznych lamp. Szaliki i troczki od czapek fruwały za cieniami, nurkującymi na oślep w padający śnieg. Stojąc przy oknie, z rękawiczką przy twarzy, na wpół się spodziewałam, że zaraz zobaczę Mię, która zmieniała zdanie i wraca do domu. Przysunęłam się do okna, aż szyba zaparowała od mojego oddechu. Rękawiczką wytarłam dziurę we mgle. Ale nie zobaczyłam mojej córki.

Jakże często myślałam o tej chwili. Zanim Mia się dowiedziała. Po tym, jak Mia się dowiedziała. Czasami, kiedy siedziała naprzeciwko mnie przy stole, jedząc kolację, którą ugotowała *ayi*, i machając pałeczkami, opowiadała mi o swoim dniu we Florence, taka szczęśliwa, wyobrażałam sobie, że wiedza, którą przed nią zatajam, w jakiś sposób przesącza się do jej wnętrza. Już nigdy Mia nie popatrzy na mnie z taką ufnością.

Poprzedniego wieczoru została w domu i oglądałyśmy w telewizji stary film Woody’ego Allena. *Manhattan* pojawił się w kinach niedługo po moim przyjeździe do Nowego Jorku. Opowiadałam jej, jak wiele wtedy dla mnie znaczył ten film, jak bardzo się cieszyłam, że mieszkam na Manhattanie. Marzyłam o tym, dorastając w Emmettsville.

– Teraz taki film nazywałyby się *Bushwick*<sup>12</sup> – stwierdziła Mia, sięgając palcami o pomalowanych na niebiesko paznokciach do misy z popcornem, który jadłyśmy na kolację. Od wyjazdu Wendy nasze nawyki żywieniowe znacznie się pogorszyły.

Nie będziemy już razem oglądały filmów. Moje życie jako matki – życie, które najwięcej dla mnie znaczyło – dobiegło kresu.

Musiałam usiąść. Opadłam na krzesło przy marmurowym stole i przycisnęłam dłonie do kamienia, próbując się uspokoić. Usiłowałam myśleć, ale miałam wrażenie, że w mojej głowie eksplodują fajerwerki.

Od jak dawna Mia wiedziała? Od godziny? Dwóch? Gdzie byłam, kiedy odkryła prawdę? Nieświadoma wagi tej chwili beztrąsko wyszłam z sali konferencyjnej, wsiałam do windy i zjeżdżałam w dół, w dół, w dół, nie wiedząc, że kiedy drzwi się otworzą, życie już nigdy nie będzie takie samo.

Co ją skłoniło do otwarcia tej walizki? To musiało mieć coś wspólnego z Marilyn, byłam pewna. W jakiś sposób powiązała mnie z tą sprawą, wytropiła moją córkę. Poczułam nagłą potrzebę wyjaśnienia wszystkiego Mii, pokazania jej tej historii od mojej strony.

„Wróć do domu – napisałam w SMS-ie. – Mogę to wytłumaczyć”.

Ale jak mogłabym to zrobić?

Nawet gdybym potrafiła wytłumaczyć swój postępek Mii, to jak mogłabym wyjaśnić go policji?

Policja. W moim brzuchu załagał się strach i zaczął pełznąć wzdłuż kręgosłupa. Już dawno to sprawdziłam; nawet jeśli Marilyn nie wniosłaby oskarżenia, federalni i tak by mnie zamknęli. Przekroczyłam granice stanów. Porwanie było przestępstwem pierwszego stopnia, nie podlegało przedawnieniu. Dostałabym od dwudziestu lat do dożywocia. Dożywocie! Już słyszałam stukot drzwi mojej celi, gdzie nieustannie ktoś by mnie oglądał, noc i dzień, jak robaka w słoiku. Zimne, stalowe kraty. W ciągłym zamknięciu. Bezlitosne jarzeniówki. Nigdy nie jest tam ciemno. Jak bym przeżyła? Jak komukolwiek się to udaje?

Musiałam się pozbyć dowodów. Wstałam od stołu, poszłam do kuchni i z pudełka pod zlewem wyjęłam plastikowy worek na śmieci.

Wróciłam do garderoby, zdjęłam z półki walizkę.

Włożyłam klucz do zamka, uniosłam wieko, wyjęłam zawartość, sztuka po sztuce, i zmuszając się do patrzenia w drugą stronę, wepchnęłam rampers, śliniak oraz gazety do plastikowego worka. W powietrzu uniosła się chmura kurzu. Walcząc ze łzami, wyszłam z mieszkania do holu, wspierałam się po schodach i otworzyłam wąskie drzwi zsypu. Pociągnęłam za metalowy uchwyt i położyłam worek w okrągłym podajniku. Przemknęło mi przez myśl, żeby zabrać worek z powrotem, wrócić do mieszkania i schować moje pamiątki w innym miejscu, w kryjówce tak doskonałej, żeby nikt nigdy ich nie znalazł – ale zmusiłam się do pchnięcia uchwytu i posłałam worek do piwnicy, gdzie – jak wiedziałam z oglądanego dawno temu z Mią odcinka *Ulicy Sezamkowej* – następnego ranka zostanie zmiażdżony i sprasowany razem z setkami innych worków, zamieniając w nierozpoznawalną masę relikty dnia, w którym zostałam matką.

W Szanghaju miała się odbyć konferencja, na którą zostałam zaproszona. Ogólnoświatowy Zjazd Producentów Papieru. Przez całe lata dostawałam setki takich zaproszeń. Nigdy nigdzie nie pojechałam. Nikt z moich znajomych z działów kreatywnych nie jeździł na takie spedy. Podróżowaliśmy tylko na nagrania i rozdania nagród. Mieliśmy zbyt wiele napiętych terminów, żeby zajmować się takimi konferencjami, bez względu na to, jak były interesujące lub w jak egzotycznym miejscu się odbywały. Jednak teraz interesował mnie tylko jeden termin. Ile mam czasu, zanim przyjdą mnie aresztować? Ile czasu upłynie, zanim policja wytropi, kim jestem? Czy Marilyn już ich zawiadomiła? Ale jakie miała dowody? Że napisałam książkę o porwaniu? Według takiej logiki większość autorów thrillerów pisałaby z za krat.

Wyszukałam e-mail z zaproszeniem na „Świat Papieru Azja 2012”.

Wiedziałam, że dokądkolwiek poszła Mia, to na pewno nie na policję. Będzie wściekła, nieszczęśliwa, lecz nigdy mnie nie zdradzi. Na tyle dobrze ją znałam. Była moją córką. Moje serce rwało się do niej. Czy wszystko u niej w porządku? Oczywiście, że nie.

Ściągnęłam formularz zgłoszenia udziału w konferencji.

„Mogę wyjaśnić – napisałam w kolejnym SMS-ie. – Proszę, pozwól mi wyjaśnić”.

Ale nie dostałam odpowiedzi. Telefon leżał w mojej dłoni nieruchomy i chłodny jak martwa ryba.

[12](#) Bushwick – dzielnica w północnej części Brooklynu.

## Marilyn

Telefon zadzwonił, kiedy pracowałam nad ceramiką w piwnicy. Akurat wygładzałam wazon, którego nigdy nie skończyłam. Zatrzymałam go na pamiątkę tamtego radosnego dnia. Zawsze stoi na stole, pełen kwiatów z jedwabiu.

Potrwało chwilę, zanim wytarłam ręce i wyciągnęłam aparat z kieszeni fartucha, ale kiedy dotknęłam przycisku, ktoś się rozłączył. Na ekranie widniał numer zaczynający się na 917 i wiedziałam, że to numer Mii. Przesłałam jej swój telefon w wiadomości na Facebooku i napisałam, że może dzwonić, kiedy tylko zechce. Wiedziałam, że to ona musi zadzwonić pierwsza. Musiała poczuć się wystarczająco silna, żeby to zrobić, ale wierzyłam, że w końcu zadzwoni. Mia urodziła się w Roku Konia, była dobra w pokonywaniu przeszkód.

Korciło mnie, żeby wybrać jej numer, ale oparłam się pokusie. Jeśli mojej córce zabrakło odwagi, to chciałam dać jej szansę, żeby sama ją w sobie znalazła. Usiadłam na stołku przed piecem i po prostu siedziałam, wpatrując się w telefon leżący na moich kolanach. Siłą woli próbowałam go zmusić, żeby znów zadzwonił. Czekałam, koncentrując na nim swoją energię, pragnąc znów usłyszeć dzwonek wybrany przez Chloe, melodię – jak zdałam sobie sprawę – która była upiornie stosowna do sytuacji, czekałam, żeby usłyszeć *Dziewczynę, która spadła z gwiazdy*. Patrzyłam, jak mała wskazówka wielkiego zegara wiszącego na ścianie obiega tarczę raz, potem drugi. Czułam taki ucisk w żołądku, że ledwo mogłam oddychać. I akurat kiedy myślałam, że już nie oprę się pokusie, usłyszałam melodię, na którą czekałam.

– Cześć, tu Mia. – Usłyszałam głos dorosłej kobiety, nie małej dziewczynki, jaki rozbrzmiewał mi w głowie przez te wszystkie lata. Moje serce zatrzepotało. Z trudem powstrzymywałam łzy.

– Cześć, skarbie – wydusiłam, jak gdybym rozmawiała z nią – co tak naprawdę robiłam – każdego dnia przez ostatnich dwadzieścia lat. I wtedy zaczęłyśmy płakać obie, oddalone od siebie o pięćset kilometrów, ale w końcu znowu razem.

## Lucy

Nie spałam całą noc, wypełniając formularze zgłoszeniowe na konferencję. Większość instrukcji napisano po chińsku, ale znalazłam też kilka po angielsku. Wypełniając puste pola, nie przestawałam myśleć, że ten wyjazd to szaleństwo. Uciekałam z kraju. Co ja robiłam? Ale jaki miałam wybór? Musiałam wyjechać, nabrać dystansu, żeby móc jasno myśleć, zastanowić się, jakie mam opcje.

Ale przede wszystkim, oczywiście, martwiłam się o Mię.

Po raz pierwszy w naszym wspólnym życiu nie wiedziałam, gdzie jest.

Chociaż to nie do końca była prawda. Skończyła dwadzieścia jeden lat, uczyła się w college'u. Wiele razy nie zawiadamała mnie, gdzie jest. Ale zawsze wiedziałam, że jest bezpieczna, ponieważ miałyśmy hasło. Wymyśliłam je, gdy piętnastoletnia Mia szła na pierwszą szesnastkę. Zabawa odbywała się po drugiej, wschodniej stronie miasta. Moja córka wyglądała na taką bezbronną: z uśmiechem, błyskając metalowym aparatem, chwiała się w butach na platformach, których nie umiała jeszcze nosić. Nawet bez nich była wyższa ode mnie. I piękna. Taka piękna. Trochę żałowałam, że odziedziczyła taką urodę, że nie wygląda równie zwyczajnie jak ja w jej wieku. Było przerażające, że muszę wysłać tak cudowną istotę samą w Nowy Jork, muszę powierzyć jej bezpieczeństwo jakimś nastolatkom.

– Jeśli tylko poczujesz się źle lub niepewnie, zawsze możesz do mnie zadzwonić – powiedziałam. – Wystarczy, że podasz mi hasło, żeby twoi znajomi nie wiedzieli, o co chodzi, a ja zaraz po ciebie przyjadę i nie będę zadawała żadnych pytań. Kaczeraczmą, pamiętaj. – Wymyśliłam to słowo na poczekaniu. Nie mam pojęcia, skąd mi się wzięło. Po prostu przyszło mi do głowy i z jakiegoś powodu obie je zapamiętałyśmy. Przez te wszystkie lata Mia parę razy z niego skorzystała – raz pojechałam po nią aż na Brooklyn, chociaż miała być na imprezie w Upper East Side...

Ale teraz nie miałyśmy kontaktu.

Założyłam, że spędza tę noc u którejś z przyjaciółek. Albo pojechała z powrotem do szkoły, chociaż wiosenny semestr zaczynał się dopiero za tydzień. Nagle zaczęłam żałować, że w college'ach nie jest już jak dawniej, kiedy można było zadzwonić na płatny telefon w akademiku, ktoś odbierał, a dzwoniący mógł zapytać o kogoś innego, kto tam mieszkał. Oczywiście Mia nie miała stacjonarnego telefonu. Jej jedynym stacjonarnym numerem był mój numer domowy.

Odpisała mi dopiero następnego ranka, akurat gdy miałam wsiąść do metra.

„Wyjaśnić co? Że mnie porwałś?”

Słyszałam pociąg, jak wjeżdża na peron, ale zostałam tam, gdzie byłam, na schodach, próbując opanować drżenie kciuków, żeby trafiły w odpowiednie litery.

„Zadzwoń! Mogę wyjaśnić”.

„NIE. NIE możesz!!!!”

„Gdzie jesteś?”

A potem nastąpiła cisza.

Zeszłam na peron akurat w chwili, gdy pociąg ruszał. Nie jechałam do pracy. Zadzwołam do agencji i powiedziałam, że jestem chora. Jechałam do chińskiej ambasady na Czterdziestej Drugiej ulicy. Musiałam załatwić sobie wizę.

Gdybym zgłosiła się wcześniej, organizatorzy sami by się tym zajęli, ale było za późno. Zjazd zaczynał się za kilka dni.

W wejściu do ambasady były bramki i niemal się spodziewałam, że ochrona mnie zatrzyma, kiedy ściągałam maskujący mnie płaszcz, szalik i czapkę. Ale pozwolono mi przejść bez żadnych trudności.

Czy władze znały już moje nazwisko? Czekałam w kolejce, zamartwiając się, że urzędnik za szybą, popijający ze słoika po dżemie herbatę w kolorze błota, coś podejrzywa. Dłoń mi drżała, kiedy wsuwałam dokumenty we wgłębienie w ladzie pomiędzy nami. Spociałam się, gdy uważnie obejrzał moje regulaminowe zdjęcie (kolor, *en face*, bez nakrycia głowy, żadnych wyjątków), po czym podniósł czujny wzrok na moją twarz. Bałam się, że wezwie ochronę. Ale mężczyzna przyjął moje dokumenty bez żadnych zastrzeżeń, pokazując to gestem tak dla niego nieistotnym, że wykonał go jedną ręką, podczas gdy drugą dolewał sobie herbaty z termosu.

Następnego dnia (zapłaciłam dodatkowo za ekspres) spędziłam pełne napięcia pół godziny w kolejce po odbiór wizy. Gdy podeszłam do okienka, srogo wyglądający mężczyzna pchnął ku mnie szarą kopertę. Nie powiedział, czy w środku jest wiza. Kiedy go spytałam, odprawił mnie ruchem palców. Schowałam się w ciemnym kącie i rozerwałam kopertę. Wyjęłam paszport, za którym wyfrunął rachunek za wizę. Ale nie poprzestałam na tym. Przewracałam strony paszportu, dopóki jej nie znalazłam. Oto ona, moja przepustka do wolności, pieczęć, zajmująca całą stronę. Ozdobna i kolorowa niczym mały obraz. Wpatrywałam się w nią przez chwilę: długa, pomarańczowa droga, wijąca się na szczycie różowego Wielkiego Muru, prowadząca ku jaskrawoczerwonemu, połyskującemu słońcu. Wyobraziłam sobie, jak idę po tym murze, stąpając po śladach starożytnych uciekinierów – aż ową chwilę zadumy przerwała natrętna kobieta w mundurze, popędzając mnie do wyjścia, skoro już załatwiłam swoją sprawę.

Pożegnałam się z kolegami z agencji. Nie mogłam uwierzyć, że nikogo nie dziwi mój wyjazd aż do Szanghaju na konferencję dotyczącą papieru toaletowego. I że firma zgodziła się pokryć koszty, którymi pozwolono mi obciążyć służbową kartę. Ale wszyscy byli zajęci, tacy zajęci, a ja należałam do średniej kadry zarządzającej i chyba ich przekonałam, że moje żywe zainteresowanie tematem papieru może pomóc w dalszej współpracy z producentem ręczników papierowych.

Zbliżały się zdjęcia w Vancouver, na które mogłam nie zdążyć. Przekazałam nadzór nad sesją jednemu z autorów, który pracował ze mną przy tym projekcie, na wypadek gdyby moja nieobecność się przedłużyła.

Odwołałam spotkanie, na które Lance umówił mnie ze swoim agentem.



Kupiłam bilet na samolot z otwartą opcją powrotu. Targi potrwać tygodni. Nie wiedziałam, co będę robiła potem, ale miałam nadzieję, że do tego czasu wpadnę na jakiś pomysł. Wyobrażałam sobie hotel w Szanghaju jako egzotyczną kryjówkę, w której będę spędzała całe dnie, obmyślając dalsze kroki. Wcale nie było mi łatwo znaleźć pokój, którego rezerwację musiałam przedstawić, starając się o wizę. Kiedy poprosiłam w e-mailu o pokój dla niepalących, odpisano mi: „Oczywiście, jeśli palisz, nikogo to nie obchodzi”.

Doszłam do wniosku, że zawsze będę mogła zmienić pokój. Naturalnie nie zamierzałam pojawić się na targach. Nie chciałam ryzykować, że ktoś mnie rozpozna, jeśli wszystko wyjdzie na jaw.

Przez tych kilka dni, które dzieliły mnie od wylotu, zamartwiałam się, że zostanę aresztowana. Za każdym razem gdy wychodziłam z mieszkania, przygotowywałam się, że zaraz ktoś klepnie mnie po ramieniu, dotknie mojej dłoni. Kiedy wracałam, szukałam w oczach portiera, w jego głosie najdrobniejszej zmiany, świadczącej, że ktoś o mnie pytał.

Mieszkanie rozbrzmiewało echem nieobecności Mii. Wyjeżdżała już wcześniej, na obozy, do college'u, ale ta nieobecność była inna, sprawiała, że ciemne pokoje stawały się jeszcze ciemniejsze, zamieniając to miejsce w grobowiec, z którego pragnęłam uciec. Część mnie pragnęła biec, odnaleźć Mię. Biedna Mia, wiedziałam, że cierpi. Ale nie mogłam do niej pobiec. Musiałam zmusić się do wyjazdu w odwrotnym kierunku, jak najdalej od niej.

Wyleciałam z Nowego Jorku w walentynki. Miałyśmy z Mią walentynkowy rytuał. Tego dnia zawsze wymieniałyśmy się jakimś serduszkami. Kiedy była mała, wrzucałam jej słodkie serduszka do jajecznicy. Chowałam jej do plecaka liściki ozdobione sercami. Gdy wyjechała z domu, zawsze wysyłałam jej kartkę z czekiem, wypełnionym różowym długopisem.

Co za ironia losu, że odtąd ten dzień już zawsze będzie dla mnie oznaczał koniec naszej bliskości.

## Marilyn

Chciałam natychmiast wsiąść do samolotu, żeby się z nią spotkać. Chciałam wziąć moją córkę w ramiona, fizycznie czuć ją przy sobie; była częścią mnie, chciałam, potrzebowałam być przy niej, żeby pomóc jej rozpocząć proces zdrowienia. Ponieważ tak bardzo tego pragnęłam, znalazłam miejsce na lot do Newark już następnego dnia, lot bezpośredni i po obniżonej cenie.

Oczywiście zaraz po telefonie od Natalie skontaktowałam się z Tomem. Nie było łatwo go namierzyć. Już od dłuższego czasu nie miałam jego numeru telefonu. Jakies piętnaście lat temu przeprowadził się na Kostarykę. Ale znałam jego e-mail i miałam nadzieję, że go nie zmienił. Wysłałam mu wiadomość; w temacie wpisałam wielkimi, krzyczącymi literami: „ZNALAZŁA SIĘ NASZA CÓRKA!!!!”.

Zadzwoił kilka godzin później, kiedy przygotowywałam kolację. Powiedział, że bardzo się cieszy z odnalezienia Natalie, ale nie może teraz przylecieć, żeby się z nią zobaczyć. Zresztą i tak uważa, że najpierw powinna odbudować więź z matką. Nie mogłam tego zrozumieć. Moim zdaniem powinniśmy razem spotkać się z naszą córką. Ale Tom ma swoje ograniczenia. Robi, co w jego mocy.

Tamtego wieczora, po kolacji, zwołałam naradę rodzinną. Razem z Grantem zgromadziliśmy dzieci w salonie, gdzie nasza rodzina dyskutuje o ważnych sprawach. Pokój jest pełen ciepła i dobrej energii: białe, puchate dywany, pękata kanapa, ściany w uspokajającym odcieniu zieleni. To tutaj dyskutowaliśmy, czy powinnam wrócić do pracy, a chłopcy podejmowali decyzję, czy chcą przerwać naukę w domu i pójść do gimnazjum.

Gdy zajęli swoje miejsca – każde z nas ma ulubione: Grant miękki fotel, ja kanapę, Connor i Thatch wypełnione groszkiem pufy, a Chloe lubi leżeć na wełnianym dywaniku ze stopami na obudowie kominka – powiedziałam, że mam im do zakomunikowania coś ważnego. Powitamy nowego członka naszej rodziny. Gdy mówiłam te słowa w salonie, czułam, że coś się dopełnia. To tutaj witaliśmy każde z nich na świecie, w narodzinach pomagała im woda w basenie, który wypożyczaliśmy za każdym razem, a także położna i Grant, który unosząc się na wodzie obok mnie, mruczał afirmacje.

– Będziemy mieli psa? – zapytał Thatch.

– Dziecko? – odezwała się Chloe.

Kiedy usłyszałam „dziecko”, do oczu napłynęły mi łzy i skinęłam głową.

Szesnastoletni Connor wpatrywał się we mnie z przerażeniem.

– Nie ma mowy.

– Cóż, właściwie nie dziecko. Ona jest już dorosła. Pamiętacie tego wyjątkowego anioła, którego urodziny obchodzimy?

O Natalie powiedziałam im tylko tyle, że nasza rodzina ma wyjątkowego anioła stróża, którego

urodziny obchodzimy co roku czwartego kwietnia.

– Ten anioł to moja pierwsza córeczka. Nie widziałam jej, odkąd skończyła cztery miesiące. – Zacisnęło mi się gardło i nie mogłam nic więcej powiedzieć. Dzieci popatrzyły po sobie. Cieszyłam się, że mam Granta, który im pomoże przez to przejść.

– Dlaczego nigdy nam o tym nie mówiliście? – zapytał Connor.

– Nie chcieliśmy, żebyście się martwili, że was też może to spotkać – odpowiedział Grant, Dzieciaki znowu spojrzały po sobie, a potem na mnie.

– Nie jesteś najstarszy! – zawołał Thatch do Connora, szczerząc zęby w uśmiechu. Miałam nadzieję na bardziej życzliwą reakcję. Thatch jest środkowym dzieckiem i ma wiele do przepracowania.

Grant spokojnym głosem opowiedział im, co się stało. Znał każdy szczegół, opowiadałam mu tę historię wiele razy, Obserwowałam twarze dzieci, ich reakcje. Thatchowi włosy jak zwykle opadły na twarz i nie mogłam zobaczyć jego miny; podbródek jak zawsze wsparł na dłoni. Zwykle to właśnie o niego się martwię, ale teraz martwiłam się o całą trójkę. Nie chciałam, żeby którekolwiek z nich wyczuło złą energię, która prześladowała mnie przez tak wiele lat.

Kiedy Grant skończył, wzięłam głęboki oddech i powiedziałam, że następnego ranka lecę do Nowego Jorku. Zamierzałam spotkać się z ich siostrą. Ich siostra. Czułam się podekscytowana na myśl, że będzie tu z nami, że po raz pierwszy cała moja rodzina będzie razem. Ale też się denerwowałam. Nigdy wcześniej nie zostawiałam dzieci nawet na jedną noc. Bolało mnie serce na myśl, ile nocy nie było mnie przy Natalie.

– Kochasz ją bardziej niż nas? – zapytała Chloe.

– Oczywiście, że nie! – odpowiedziałam, przez sekundę zastanawiając się, czy nie zabrać jej ze sobą. Ale będę potrzebowała całej swojej energii dla Natalie. – Tata się wami zajmie. Tylko przez kilka dni.

– Wezmę cię jutro do pracy – obiecał Grant, bo Chloe to uwielbiała. Czasami brał ją ze sobą, tłumaczył, do czego służy każde ciężkie narzędzie, uczył, jak wypoziomować rurę albo heblować deski.

– Czy ten anioł zamieszka z nami? – chciał wiedzieć Thatch.

Sama się nad tym zastanawiałam. Nie wiedziałam, czy moja córka będzie chciała przyjechać ze mną do domu. Tę decyzję musiałam pozostawić jej.

– Będzie chciała poznać swoją prawdziwą rodzinę – powiedział Grant. Miałam nadzieję, że się nie mylił.

Rozejrzałam się po pokoju, wyobrażając sobie, że patrzę na niego oczami dziewczyny wychowanej w Nowym Jorku. Ja uwielbiałam ten dom. Ale co o nim pomyśli Natalie? Wyobraziłam sobie, jak tłumaczę jej moc wiszących kryształów, luster umieszczonych tak, by czerpały wodną energię. A może ona już o tym wie?

Była moją córką, urodziłam ją, ale nie miałam pojęcia, jakim jest człowiekiem.

– Możemy zrobić wielki transparent powitalny! – zawołała Chloe, a ja poczułam ogromną wdzięczność za to, że jest taka odporna, i za spokojne morze, jakim był Grant dla rozkołysanych łodzi naszych dzieci.

## Mia

Następnego ranka stałam przed lustrem u pani Lanier i myłam zęby. Moja twarz wyglądała inaczej. Byłam inną osobą. Ale kim jest ta osoba? Nie wiedziałam. Włożyłam czarny sweter i zaraz go zdjęłam, włożyłam niebieski, a potem zielony. Byłam zaskoczona, że tak bardzo się denerwuję. Jaka będzie moja prawdziwa matka? Czy jej się spodoba? Czy ona spodoba się mnie? A jeśli będę kimś innym, niż się spodziewała?

Pani Lanier wytłumaczyła mi, jak mogę dojechać z Brooklynu do Newark: dwoma pociągami i autobusem. Musiałam wcześniej wyjść, bo Marilyn przylatywała o świcie.

Czekałam na nią na lotnisku, czując się bardziej samotna niż kiedykolwiek w życiu. Stałam przy taśmie bagażowej i patrzyłam, jak samotna czerwona torba jeździ w kółko, znika w tunelu i znowu się pojawia.

Mój telefon nie przestawał dzwonić. Wiedziałam, kto to. Nikt inny nie telefonowałby tak wcześniej. Zmieniłam „mama” na „nie odbieraj”. Nie zamierzałam.

Jej SMS-y stawały się coraz bardziej żałosne:

„Proszę!”

„Kocham cię”.

„Jestem twoją matką”.

„Muszę ci wytłumaczyć”.

Nie mogłam wyłączyć telefonu, dopóki nie spotkam się z Marilyn. Miała dzwonić na moją komórkę, gdyby pojawiły się jakieś kłopoty.

W końcu napisałam do Lucy:

„Jestem na lotnisku, zaraz spotkam się z matką”.

To ją uciszyło.

Nagle zobaczyłam Marilyn, idącą po schodach. Wiedziałam, że to ona. Była wysoka, jak ja. Dostrzegłam coś znajomego w jej ramionach, w sposobie chodzenia. Poczułam się, jakbym spadała w bezdenną otchłań.

Zauważyła mnie i zaczęła iść szybciej. Miała jaskrawy, obszerny strój, nieodpowiedni na zimę, który powiewał za nią, gdy spiesznie podążała w moim kierunku. Nie mogłam się ruszyć. Czuałam się sparaliżowana, zamieniona w sopel.

– Kochanie. – Uśmiechnęła się. Znałam ten głos. Upuściła torby, rozłożyła ramiona i przyciągnęła mnie do siebie.

Po raz pierwszy obejmowałam osobę, która była drugą połową mnie. Przesunęła palcami po moich włosach i plecach. Potem włożyła okulary, które nosiła na łańcuszku, i zaczęła się we mnie wpatrywać. Miała tak samo błękitne oczy jak ja. Dotknęła mojego policzka.

– Spójrz tylko, jaka jesteś śliczna – powiedziała. – Jesteś piękna.

Ona też była piękna. Płakałam i ona też. Znowu mnie przytuliła. Czułam, jak drżą jej plecy. Wydawało mi się, że w jej zapachu rozpoznaję coś znajomego, ale może to była tylko moja wyobraźnia. Przez długi czas nie wypuszczaliśmy się z objęć. Czekałam, pozwalając, by to ona odsunęła się pierwsza. Kiedy chciała to zrobić, kosmyk moich włosów zahaczył o jeden z jej wiszących kolczyków w kształcie łapaczy snów i roześmiałśmy się, próbując go odplątać, nie robiąc sobie nawzajem krzywdy.

– Czuję się, jakbyś była snem, a ja próbowałabym się obudzić – powiedziała. Dobrze, że nie miała makijażu. Cały czas wycierała oczy chusteczką, którą nosiła w rękawie.

– Nie jestem snem.

Włosy miała takie same jak ja. Otaczały jej głowę niczym mgła.

– Jesteś snem, który śniłam przez dwadzieścia jeden lat. – I znowu zaczęła płakać. Chusteczka była bezużyteczna.

Mój telefon zawibrował. Kolejny SMS:

„Proszę, zadzwoń. Proszę”.

Wyłączyłam telefon i wsunęłam go do tylnej kieszeni.

W milczeniu poszliśmy po bagaż. Miałyśmy sobie zbyt wiele do powiedzenia. Gdy czekałyśmy, aż pojawi się jej torba, Marilyn wzięła mnie za rękę. Ujęła moją rękę obiema dłońmi i gładziła kciukami. Dla ludzi wokoło musiałyśmy wyglądać jak jeszcze jedna matka z córką, uszczęśliwione, że znowu się widzą. Byliby zaskoczeni – i ona pewnie też – gdyby się dowiedzieli, jak nieswojo się czułam, gdy tak ścisnęła moją dłoń. Przez ten gest wyglądałyśmy, jakbyśmy się znały od zawsze, a tak naprawdę byłyśmy dla siebie równie obce, jak dla tych wszystkich ludzi, którzy stali dookoła, wpatrując się w czarną dziurę w nadziei, że rozpoznają następnego wyłaniającego się bagaż.

– Jest – powiedziała i sięgnęła po niebieską walizkę, której wielkość mnie zaskoczyła. Była ogromna, chociaż Marilyn przyjechała tylko na kilka dni, tylko dopóki w Middlebury nie rozpocznie się wiosenny semestr, a ja nie wrócę na zajęcia, do swojego życia w akademiku, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Naprawdę myślałam, że będę w stanie to zrobić.

## Marilyn

Wynajęłam samochód – byłam zdumiona, kiedy się dowiedziałam, że chociaż moja córka skończyła dwadzieścia jeden lat, nie umie prowadzić auta. W moim otoczeniu dzieciaki robiły prawo jazdy najszybciej, jak tylko mogły. Dorastałam w New Jersey i zrobiłam prawko, gdy skończyłam szesnaście lat. Connor zdobył swoje w piętnaste urodziny. Thatch odlicza dni do chwili, kiedy będzie mógł zrobić to samo. Ale pewnie inaczej jest z dziećmi, które dorastają, jeżdżąc taksówkami i metrem wszędzie, dokąd zechcą.

Gdy zapytałam, jak porusza się w Vermoncie, powiedziała, że mnóstwo jej kolegów ma prawo jazdy, poza tym między kampusem a miastem kursują autobusy. Wyjaśniła, że nieposiadanie prawa jazdy bardzo wzbogaciło jej życie, otworzyło ją na alternatywne sposoby podróżowania.

– I można poznać wspaniałych ludzi! – dodała radośnie, a ja natychmiast zaczęłam się martwić, że padnie ofiarą podwożących dziewczyny kierowców. Wiedziałam, że skończyła kosztowne szkoły, dlaczego nikt nie nauczył jej czegoś tak podstawowego?

Najtrudniej było mi nazywać ją imieniem nadanym po porwaniu. Musiałam okazać szacunek dla osoby, którą teraz była. Ale kim była? Świadomość, że nie znam własnej córki, sprawiała mi ogromny ból. Tak wiele pytań kłębiło się w mojej głowie. Chciałam dowiedzieć się o wszystkim, co się jej przydarzyło przez ten czas, gdy była daleko ode mnie; co widziała, co robiła, jakie dźwięki, jaki dotyk, jakie kolory odcisnęły na niej ślady. Ale byłam świadoma, jak źle musi się teraz czuć – zawałił jej się cały świat – więc tylko gawędziłam z nią niezobowiązująco podczas jazdy, by mogła się rozluźnić. Miałyśmy resztę życia, żeby być razem. Przyjdzie pora na prawdziwą rozmowę.

Zarezerwowałam pokój w Embassy Suites w Cranford, w New Jersey. Tego hotelu nie było, kiedy mieszkalam tam dawno temu – Grant znalazł go dla mnie przez internet. Ale zanim pojechaliśmy do hotelu, chciałam pokazać Mii dom, w którym się urodziła. A właściwie dom, do którego przyjechała ze szpitala. Myślałam, że widok tego domu pomoże jej połączyć się z jej istotą, z tą częścią siebie, która przez lata była stłumiona. Nie powiedziałam jej, dokąd jedziemy, nie chciałam w niej wzbudzać żadnych uprzedzeń.

Mam słabe wyczucie kierunku. Moje dzieci – moje pozostałe dzieci – często dają mi wskazówki z tylnego siedzenia, więc poczułam się zaskoczona, że nie potrzebuję GPS-a, chociaż ostatni raz byłam w Cranford prawie dwadzieścia lat temu. Samochód sam zdawał się wiedzieć, gdzie skręcić, jaką ulicę wybrać, aż podjechaliśmy pod dom, który Tom i ja kupiliśmy z tak ogromnymi nadziejami; dom, będący ucieleśnieniem tak wielu wspomnień, które próbowałam wymazać z pamięci. Ten dom stał nadal. Ktoś przemalował biały ganek na szaro. Wymieniono frontowe okno, a obok podjazdu zrobiono boisko do koszykówki. Ale poza tym wyglądał tak samo. Podjechałam pod krawężnik i wyłączyłam silnik.

Gdy opuszczałam ten dom, byłam innym człowiekiem. Cieszyłam się, że już nim nie jestem. Chciałabym móc skontaktować się z tamtą sobą, która tu mieszkała, z kobietą brnącą przez ciemne, wypełnione paniką dni, i zapewnić ją, że w końcu wszystko się ułoży.

Moja córka siedziała obok mnie. Nic nie mówiła. Obie patrzyłyśmy na dom, stojący na niewielkim, pocętkowanym śniegiem wzniesieniu. Poczułam, jak ogarnia mnie Jedność, i kiedy Mia zamknęła oczy, uznałam, że musiała również poczuć jej siłę.

Dlatego byłam zaskoczona, gdy odwróciła się do mnie i zapytała, gdzie jesteśmy.

## Mia

Marilyn zależało, żebym zobaczyła mój pierwszy dom. Chciała, żebym poczuła łączność. Myślała, że coś we mnie rozpozna to miejsce. Ale ja go nie poznałam. Nie dostrzegłam w nim nic wyjątkowego, wyglądał tak samo jak każdy inny na przedmieściach, jak domy w okolicy, gdzie mieszka moja ciotka.

Kiedy mi powiedziała, że to dom, w którym mieszkałam jako niemowlę, ogarnęła mnie ciekawość. Postanowiłam wysiąść z samochodu i go obejrzeć. Marilyn nie chciała, żebym to robiła, obawiała się złej karmy. Ale ja musiałam poczuć, jak by to było w nim mieszkać. Wsiadłam, ona też. Stała przy krawężniku, a ja ruszyłam przez podjazd. Chciałam podejść do domu tak blisko, jak to możliwe. Chciałam dotknąć miejsca, w którym miałam dorastać.

Zeszłam z asfaltu na trawnik. Wciągnęłam powietrze, którym bym oddychała, gdybym tu żyła. Przystanąłam obok krzaka, owiniętego jutą. Dotknęłam tynku. Obok domu była biała studnia z wiadrem na sznurku. Czułam, jak bardzo zmieniłoby się całe moje życie, gdyby to był mój dom. Byłabym inną osobą. Kimś, kto nie mieszka w centrum, kto chodzi do normalnej szkoły, jak w *Jeziorze marzeń*. Byłabym nastolatką z przedmieścia, może cheerleaderką, dziewczyną, która przyjeżdża do centrum tylko na szkolne wycieczki, do muzeum albo na zakupy i na którą dzieciaki z centrum patrzą trochę z góry. Natychmiast znienawidziłam siebie za te myśli, za to, iż ucieszyłam się, że tu nie dorastałam, ponieważ to by oznaczało, że cieszę się, że zostałam porwana.

Obejrzałam się na Marilyn, wpatrzoną w nazwisko wypisane na skrzynce pocztowej. I w tej chwili nienawidziłam Lucy za to, że uznała, że ma prawo wziąć gumkę i wymazać osoby, jakimi miałyśmy się stać.



## Marilyn

Nie chciałam wysiadać z samochodu. Nie chciałam wystawiać żadnej z nas na działanie złej energii, która, jak sądziłam, nadal mogła tu być. Ale kiedy Mia wysiadła, poszłam za nią. Nie chciałam, żeby sama wchodziła w to pole energetyczne.

Wtedy kiedy to się stało, ludzie przywiązali żółte wstążki do dereni i klonów, teraz o wiele większych, a także do słupka skrzynki pocztowej. Skrzynka była inna, ale cedrowy słupek pozostał ten sam. Poczułam, że muszę do niego podejść, sprawdzić, czy nie zostały na nim resztki tamtych wstążek, jakiegokolwiek ślady tego, co przeszłam dwadzieścia jeden lat temu. Nic nie dostrzegłam, co przyniosło mi ulgę. Wszystkim, co przetrwało z poszukiwań naszego dziecka, było... nasze dziecko. Ona tutaj była. Ból ustąpił. Byłam za to wdzięczna.

Obie aż podskoczyłyśmy, kiedy otworzyły się drzwi. Za siatkową osłoną stała kobieta z dzieckiem. Wysunęła głowę i zapytała, czy może nam pomóc. Skłamałam, mówiąc, że szukamy Longston Road, a wtedy wskazała nam kierunek. Przeprosiłam, że ją niepokoiłyśmy, i wróciłyśmy do auta.

Zauważyłam, że Mia jest bardzo blada.

– Dobrze się czujesz? – spytałam. Powiedziała, że jej słabo.

Zawsze podróżuję z kosmetyczką pełną leczniczych ziół i cieszyłam się, że mam ze sobą pieprz kajeński. Znalazłam go i podstawiłam jej czerwoną paczuszkę pod nos.

– Oddychaj – poleciłam. Usłuchała. Rumieńce natychmiast wróciły na jej policzki.

– Zemdląłeś już kiedyś? – chciałam wiedzieć, a ona odrzekła, że tak.

– Ale tylko raz – dodała, już raźniej. – Kiedy mi przekłuwali uszy. Nie mam tego w zwyczaju.

– Dwa razy – poprawiłam ją cicho.

Oddała mi paczuszkę.

– Zemdląłeś w drogach rodnych – wyjaśniłam i opowiedziałam jej tę historię.

Urodziła się bezwładna, szara, przerażająco milcząca i natychmiast zabrano ją w odosobnione miejsce na sali porodowej. Nie potrafiłam zdobyć się na odwagę, by spytać, co się stało. Leżałam tylko, patrząc na Toma. Miał wilgotne oczy. Patrzył na mnie, ścisnął moją dłoń. W końcu usłyszeliśmy cichutki płacz, a ja rozpoznałam ów dźwięk, równie znajomy, jak bicie mojego serca.

Następnego dnia neonatolog powiedziała nam, że jest idealna.

– Rzadko mam okazję przynosić dobre wiadomości – dodała, co nam uświadomiło, jakie mamy szczęście.

– Nie wiedziałam o tym – powiedziała cicho moja córka.

Nie wiedziała o tak wielu rzeczach. Chciałam znowu ją przytulić, objąć te ramiona, którymi kiedyś wczepiała się we mnie. Ale prowadziłam samochód.

## Mia

W hotelu zamieszkałyśmy w jednym pokoju i na początku dziwnie się z tym czułam. Każda z nas miała swoje łóżko, ale kiedy budziłam się rano, czułam się nieswojo, widząc, jak Marilyn się we mnie wpatruje.

Jest ciepła, czuła i troskliwa. A także bardzo uczuciowa. Spędziłam z nią trzy dni, a uściskała mnie już chyba z milion razy.

Jest też bardzo wrażliwa. Czasami zna moje uczucia, zanim sama zdam sobie z nich sprawę.

– Jak się czujesz? – pyta każdego ranka i naprawdę chce wiedzieć.

Nie tak jak Lucy, która nigdy nie lubiła okazywać prawdziwych uczuć. Zawsze tylko żartowała. Kiedy byłam mała, robiła mi różne psikusy, na przykład wycierając mnie po kąpieli, wołała:

– O nie! Masz całe plecy w fioletowych plamach!

A kiedy już miałam się rozpłakać, mówiła, że żartuje.

Od trzech dni żywimy się tylko chińszczyzną. Marilyn jest weganką i w Cranford nie ma dużego wyboru. Chodzimy do Moon Palace na śniadania, lunche i kolacje. Zawsze miło nas tam witają. Jest pod wrażeniem, że mogę porozumieć się po chińsku z właścicielką, ale tak naprawdę znam tylko chiński, jakim mówią dzieci. Nie potrafię rozmawiać w tym języku. Podczas roku nauki mandaryńskiego w Midd przekonałam się, jak wielkie mam braki. Chciałam pojechać na rok do Chin, ale Lucy odwiodła mnie od tego pomysłu. Teraz wiem dlaczego. Z fałszywymi dokumentami nigdy nie dostałabym paszportu.

Kiedy jem chińskie potrawy, robi mi się smutno, ponieważ przypominają mi *ayi*. Kiedy popołudniami wracałam do domu ze szkoły, słyszałam, jak sieka warzywa w kuchni, podczas gdy ja odrabiałam lekcje po drugiej stronie ściany. Swojski odgłos wpadających do woka warzyw, cudowny zapach. Wbiegłam do kuchni po jakąś przekąskę, a wtedy dawała mi kawałek czegoś, co akurat kroić: selera, papryki, grzybów. Nie pozwalała mi jeść śmieciowego jedzenia.

Potrawy, które tu dostajemy, w niczym nie przypominają kuchni *ayi*. Warzywa są przesmażone, a pierożki zbyt wodniste. Ciężko jeść chińskie jedzenie przyrządzone dla Amerykanów, kiedy próbowało się tego przygotowywanego dla Chińczyków. Ale nie narzekam. Nie jesteśmy tutaj, żeby jeść. Może przyrządzą dla Marilyn i jej rodziny kilka potraw *ayi*, kiedy odwiedzę ich w San Mateo podczas ferii wiosennych. Przed wyjazdem *ayi* zostawiła mi kilka przepisów, których jeszcze nie wypróbowałam. O ile nie pojedę do Kostaryki. Tam mieszka mój ojciec. Ojciec. Dziwnie się czuję, wypowiadając to słowo. Nigdy wcześniej nie miałam ojca. I nigdy mieć nie chciałam. Doszłam do wniosku, że ojciec skupiałby na sobie uwagę mamy, a wtedy byłabym sama. Tata w domu wszystko by zmienił. Nawet drobiazgi – na przykład nie mogłybyśmy już paradować w samych stanikach. Nigdy nie czułam, żeby brak ojca czegoś mnie

pozbawiał. Ale muszę przyznać, że teraz, kiedy wiem, że go mam, bardzo chciałabym go poznać.

Marilyn napisała do niego e-mail, gdy tylko mnie znalazła. Po porwaniu był tak załamany, że wyprowadził się za granicę. Bardzo chce mnie poznać, powiedziała, ale ona by chciała, żebyśmy najpierw my – tylko we dwie – uzdrowiły naszą relację. Związek matki z córką to pierwotna energia, niezbędna w procesie emocjonalnego zdrowienia, wyjaśniła.

Ciepło Marilyn jest dla mnie dość egzotyczne. Ma wszystkie cechy, które można by sobie wymarzyć u matki, ale na razie nie mogę jej tak nazywać, jeszcze nie. Ona mnie o to nie prosi. Pewnie rozumie, że nie jestem gotowa. Zadawała mi mnóstwo pytań na temat mojego dzieciństwa i raz nazwałam Lucy mamą, a wtedy oczy Marilyn wypełniły się łzami. Ale przecież nazywałam Lucy mamą przez dwadzieścia jeden lat. To nawyk.

Nie chcę, żeby Marilyn wiedziała, że budzę się co noc i płaczę z tęsknoty za moją mamą, która już nie istnieje.

Poprosiłam pokojówkę o dodatkową poduszkę, którą przykrywam głowę, żeby Marilyn mnie nie słyszała.

## Lucy

Na lotnisku Kennedy'ego czułam się jak pod obstrzałem: odprawa, kontrola paszportów, kontrola osobista. Przez cały czas starałam się nie okazywać paniki. Byłam przygotowana, że w każdej chwili jakiś pracownik lotniska może do mnie podejść i powiedzieć, że przeprasza, ale czy mogłabym pójść za nim, do pokoju, gdzie policjanci zakują mnie w kajdanki i oświadczą, że nie wolno mi opuszczać kraju.

Przeszłam ostatnią kontrolę, jednak nie przestałam się denerwować. Ze wszystkich telewizorów ryczały wiadomości i bałam się, że w każdej chwili mogą pokazać materiał o porwaniu, a moje zdjęcie wypełni ekran. Jakiś pasażer z hali odlotów może mnie rozpoznać i zawiadomić jednego z umundurowanych funkcjonariuszy, których tak wielu kręciło się po lotnisku. Czy pracownik Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego ma prawo mnie aresztować?

Młoda kobieta w służbowym stroju póżeła na krześle naprzeciwko mnie, pod jednym z telewizorów. Wykręcała szyję, żeby dojrzeć ekran. Zerknęła na niego, a potem patrzyła na mnie, jakby mówiono już o mnie w wiadomościach. Może tak było. Może pojawiłam się na Twitterze albo na Facebooku. Nie wiedziałam. Nie korzystam z mediów społecznościowych. W agencji przez całe lata usiłowano mnie do nich przekonać, nawet Mia pomogła mi założyć konta. Ale tak naprawdę nigdy ich nie używałam.

Kiedy kobieta naprzeciwko mnie nie patrzyła w telewizor, przesuwała palcem ekran swojego telefonu. Nie przestawała na mnie spoglądać. Zaczęłam się pocić. Chciałam zmienić miejsce, ale miałam zbyt wiele bagażu. Spuściłam wzrok, udając, że pochłonęła mnie książka, którą częściowo zasłoniłam twarz. Nagle na kartkę padł cień. Podniosłam oczy. To była ona. Zaszczo mi w ustach. Ale kobieta też wyglądała na zdenerwowaną. Wyciągnęła ku mnie otwartą dłoń, co za dziwny gest. Zupełnie jakby zapraszała mnie do tańca.

– Ma pani może igłę i nitkę? – zapytała, a wtedy zobaczyłam, co trzyma w dłoni: urwany guzik.

Parsknęłam śmiechem, co chyba ją zaniepokoiło.

– Oczywiście – odpowiedziałam, otwierając torebkę i grzebiąc w niej w poszukiwaniu plastikowego pudełeczka, którego – jak zdałam sobie sprawę – pewnie nikt już nie nosi, i zastanawiałam się, dlatego ta kobieta podeszła akurat do mnie. Nikt inny wokół nas nie wydawał się na tyle stary, by mieć przy sobie igłę i nitkę.

Wypuściłam głośno oddech, kiedy moja karta pokładowa została zeskanowana i mogłam dołączyć do procesji zmierzającej do samolotu.

Do ostatniej chwili, zanim musiałam wyłączyć telefon, wysyłałam do Mii SMS-y. Ozdabiałam je emotikonowymi serduszkami. Ale ona nie odpowiedziała.

## Część trzecia

*Natura wyposażyła młode pająka Thomisidae we wrodzoną potrzebę oddalania się od miejsca urodzenia w celu tworzenia odległych kolonii. To pozwala zachować gatunek. Inaczej zostałyby zjedzone przez dorosłe osobniki.*

Z ulotki Amerykańskiego Stowarzyszenia Arachnologicznego

## Lucy

Lot z lotniska Kennedy'ego na Szanghaj-Pudong był najdłuższy w moim życiu – trwał piętnaście godzin. Poprosiłam lekarza, żeby przepisał mi tabletki nasenne, jednak żadnej nie wzięłam. Chciałam być czujna, wysiadając z samolotu – na wypadek gdyby przedstawiciele organów ścigania czekali na mnie na końcu pasa startowego. Ale dotarłam do celu bez żadnych kłopotów, jak wszyscy inni pasażerowie.

Lotnisko w Szanghaju okazało się nowocześniejsze, niż się spodziewałam. Nie byłam przygotowana na widok lśniących podłóg, elegancko ubranych ludzi na ruchomych chodnikach, elektronicznych zegarów i billboardów, które migają i obracają się co kilka sekund, wyświetlając twarz tego czy innego czołowego amerykańskiego aktora, na których zatrudnienie do naszych reklam w Stanach nigdy nie byłoby mnie stać. Minęłam Nicolasa Cage'a zachwalającego zegarki Mont Blanc i Brada Pitta reklamującego Cadillaca.

Czego ja się spodziewałam? *Ziemi błogosławionej*<sup>13</sup>, gdzie ludzie nosili stożkowe kapelusze i pluli na podłogę? Zdałam sobie sprawę, że większość historii, które opowiadała mi Wendy, wydarzyła się, zanim wyjechała z kraju.

Odebrałam bagaż i przeszłam przez odprawę, która odbyła się zaskakująco sprawnie. Automat poprosił, żebym wyraziła swoją opinię: czy jestem bardzo zadowolona, zadowolona, niezadowolona. Przycisnęłam „bardzo zadowolona”, ponieważ tak było. Jaką poczułam ulgę, słysząc „łup, łup, łup”, gdy urzędnik stemplował mój paszport w jednym, drugim i trzecim miejscu. Kiedy wyszłam przez szklane drzwi, zaskoczył mnie ogromny tłum oczekujących i z ulgą dostrzegłam mężczyznę, trzymającego kartkę z napisem „Pan Lucy”. Jeśli nawet mój kierowca spodziewał się mężczyzny, nie okazał żadnego zdziwienia. Ruszyłam za nim i moim bagażem po niekończących się ruchomych schodach.

Rozpaczliwie pragnęłam zadzwonić do Mii. Może złagodniała w kwestii rozmowy ze mną. Dzieliła nas teraz dwunastogodzinna różnica czasu. Cyfrowy zegar pokazywał dwudziestą drugą pięć i obliczyłam, że u niej minęła dopiero dziesiąta rano. Pewnie jest na zajęciach w Middlebury.

Kierowca pokazał mi, gdzie wymienić pieniądze i jak kupić w kiosku kartę SIM, żebym mogła dzwonić za granicę. Wcześniej sprawdziłam w Verizon, co zrobić, żeby mój iPhone działał w Chinach. Dzięki nowej karcie SIM miałam nowy numer. Mia musiała być ciekawa, kto do niej dzwoni, ponieważ odebrała, ale zaraz się rozłączyła, gdy tylko usłyszała, że to ja.

Jeszcze raz wystukałam trzynaście cyfr, tylko po to, żeby usłyszeć jej nagrany głos:

– Cześć, tu Mia. Zostaw wiadomość. Cześć, tu Mia... Cześć, tu Mia...

Wciąż do niej dzwonię od czasu do czasu, żeby usłyszeć te słowa i jej słodki głos, i staram się wierzyć, że ona naprawdę ze mną rozmawia.

Wiem, że myśli o mnie za każdym razem, kiedy telefonuję.

Co pojawia się wówczas na jej ekranie? Co ona widzi?

[13](#) *Ziemia błogosławiona* – film z 1937 r., historia chińskiej rodziny zmagającej się z biedą.

## Mia

Kiedy wróciłam do Middlebury, kampus wyglądał inaczej. Wydawał się mniejszy. Białe, oszalowane deskami budynki przypominały małe więzienia. Nie powiedziałam znajomym, co się stało, nawet mojemu chłopakowi. Byliśmy ze sobą od sześciu miesięcy, czyli według mnie długo, ale Todd właśnie przestał być moim chłopakiem. Napisałam do niego SMS-a, że mam mu coś do powiedzenia. Odpisał, że też chce mi coś powiedzieć. Odebrał mnie z lotniska i w drodze z Burlington wyznał, że w Gwatemali przespał się z jedną z szefowych grupy. Winił o to zespół Aspergera, którego zawsze używa jako wymówki, chociaż w jego wypadku zaburzenie jest prawie niezauważalne. Ma nawet na tyłku wytatuowanego burgera.

– Rozumiesz? – zapytał mnie, wskazując tatuaż, kiedy pierwszy raz byliśmy razem. – Ass<sup>14</sup>.  
Burger.

Szefowa zespołu, z którą się przespał, zamieściła na Facebooku zdjęcie tatuażu i wiem, że tylko dlatego Todd mi o niej powiedział, bał się, że je widziałam. Stwierdził, że seks z nią nie miał dla niego żadnego znaczenia, i miał nadzieję, że dla mnie również. Ale jego zdrada wydała mi się niewypowiedzianie okrutna w połączeniu z drugą zdradą, z którą usiłowałam sobie poradzić, a o której teraz nawet nie miałam ochoty mu mówić.

Kiedy Todd mnie odwiózł, położyłam się do łóżka i nie wstawałam przez dwa dni. Mój cały świat rozpadł się na kawałki. Nie mogłam nawet umyć zębów bez płaczu. Znajomi widzieli, że coś się dzieje, ale myśleli, że to z powodu zerwania z Toddem. Nie powiedziałam nikomu, co jeszcze się stało. Nie chciałam, żeby ktokolwiek poznał moją tajemnicę. Ktoś napisałby coś na Facebooku albo w SMS-ie i zaraz moja historia trafiłaby do mediów. Chciałam przetrwać to wszystko sama, na osobności. Wiedziałam, że Marilyn też tego pragnęła.

Podczas tych pierwszych kilku dni często przyłapywałam siebie na tym, że się wyłączam. Wpatrywałam się w monitor komputera i nie wiedziałam, ile czasu tak siedzę. Zaczęły mnie nękać koszmary. Straszne sny, z których budziłam się zadyszana, z zaschniętymi ustami.

Poszłam do kliniki po tabletki nasenne. Pomagały mi zasnąć, ale źle na nie reagowałam. Pewnej nocy obudziłam się w świetlicy, mając wokół siebie papierki po cukierkach. Zjadłam walentynkową wystawę studentów sztuki!

Wiedziałam, że muszę stamtąd wyjechać.

<sup>14</sup> Ass (ang.) – dupa.



## Lucy

Kiedy dotarłam do hotelu, dowiedziałam się, że dali mój pokój komuś innemu.

– Konferencja już się zacząć. Powinnaś przyjść wcześniej – zbeształ mnie recepcjonista, odsuwając wydruk potwierdzający rezerwację. Okazały, przeładowany ozdobami hotel, w którym odbywała się konferencja, był ogromny, ale ten człowiek upierał się, że nie mają pokoju dla jeszcze jednej osoby. Jakim cudem aż tylu ludzi może chcieć brać udział w konferencji na temat papieru toaletowego w Chinach?

– Konferencja nie tylko dla Chin – powiedział, jakby czytał w moich myślach. – Światowa konferencja.

Wystukał coś na klawiaturze, uruchamiając stojącą za nim drukarkę, i podał kartkę kierowcy, który wyprowadził mnie z powrotem na zimne powietrze. Powinnam była założyć puchową kurtkę zamiast jesiennej. Myślałam, że w Szanghaju będzie cieplej, nawet w lutym. Hotel zastępczy znajdował się w odległości około ośmiuset metrów, chociaż nie mogłam tego ocenić nie tylko dlatego, że zrobiło się ciemno, ale też dlatego, że ulice były zapchane samochodami, rowerami i ludźmi, z których, ku mojemu zaskoczeniu, wielu niosło torby z logo znanych marek: Chanel, Nike, Tiffany's, Häagen-Dazs. Dochodziła dwudziesta trzecia, a jasno oświetlone sklepy nadal pracowały.

Hotel zastępczy przypominał starą, niezamężną ciotkę tamtego nowoczesnego i lśniącego: wyblakły, zaniedbany, śmierdzący stęchłym papierosowym dymem. Niechętnie poszłam za kierowcą długim korytarzem do recepcji, gdzie za biurkiem siedział mężczyzna owinięty wełnianą kurtką i palił papierosa pod zakazem palenia. W korytarzu było zimno.

– Czy mają jakąś awarię ogrzewania? – zapytałam, na co mężczyzna przez jakieś pięć minut dyskutował po chińsku z kierowcą, który w końcu odwrócił się do mnie i zapewnił, że w moim pokoju jest grzejnik. Powiedziałam, że chciałabym zobaczyć pokój, i recepcjonista krzyknął coś po chińsku. Pojawiła się młoda kobieta, zaprowadziła mnie do małej windy i wkrótce znalazłam się w zaskakująco sympatycznie urządzonej sypialni dla dwóch osób. Nie był elegancki, ale czysty, ze wszystkimi udogodnieniami, jakich oczekiwało się w niskogwiazdkowym sieciowym hotelu w Stanach: podwójne łóżko, suszarka do włosów, ekspres do kawy, wielki płaski telewizor. Kobieta wzięła do ręki coś, co przypominało pilota od telewizora, i wycelowała tym czymś wysoko nad ekran. Z wdzięcznością poczułam strumień ciepłego powietrza, który nadpłynął z elektrycznego grzejnika zamontowanego pod sufitem.

Dochodziła północ. Gdzie indziej mogłabym pójść? Miałam wrażenie, że nie spałam od wielu dni. Poza tym widziałam pewne zalety hotelu na uboczu. Wróciłam z kobietą na dół i wzięłam kartę, która otwierała drzwi frontowe, windę i mój pokój. Kierowca wyładował bagaż i powiedział mi „do widzenia”, a ja (po uprzednim zerknięciu na lśniąca stronę, wyrwaną

z przewodnika) dałam mu napiwek z nowego, kolorowego pliku w moim portfelu, wręczając banknot tak różowy, że wyglądał jak pieniądz dla dzieci.

Usiadłam na łóżku i próbowałam włączyć telewizor, żeby sprawdzić, czy znajdę jakieś amerykańskie wiadomości. Korzystałam z instrukcji po angielsku, lecz najwidoczniej opuszczono w niej kilka kroków. Zielona lampka zasilania się świeciła, ale ekran pozostawał czarny. Zadzwoiłam do recepcji i po chwili tamta kobieta zapukała do moich drzwi, po czym cierpliwie wciskała kolejne guziki opisane chińskimi znakami, aż ekran ożył. Nalegałam, by zrobiła to jeszcze raz, bo chciałam zapamiętać – nie jestem zbyt dobra w sprawach technicznych – a ona usłuchała, śmiejąc się z dłonią przytkniętą do ust, gdyż najwidoczniej uznała to za zabawne, że Amerykanka nie umie włączyć telewizora. Większość kanałów była chińska, tylko dwa angielskie, na żadnym jednak nie nadawano wiadomości. Na jednym trwał talk-show, w którym Kanadyjczyk i Amerykanin, mieszkający w Chinach, wychwalali piękno i życzliwość kraju, w którym znaleźli nowy dom. Na drugim leciał *Seks w wielkim mieście* z chińskim dubbingiem. Padłam na łóżko, nie rozpakowując bagażu, nawet się nie rozbierając, i słuchałam, jak Samantha podczas przyjęcia *baby shower* ubliża przyszłej matce w kapeluszu ze wstążek od prezentów, i zastanawiałam się, co z tego zrozumieją chińscy widzowie.

Dopiero następnego ranka zobaczyłam, że pokój nie ma okien.

– Przykro mi, ostatni pokój – poinformował mnie radośnie recepcjonista.

W hotelu zainstalowano WiFi, ale przesył danych był rozpaczliwie wolny. Połączenie działało szybciej przy biurku ustawionym w lobby, niestety, wszystkie nakładki były po chińsku. Nie mogłam sprawdzić poczty ani wejść na Google. Żadna z zachodnich stron z wiadomościami, jaka przyszła mi do głowy, nie chciała się załadować. Ostatni raz byłam tak odcięta od internetu, zanim go wymyślono.

Oczywiście nie poszłam na konferencję. Obawiałam się, że będą tam zachodni dziennikarze, i nie chciałam, żeby ktoś mnie rozpoznał, jeśli w Stanach już było o mnie głośno. Całymi dniami siedziałam w pozbawionym okien, słabo oświetlonym pokoju, aż w końcu nie mogłam już tam wytrzymać ani chwili dłużej. Jednak okazało się, że sama nigdzie nie mogę wyjść. Wszystkie nazwy ulic zapisano po chińsku, czego z niewiadomego powodu wcale się nie spodziewałam.

## Lucy

Recepcjonista z hotelu dał mi ulotki reklamujące usługi przewodników, z których wszyscy studiowali angielską turystykę na uniwersytecie. (Oto przykład chińskiego pragmatyzmu – taki kierunek włączono w uniwersytecki program nauczania).

Wybrałam Adę, nie tylko dlatego, że na zdjęciu wydała mi się najsympatyczniejsza, ale też dlatego, że tekst z jej ulotki najbardziej mi się spodobał. Ada obiecywała, że pokaże zwiedzającym „nie tylko piękno, ale też mniej uczęszczane ścieżki naszego miasta”. Jestem pisarką do wynajęcia – byłam pisarką do wynajęcia. Wiem, jak trudno napisać dobrą reklamę. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że musiałabym napisać ją w języku innym niż ojczysty. Spodobało mi się, że Ada była gotowa zejść z utartego szlaku, żeby pokazać turystom coś więcej niż widoki, które mogli podziwiać z okien wycieczkowego autobusu.

Ada. Nawet w Szanghaju Chińczycy wymyślają sobie angielskie imiona, po części z uprzejmości dla obcokrajowców, którzy nie potrafią wymówić ich prawdziwych imion, a po części z powodu mody. Jednak ich uszy nie są wyczulone na zmienną modę zachodnich imion. Dlatego chociaż moja przewodniczka miała dwadzieścia kilka lat, nosiła imię, jakby liczyła sobie sto, oraz skrzypiące przezwisko zaczerpnięte z jakiejś wiktoriańskiej powieści. Dickens, Thackeray, siostry Brontë – oni wszyscy są tu sprzedawani w „zagranicznych księgarniach”, wydrukowani po mandaryńsku na papierze delikatnym jak toaletowy, w miękkich okładkach ozdobionych upiornymi rysunkami par w sugestywnych pozach, niemającymi żadnego związku z treścią.

Ada myśli, że przyjechałam tu służbowo, chociaż musiała zauważyć, że moim jedynym zajęciem jest pisanie w tym dzienniku. Przez cały czas „stara się” o posadę w Ameryce, próbując zrobić na mnie wrażenie swoją pracowitością i gotowością pogłębiania znajomości angielskiego. Przychodzi co najmniej dziesięć minut przed czasem i dwoi się i troi, żeby mi pomóc. Wczoraj utargowała ze sprzedawcą owoców połowę ceny torebki liczi, chociaż ja byłam gotowa zapłacić te kilka fenów, o które prosił.

Dowiedziałam się, że konferencja się skończyła, ponieważ mężczyzna w recepcji poinformował mnie, że konferencyjna zniżka na pokój również. Teraz cena wzrosła astronomicznie. Ada pomogła mi przenieść się do innego hotelu, należącego do znajomego jej wuja. Wynegocjowała, żeby policzono mi za pokój według stawki obowiązującej Chińczyków, a nie obcokrajowców, która, jak wyjaśniła, jest dziesięć razy wyższa. To częsta tutaj praktyka, najwidoczniej legalna.

Nazwa hotelu to oksymoron: Nowy Stary Dom. To właściwie „mieszkanie z obsługą”, coś

między hostelem a hotelem. Wszystkie pokoje mają aneks kuchenny, wyposażony w gorącą płytę i małą lodówkę. Nikt tu nie mówi po angielsku i pewnie między innymi dlatego płacę niższą cenę.

Któregoś popołudnia poszłam do „zagranicznej księgarni”, przygotowana, że zobaczę swoją twarz i nazwisko na okładce jakiejś gazety. Sprzedają tam kilka czasopism po angielsku: „People”, „Newsweek” i „Herald Tribune”. Zaglądałam do księgarni od dziesięciu dni i jeszcze nic na mój temat się nie ukazało. Może ponowne spotkanie Mii z Marilyn nie trafi do wiadomości. Marilyn dostała to, czego chciała, ma z powrotem swoją córkę. W czym zatem mogłoby pomóc jej albo Mii nagłośnienie tej historii? Może Mia powiedziała jej, jaką byłam dobrą matką, i Marilyn, a także Mia mi wybaczą. Może wszystko ucichnie, wrócę do Stanów i podzielimy się Mią między sobą, coś w stylu opieki naprzemiennej.

A na razie czekam.

## Lucy

Żał mi Ady, tak pragnącej szukać szczęścia w ojczyźnie, którą opuściłam. Nie wie, że jej starania są bezcelowe, przynajmniej ze mną w roli przewodnika. Chociaż stanowi modelową kandydatkę do pracy w korporacji – jest bystra, gorliwa i stawia pracodawcę na pierwszym miejscu. Zamierzam zarekomendować ją byłym kolegom ze Stanów, jeśli jeszcze kiedykolwiek z kimkolwiek nawiążę kontakt.

Ada jest tylko kilka lat starsza od Mii i ma równie dużo energii. Chociaż nie jestem pewna, czy Mia jeszcze ją ma. Jak ona się czuje? Czy jest smutna? Zła? Może odpisała na któryś z e-maili, jakie wysłałam jej przed wyjazdem ze Stanów. Nie wiem tego. Nadal nie mam dostępu do poczty. A Mia nie odbiera moich telefonów.

Ada czeka na mnie codziennie w lobby. Wczoraj pokazała mi, gdzie mogę pływać. Nie uprawiałam żadnego sportu od tygodni, odkąd życie zaczęło mi się walić. Mam pięćdziesiąt siedem lat. Obawiam się, że jeśli pozwolę, by moje ciało uległo sile grawitacji, ono już się nie zatrzyma i będę wyglądała jak staruszki, jakimi kiedyś były kobiety w moim wieku. Jestem przyzwyczajona do codziennej, dziesięciokilometrowej przejażdżki rowerem po Central Parku, o ile tylko pogoda na to pozwala. Jeździłam tam przed pracą. Miałam – nadal mam – mieszkanie spółdzielcze na Riverside Drive, do którego wprowadziłyśmy się, jeszcze kiedy Mia była niemowlęciem. Mia za trzy miesiące skończy college. Nie mogę uwierzyć, że mnie przy tym nie będzie.

Dzisiaj rano pływałam w basenie, który pokazała mi Ada. To położony niedaleko hotelu piękny prostokąt olimpijskich rozmiarów, pełen czystej, chlorowanej wody. Była dopiero siódma rano, ale jasne światło spływało ze świetlików w dachu, tworząc cętki na wodzie, nieruchomej i zapraszającej. Nikogo oprócz mnie nie było.

Stałam na brzegu basenu i kontemplowałam wielkie, czerwone chińskie litery na ścianie, próbując je rozszyfrować, dociekając, czy nurkowanie jest dozwolone, kiedy powietrze przeszył krzyk. Odwróciłam się i zobaczyłam małą, groźną kobietę w mundurku, która pędziła ku mnie w różowych japonkach, zbyt dużych na jej stopy. Wymachiwała czymś nad głową – czepkiem kąpielowym. Zmusiła mnie, żebym wróciła do szafki po pieniądze, aby go kupić, za wcale nie małą sumę, wzięwszy pod uwagę, że lateks był tak cienki i delikatny, że czułam się, jakbym naciągała na głowę prezerwatywę.

Przez chwilę miałam cały basen tylko dla siebie. Woda działała na mnie jak balsam. Przed przeprowadzką do Nowego Jorku często pływałam. W basenie po raz pierwszy, odkąd tu przyjechałam, poczułam spokój. Wykonując długie, leniwe ruchy, dopłynęłam na plecach aż do ściany, a potem wróciłam żabką. Każdą długość basenu kończyłam podwodnym fikołkiem, po którym można poznać tego, kto pływał w drużynie, nawet tak marnej jak moja – sąsiedzkim

klubie pływackim, w którym ćwiczyłam jako dzieciak. Fikołki już nie wychodzą mi tak dobrze i czasami kończę przez pomyłkę twarzą do ściany. Po jednej z takich pomyłek obróciłam się i zobaczyłam podchodzącego do krawędzi basenu Chińczyka, ze lśniącą skórą po prysznicu i włosami schowanymi pod regulaminowy kondom.

Poczułam irytację na myśl, że będę musiała dzielić się z nim basenem. Niedorzeczne, wiem, przecież to basen publiczny! Ale naprawdę zirytowało mnie to, co stało się potem: on nie pływał wzdłuż, tylko wokół basenu, jakby chciał przywłaszczyć sobie całą przestrzeń. Co za egoizm! pomyślałam, płynąc dalej i krzywiąc się za każdym razem, gdy wszedł mi w drogę. Później Ada wyjaśniła mi, że tak pływają Chińczycy, i zdałam sobie sprawę, jaką ignorancję okazałam wobec powszechnego zwyczaju. Ten mężczyzna też musiał się krzywić pod wodą, równie zirytowany moim zachowaniem, co ja jego.

## Mia

Marilyn odebrała mnie z lotniska w San Francisco. Droga do San Mateo była długa, gawędziłyśmy o niczym. Byłam zbyt zmęczona na poważne rozmowy. Kiedy skręciła na podjazd, zobaczyłam, że udekorowali dom. Wszędzie unosiły się żółte wstążki i żółte balony, a na frontowych drzwiach wisiał napis: „Witaj w domu”.

Zauważyłam, że Marilyn też jest zaskoczona. Zatrzymała samochód na podjeździe, zakryła dłonią usta i rozplakała się ze wzruszenia.

Czułam się szczęśliwa i smutna jednocześnie. Szczęśliwa, że tak mnie przyjmują, ale smutna, że tak naprawdę to nie jest mój dom, że już nigdy w żadnym miejscu nie poczuję się jak w domu.

Kiedy weszliśmy do środka, ja także wybuchnęłam płaczem. Gdy dorastasz w rodzinie, w której się nie urodziłeś, czasami czujesz, że tak naprawdę nie jesteś prawdziwa. Ponieważ w nikim z otoczenia nie widzisz odbicia siebie. Teraz nagle znalazłam się między ludźmi, którzy wyglądali, jakby zostali ulepieni z tej samej gliny. Włosy dziewczynki, nos chłopca, kształt jego brwi stanowiły milczące potwierdzenie tego, z czego zostałam stworzona. Ta sytuacja mnie przytłoczyła i oparłam się o ścianę, próbując opanować emocje, dopóki szloch nie zamienił się w śmiech, a wszyscy, z ulgą, zaczęli się śmiać razem ze mną. Marilyn objęła mnie i poleciła Connorowi, żeby zaniósł moje rzeczy na górę.

Przygotowała dla mnie łóżko w pokoju Chloe. Chloe sama mnie tam zaprowadziła. Widok tego pokoju przypomniał mi, jak dobrze było mieć dziesięć lat – żółt w akwarium, domek dla lalek, kolorowe poduszki, kwieciste dywaniki, futrzane zwierzątko, trzymające straż na półkach. Powiedziałam, że mam nadzieję, że będę dobrą współlokatorką. Nigdy nie dzieliłam z nikim pokoju, dodałam. Chloe powiedziała, że ona też nie, ma tylko braci. Jednak zaraz się zarumieniła i poprawiła:

– To znaczy miałam. Myśleliśmy, że nie żyjesz!

I zaczerwieniła się jeszcze bardziej, czując, że znowu popełniła błąd. Wzięłam ją w ramiona, mówiąc, żeby się nie przejmowała, że wszystko będzie dobrze. Ja sama też pragnęłam w to uwierzyć i nienawidziłam Lucy za to, że wyrzuciła do góry nogami nie tylko moje życie, ale też życie tych dobrych ludzi, od których pochodziłam.

## Marilyn

Powinnam była poprosić dzieciaki i Granta, żeby nie dekorowali domu. Nawet nie przypuszczałam, że mogą to zrobić. I oczywiście nie mieli pojęcia, co dla mnie oznaczają żółte balony.

Kiedy wysiadliśmy z samochodu, przed domem czekał reporter. Tego się nie spodziewaliśmy. Detektyw Brown zgodził się nie informować o niczym mediów, dopóki Mia się nie zdomowi. Ale ktoś z policji napisał coś na Twitterze. Dziennikarz to przeczytał, dodał dwa do dwóch i nas wytropił.

Następnego dnia w „San Francisco Chronicle” ukazało się zdjęcie moje i Mii. Przed domem zaroilo się od dziennikarzy. Nie mogliśmy zgonić ich z trawnika. Grant próbował zablokować podjazd kołami do piłowania drewna, ale oni po prostu je przestawili. Nie odważyłam się puścić Connora i Thatcha do szkoły. Bałam się, że będą nękani, a potem media zacytują ich słowa na temat, o którym nie mają żadnego pojęcia.

Detektyw Brown doradził nam, żebyśmy zorganizowali razem z policją konferencję prasową. Obiecał, że nie będą tego nagłaśniać. Mia nawet nie musiałaby się pojawiać. Poradził nam też, żebyśmy wynajęli prawnika, który będzie pośredniczył w kontaktach z mediami.



## Cheryl

Dowiedziałam się w okropny sposób, z radia, kiedy wracałam z pracy do domu.

– Dziewczynka, porwana w New Jersey dwadzieścia jeden lat temu, wróciła do biologicznej matki, która mieszka obecnie w Kalifornii. Urodzona jako Natalie Featherstone w Cranford, w New Jersey...

Akurat skręciłam w Lafayette Street, gdy usłyszałam słowa, których nigdy nie zapomnę:

– ...została wychowana na Manhattanie jako Mia Wakefield.

Całe moje ciało zaczęło się trząść.

Ale w centrum Nowego Jorku mieszka osiem milionów ludzi, na pewno ktoś z nich nazywa się tak samo jak moja siostrzenica.

– Panna Wakefield, studentka ostatniego roku Middlebury College...

Musiałam zjechać na pobocze. Nie wyłączając silnika, chwyciłam kurczowo kierownicę, podczas gdy z deski rozdzielczej płynęły nieprawdopodobne słowa:

– ...wychowana przez porywaczkę, menedżerkę nowojorskiej branży reklamowej...

Ledwo panowałam nad drżącymi dłońmi, gdy przekopywałam torebkę w poszukiwaniu telefonu i wybierałam służbowy numer mojej siostry. Powinna być w pracy. Dopiero dochodziła piąta. Odebrała automatyczna sekretarka, więc zostawiłam wiadomość i zadzwoniłam pod numer domowy. Nie zgłosił się nawet automat. Słuchałam sygnału, wyobrażając sobie, jak dzwonek rozbrzmiewa echem w długich, wąskich korytarzach, w małych, pustych pokojach, o wiele mniejszych niż te w domu naszego dzieciństwa.

Byłam przekonana, że musiała nastąpić jakaś pomyłka, którą Lucy na pewno będzie w stanie wyjaśnić, jeśli tylko z nią porozmawiam. Ale nie mogłam się do niej dodzwonić. Zaczęłam telefonować do Mii. Ona również nie odbierała.

Wrzuciłam bieg. Był luty. Jezdnie śliskie. Z dłońmi drżącymi na kierownicy, z sercem w gardle wróciłam na ulicę i dołączyłam do sznura samochodów, wyobrażając sobie, że wszystkie trąbią imię mojej siostry. Podniosłam kołnierz płaszcza, mając nadzieję, że kiedy zatrzymam się w samochodzie na światłach, obok nie będzie siedział nikt, kogo znam.

## Mia

Bardzo mi się nie podobało, że moja historia trafiła do mediów. Musiałam zamknąć konto na Facebooku, ponieważ wielu znajomych przesyłało mi linki do wiadomości prasowych i umieszczało je na Tumblr i Instagramie, a ja nie chciałam o niczym wiedzieć. Czułam się tak, jakby ci znajomi nie byli już moimi znajomymi. Osoba, z którą się zaprzyjaźnili, już nie istniała.

Okazało się, że zniknięcie z Facebooka jest irytująco trudne. Cały czas chcąc, żebyś jednak dezaktywował konto, ostrzegając, że jego usunięcie jest nieodwracalne, i ciągle pytając, czy jesteś pewien. Jeden z kodów weryfikacyjnych, który musiałam wpisać dwa razy, brzmiał „koniec”. Kiedy po raz ostatni wcisnęłam „enter”, czułam się, jakbym wystartowała w kosmos, milion kilometrów od osoby, którą kiedyś byłam.

## Marilyn

Prawnik poradził, żebyśmy wybrali jeden tytuł, któremu udzielimy wywiadu na wyłączność. Jeśli tego nie zrobimy, historia zacznie żyć własnym życiem, a dziennikarze będą opowiadali, co zechcą. Zdecydowaliśmy się na „People”. Oferowali najwięcej pieniędzy – nie mogliśmy uwierzyć, że tak dużo. Wystarczająco, żeby opłacić Mii studia prawnicze, jeśli będzie chciała je podjąć. Wystarczająco, by posłać dzieci do college’u.

Fotografka przyszła ze stylistką, która upierała się, że musi umalować Mię i mnie, inaczej będziemy wyglądały jak wyblakłe duchy. Przyniosła ze sobą ogromną torbę kosmetyków, ale kazałam jej użyć moich, pozbawionych toksyn. Upozowali Mię i mnie w salonie, pod wiszącymi kryształami, a potem w kuchni, na tle ściany z naklejkami-afirmacjami. Spytałi, czy mogą zrobić zdjęcie całej rodziny, ale nie chciałam, żeby wizerunki moich pozostałych dzieci ukazały się w prasie. Ustawili więc naszą szóstkę na batucie w ogrodzie, plecami do aparatu tak, żeby nikogo z nas nie można było rozpoznać, i sfotografowali w podskoku. „Teraz Marilyn nie spuszcza swoich dzieci z oczu”, głosił podpis. Kłamstwo. Chłopcy schodzą mi z oczu, sami chodzą do szkoły. Nie pokazano nam zdjęć ani podpisów przed drukiem. Mia i ja trafiłyśmy na okładkę. Zdjęcie było tak wyretuszowane, że wyglądałyśmy prawie jak siostry. W artykule nazwano mnie uzdrowicielką, którą nie jestem i nigdy nie twierdziłam, że jestem.

Po tej publikacji chętnie nawiązaliśmy współpracę ze specjalistą od public relations z Ikei, który się do nas zgłosił. Zaproponował nam swoją pomoc za darmo. Wiedzieliśmy, co nim kierowało, Ikea tak samo chciała uniknąć rozgłosu, jak my. Jednak i tak byliśmy mu wdzięczni. Poradził nam, że aby uniknąć ataku dziennikarzy, powinniśmy wyjechać na kilka dni. Pojechaliśmy na Mount Shasta.

W górach nasza szóstka zaczęła się uczyć, jak być rodziną.

## Mia

Pierwszego dnia Marilyn co chwilę mnie pytała, czy cieszę się, że jestem w domu, a ja odpowiadałam, że tak. Ale wcale nie czułam się tutaj jak w domu. Wszystko było inne niż w miejscu, gdzie dorastałam. Światło było inne, zapach i meble także. Zamiast gołych podłóg wszędzie rozciągały się dywany. Wokoło było pełno kolorów i ozdób, które Lucy uznałyby za śmieci: świeczki, wazoniki, haftowane poduszki, z sufitu zwisały kryształły i małe lusterka, rzucające tęcze cienie na ściany. Na półkach, ścianach i stolikach tłoczyły się oprawione w ramki zdjęcia z uroczystości rodzinnych – chrztów, ślubów, rozdania dyplomów. Patrząc na nie, czułam smutek, że zostałam z tego wykluczona.

Dobrze było uciec w góry. Drzewa, gwiazdy, góry, księżyc wyglądają tak samo, gdziekolwiek jesteś. I dlatego rzeczywiście czułam się jak w domu przez te kilka dni, które spędziliśmy pośród przyrody, chociaż nigdy wcześniej tego nie robiłam. Jeździłam na obozy, ale one nie miały nic wspólnego z obozowaniem. Spałam na piętrowym łóżku w domku kempingowym z łazienką, ścieżki dookoła były wysypane cedrowymi wiórami, żeby nikt się nie zgubił, a obozowy kucharz mógł ci zrobić każdy omlet, jaki sobie zamarzysz.

My pojechaliśmy na prawdziwy obóz, z prawdziwymi namiotami. Byłam pod wrażeniem, że Grant i chłopcy potrafili je ustawić, nawet nie zaglądając do instrukcji. Rozłożyli jeden dla siebie i jeden dla nas, dziewczyn. Spaliśmy w śpiworach na specjalnych matach, które chroniły nas przed wilgocią. Wieczorem zamykaliśmy namioty przed komarami i niedźwiedziami. Potencjalna obecność niedźwiedzi reszcie wydawała się nie przeszkadzać, ale ja byłam przerażona i bardzo się starałam nie pić nic na noc, żebym potem nie musiała wstawać do łazienki. Oczywiście nie mieliśmy żadnej łazienki. Chodziliśmy do lasu i nie chciałam podejmować takiego ryzyka, ponieważ nie mogłam sobie wyobrazić, żebym w wypadku ataku niedźwiedzia potrafiła zachować się tak, jak radził Grant: stanąć w miejscu i machać rękami, by wydać się większą. Wiedziałam, że po prostu rzuciłabym się do ucieczki, co było wyjściem najgorszym z możliwych.

Od rozkładania namiotów Granta rozboleło ramię i Marilyn natarła je miętowym olejkiem, od którego powietrze zapachniało Gwiazdką. Przyglądałam się temu wszystkiemu, myśląc, że tak właśnie wygląda życie normalnej rodziny. Po raz pierwszy byłam częścią takiej rodziny.

Cudownie było budzić się wśród śpiewu ptaków i przy trzasku ognia, nad którym matka opiekowała chleb na kijku, a potem nalewała herbatę z blaszanego imbryka, ogrzanego nad płomieniami, zupełnie jakbyśmy trafili do *Domku na prerii*, książki, na której punkcie miałam w dzieciństwie obsesję.

Nawet w lesie cała piątka składała podziękowania za wszystko. Chwytałyśmy się za ręce wokół ognia i pochylając głowy, dziękowaliśmy za posiłek. Oni po kolei wypowiadali modlitwę, a ja

pochylałam się z szacunkiem.

– Dlaczego ty nigdy się nie modlisz? – chciał wiedzieć Thatch, a ja odpowiedziałam, że nie znam żadnych modlitw. Wychowywałam się w domu, w którym nikt się nie modlił.

– Ale bez modlitwy też można być dobrym człowiekiem – dodałam, nakładając sobie z garnka do miski komosę ryżową z jabłkiem, a kiedy uniosłam wzrok, zobaczyłam, że wszyscy przestali jeść. Wpatrywali się we mnie i zdałam sobie sprawę, że pewnie myślą, że moja mama nie jest tego najlepszym przykładem.

– W co wierzysz? – dociekała Chloe.

– W siebie samą – mruknął pod nosem Thatch i zrozumiałam, że muszę na niego uważać.

– Wiara w siebie to bardzo cenna rzecz – powiedziała Marilyn. – Cieszę się, że Mia została jej nauczona.

Popatrzyła na mnie i nasze spojrzenia się spotkały. Byłam jej wdzięczna, że przysłała mi z pomocą, ale jadłam dalej, chciałam tylko, żeby zmienili temat.

Żał mi tych dzieciaków. Ich życie też zostało wywrócone do góry nogami. Connor spytał, dlaczego chcę zachować imię nadane mi przez porywaczkę, a ja mu wytłumaczyłam, że trudno jest zmienić imię, jeśli się go używało przez dwadzieścia jeden lat. Dla mnie Natalie jest jak bliźniaczka, która zmarła przy urodzeniu, ktoś, kogo nigdy nie poznałam.

Chloe spytała, czy tęsknię za moją drugą mamą, lecz zanim zdążyłam odpowiedzieć, wtrąciła się Marilyn.

– Ona nie jest jej drugą mamą! Jest porywaczką!

Poczułam się brudna. Zupełnie jakby Lucy była jakimś wielkim, brzydkim samochodem, który mijając nas w ulewie, ochlapał wszystkich błotem.

Wstałam, poszłam na skraj lasu i przez chwilę oddychałam głęboko, tak jak nauczyła mnie Marilyn.

Nigdy nie czułam tak świeżego powietrza. Miałam wrażenie, jakbym kąpała się w jego nieskazitelności, jakby oczyszczało mnie z brzydoty tego, co się stało. Ale jeśli raz przydarzy ci się coś złego, w twojej głowie ciągle powtarza się to od nowa.

## Lucy

W tym kraju cyfry są uważane za wróżby. Ósemka wróży najlepiej ze wszystkich, mówi Ada, informując mnie o podwójnym szczęściu, jaki niesie numer przydzielonego mi pokoju: osiemdziesiąt osiem. Była zaskoczona, że szef hotelu nie dał tego pokoju Chińczykowi, który mógłby więcej za niego zapłacić. Ada tłumaczy mi, że firmy telefoniczne doliczają dodatkowe opłaty za numery zawierające te cyfry. Czwórka natomiast przeciwnie, jest cyfrą, której należy unikać, ponieważ słowo oznaczające „cztery” brzmi tak samo jak „śmierć”: *si*.

Siedzę z imbrykiem herbaty chryzantemowej przy narożnym stoliku w restauracji Zadovolony Kogut, do której najbardziej lubię przychodzić na śniadanie, i szykuję się na czternasty dzień w tym kraju, dzień zawierający nieszczęśliwą liczbę.

Potem idę do Księgarni Obcojęzycznej. Na początku myślę, że nic się nie zmieniło. Biografie Steve’a Jobsa i Henry’ego Kissingera nadal leżą na wystawie. Ale jeszcze zanim dojdę do działu z gazetami, już widzę to, po co przyszłam. Krew odpływa mi z twarzy. Na okładce magazynu „People” widnieje twarz Mii. Nagłówek krzyczy wielkimi literami: „OCALAŁA Z PORWANIA ROZPOCZYNA ŻYCIE Z DAWNO UTRACONĄ MATKĄ!”. Moja córka ocalała! Jak gdybym wyrządziła jej fizyczną krzywdę. Oczy mnie pieką, gdy podchodzę do stojaka. Oto moja córka, na zdjęciu z Marilyn. Fizyczne podobieństwo między nimi jest uderzające: te same błękitne oczy, jasna cera, kości policzkowe i linia ramion modelki z wybiegu. Niemal czuję na sobie wzrok Mii. Czy cieszy się, że jest z piękną matką, dobrą matką, matką, którą powinna mieć od początku, zamiast ze mną, matką o wyglądzie, jakiego nikt nie dostrzega?

Rozglądam się w prawo i w lewo; zanim sięgnę po magazyn, nie chcę, żeby ktokolwiek mnie z nim zobaczył, jakby to było porno. Kiedy trzymam go w rękach, pocieram kciukiem lśniący policzek Mii i przechodzi mnie prąd, zupełnie jakbym naprawdę dotykała jej twarzy. Nie mam odwagi przejrzeć czasopisma w sklepie. A jeśli jest tam moje zdjęcie? Otaczają mnie ludzie. Może w Ameryce księgarnie plajtują, tutaj jednak wydają się kwitnąć. A jeżeli ktoś zerknie mi przez ramię i połączy fakty? Zabieram ze stojaka wszystkie trzy egzemplarze, po czym przeglądam „Newsweek”. Tam jeszcze nic nie ma. Biorę ze stojaka na gazety „Herald Tribune”, owijam nią lśniące egzemplarze „People”, żeby je ukryć, i przemykam się do kasy, aby zapłacić gotówką; nie chcę ryzykować, płacąc kartą podpisaną nazwiskiem, które mogło zostać wymienione w artykule. Być może kasjerka już go czytała. Może wypowiadała na głos moje nazwisko, ćwicząc angielski, i teraz ma je na czubku języka.

Wybiegam ze sklepu i wracam do hotelu. Dopiero bezpiecznie ukryta za drzwiami mojego pokoju odważam się otworzyć gazetę. Przez łyzy ledwo mogę czytać o radości Mii z poznania „prawdziwej matki”. Mnie nazywają porywaczką, złodziejką dzieci. Ani słowa o tym, jak dobrze

wychowałam Mię, ani wzmianki o drogich szkołach, prywatnych nauczycielach, bajkach na dobranoc, niani na cały dzień czy wyjazdach na plażę i do Disney Worldu. Ani słowa o tym, jak była kochana.

Marilyn, z rozpuszczonymi włosami i w luźnym stroju, wyglądająca jak hippiska, otacza Mię ramieniem, patrząc na upozowaną młodą kobietę, którą ja tak starannie wychowałam, jak gdyby stworzyła ją całą w piwnicy, niczym jedną ze swoich ręcznie robionych ceramik. „Podobieństwo jest uderzające” – głosi podpis. Jednak to podobieństwo nie sięga głębiej niż skóra.

Moje zdjęcie to oficjalna fotografia, wykorzystywana przez agencję w ofertach, na której wyglądam sztywno i mam nieszczerzy uśmiech. „Podejrzewa się, że ukrywa się gdzieś w Chinach...” Nagle czytam coś, od czego serce wali mi jak młotem: „... gdzie prawo jej nie dosięgnie, ponieważ Chiny i Stany Zjednoczone nie mają podpisanej umowy o ekstradycji”.

Mam blade pojęcie, czym jest ekstradycja, dlatego natychmiast muszę poznać dokładną definicję. Idę do komputera w holu. Nie mogę się dostać do Google, ale mam dostęp do internetowego słownika Merriam-Webster.

„Eks-tra-dy-cja – wydanie osoby podejrzanej o popełnienie przestępstwa”, czytam definicję.

Czyli jeżeli zostanę w Chinach, nie będą mogli mnie aresztować? Wpisuję „ekstradycja amerykańskich przestępców z Chin”. (Przestępców! Kiedy piszę to słowo, do oczu napływają mi łzy).

Znajduję wpis na blogu, zatytułowany: „Najlepsze kraje dla obywateli USA, którzy chcą stać się niewidzialni”. Ku mojemu zaskoczeniu Chiny są na szczycie listy. Według autora (jest prawnikiem) dopóki zostanę w Chinach (z wyłączeniem Hongkongu), pozostanę poza zasięgiem amerykańskiego prawa. Przypadkiem udało mi się uciec do kraju, gdzie mogę ukrywać się na widoku.

Ale nie opuszczałam domu z myślą, że wyjeżdżam na zawsze. Myślałam, że przyjazd do Chin będzie tylko interludium, podczas którego zyskam niezbędny dystans, abym pozbiierała myśli i zastanowiła się, co zrobić ze swoją przyszłością.

Jednak czy mogłabym tu zostać? Czy dałabym radę? Czy wystarczy mi odwagi, żeby porzucić moją karierę, przyszłość, rodzinę, jakkolwiek szansę na porozumienie z Mią?

I kim się stanę, odarta ze wszystkiego, co określało moje życie, w miejscu, w którym nie znam nikogo oprócz Wendy – i jak miałabym jej opowiedzieć o swoich kłopotach?

Co bym robiła w kraju, w którym nie mam znajomych, gdzie nie dostanę pracy, nie potrafię wymówić ani słowa w tajemniczym języku? Skończyłam pięćdziesiąt siedem lat. Zgodnie z wynikami badań, które czytałam, wykonując zlecenie dla towarzystwa ubezpieczeniowego, są duże szanse, że przeżyję jeszcze trzydzieści sześć. Nie chciałam spędzić tego czasu tutaj. Ale jakie miałam wyjście? Wrócić do domu i przez resztę życia gnąć w więzieniu?

„Jeśli zostanie skazana, grozi jej maksymalny wyrok dożywocia lub minimalny dwudziestu lat więzienia”.

Wróciłam do pokoju, włączyłam telewizor i przez resztę dnia oglądałam telenowele o dynastii Qing, sama w wąskim łóżku, w pozycji embrionalnej, w ciemnym pokoju, którego numer przynosił szczęście.

## Mia

Chciałabym, żebyśmy zostali w górach na zawsze. Ale musiałyśmy wrócić i rozmawiać z prawnikami, a każdy z nich miał tysiące pytań.

Dali nam stos listów od ludzi, których nie znamy. Jedne były adresowane do mnie, inne do Marilyn. Zupełnie obcy ludzie piszą, że nam współczują. Większość opowiada własne historie. Jak gdyby nas znali. Niektórzy przysyłają w kopertach pieniądze, które Marilyn wpłaca na specjalne konto, prześlemy je na jakiś cel charytatywny. Nie chcemy tych pieniędzy. Listy są rozdzierające. Niektóre z tych dzieci przeszły prawdziwe piekło. Prawnicy nie pozwalają nam odpisywać, co wzbudza w nas poczucie winy.

Razem z Marilyn chodzę na warsztaty kontroli gniewu. W ramach zadania domowego mam pisać pamiętnik i rzucać kamienie do oceanu, żeby pozbyć się uczuć, jakie żywię do kobiety, która mnie ukradła. Dzisiaj pojechaliśmy z Marilyn do Devil's Slide, stanęliśmy na brzegu klifu i pozwalałyśmy, by kamienie wyslizgiwały się nam z palców, gdy wołałyśmy imię Lucy, chcąc wyrzucić z siebie nienawiść, pozbyć się jej, aby nie wsiąknęła w nas i nie zatrzymała naszych kości.

Minął ponad miesiąc, Lucy wciąż czasami dzwoni, ale nie odbieram. Co ona, kurwa, chce, żebym jej powiedziała? Że nic nie szkodzi, że mnie porwała? Że nadal jest moją matką, bez względu na to, jak ohydną, potworną zbrodnię popełniła? Nie chcę z nią rozmawiać, nigdy więcej.

Na psychologii nauczyliśmy się o cechach socjopaty i Lucy ma je wszystkie: czarująca, szczwana, patologiczna kłamczucha.

Jaka to arogancja z jej strony, myśleć, że ma do mnie prawo. Jak śmiała mnie traktować jak swoją własność, zabawkę do strojenia, posyłania do drogich szkół i na obozy, aby móc pokazać, że jest dobrą matką! Była dobrą złodziejką!

Teraz, kiedy obserwuję Marilyn, rozumiem, jaka jest dobra matka: bezinteresowna, troskliwa, zawsze przy swoich dzieciach, wokół których buduje całe swoje życie, aby były szczęśliwe i bezpieczne. Ja nigdy nie byłam dla Lucy na pierwszym miejscu, priorytetem była jej praca. *Ayi* odwaliała całą czarną robotę, podczas gdy Lucy tylko awansowała w swojej wspaniałej agencji. To *ayi* tak naprawdę o mnie się troszczyła, przyrządzała moje ulubione potrawy, słuchała mnie, podtrzymywała mi głowę, kiedy wymiotowałam, siedziała na moim łóżku i opowiadała bajki, żebym nie drapała strupów, kiedy miałam ospę, i nie narobiła sobie blizn. Lucy bardziej troszczyła się o swój komputer niż o mnie!

W drodze do domu otwieram okno, żeby wpuścić zapach słonej wody, wyciągam rękę i pozwalam, by moje włosy unosiły się na wietrze.



## Marilyn

Myślałam, że osiągnęłam stan przebaczenia.

Ciężko pracowałam, żeby zaleczyć wyrwę w sercu. Nauczyłam się żyć ze świadomością, że odeszłam od własnego dziecka, jak się okazało, na dwadzieścia jeden lat.

Myślałam, że cała praca, którą wykonałam z Sonyą i innymi, uwolniła mnie od destrukcyjnej złości nienawiści.

Jednak za każdym razem gdy patrzę na moją córkę, przygniata mnie żal, ponieważ zdaję sobie sprawę, jak wiele zostało mi odebrane. Dzisiaj zobaczyłam bliznę na jej kolanie. Małeńki ślad, nic szpecącego. Mia powiedziała mi, że upadła, kiedy uczyła się jeździć na rowerze. Po jej słowach oczy wypełniły mi się łzami. Powinnam była tam być, żeby ją podtrzymać. Gdybym tam była, nie pozwoliłabym jej się przewrócić. Powinnam była stać przy niej, żeby zobaczyć jej pierwsze kroki, usłyszeć pierwsze słowo, wesprzeć w pierwszym dniu szkoły. Płonę na myśl o kobiecie, która mi ją ukradła. Kobiecie, która potrafiła porwać niewinne dziecko.

Detektyw Brown mówi, że śledztwo jest w toku. Wydano międzynarodowy nakaz aresztowania. Pytałam, dlaczego nie mogą po prostu pojechać po nią do Chin, ale on twierdzi, że im nie wolno. Zamrozili jej paszport. Zawiadomili Interpol. Ona nie może zostać w Chinach na zawsze, mówi. Aresztują ją, gdy tylko znajdzie się w amerykańskiej strefie powietrznej. Nie chcę nienawidzić ludzi. Na świecie jest i tak wystarczająco dużo negatywnej energii. Ale odebranie dziecka to odebranie życia. Ktoś, kto to zrobił, nie zasługuje na łaskę litości.

## Cheryl

Kiedy tamtego dnia po usłyszeniu wiadomości skręciłam za róg, zobaczyłam na naszej ulicy telewizyjne furgonetki. Wtedy zrozumiałam, że to prawda, że to o Lucy mówili w radiu.

Gdy tylko moje opony zachręściły na podjeździe, drzwi furgonetek otworzyły się i zaczęły wysypywać się z nich reporterzy. Biegli do mojego samochodu, co mnie przeraziło. Nagle zewsząd otaczały mnie ręce i kamery i cieszyłam się, że jest zima i mam zamknięte okna. Wcisnęłam pedał gazu i wjechałam na wzgórze. Pilotem otworzyłam drzwi garażu i kiedy za mną opadły, poczułam ogromną ulgę. Doug był już w domu. Musiał przejść przez to samo. Zadzwoniliśmy do chłopców. Obaj mieszkają w pobliskich miasteczkach. Nadal byli w pracy – Sam sprzedaje ubezpieczenia, a Jake uczy w liceum. O niczym nie wiedzieli i nikt ich jeszcze nie niepokoił.

Myśleliśmy z Dougiem, że jeśli zostaniemy w domu, za zamkniętymi drzwiami i zaciągniętymi roletami, reporterzy się znudzą i sobie pójdą. Ale nic z tego. Siedzieli i siedzieli. W końcu któregoś wieczoru otworzyliśmy drzwi i odpowiedzieliśmy na kilka pytań, przekonani, że w ten sposób ich się pozbędziemy. Jednak następnego dnia zrozumieliśmy, jak wielki popełniliśmy błąd. Tamci przekręcili nasze słowa, tak że zabrzmiały, jakbyśmy o wszystkim od początku wiedzieli.

Lucy zadzwoniła do nas dopiero z Chin.

– Czy to prawda? – zapytałam, a ona powiedziała, że tak. – Jak mogłaś?! – krzyknęłam, a ona odrzekła, że to „skomplikowane”. To tak w jej stylu. Zrobienie tego, co proste, okazuje się skomplikowane. Patrzysz na czerń i biel i udajesz, że to szary.

Lucy nawet nie pomyślała, że to, co zrobiła, będzie miało wpływ nie tylko na nią i Mię. Ma wpływ na nas wszystkich. Nasza gazeta to już nie „Echo Emmettsville”. Połączyli się z krajowym dziennikiem, który dociera do każdego miasta w okręgu. Nie mamy już znajomej w redakcji i historia Lucy znalazła się na pierwszej stronie.

Doug jest w radzie szkoły i powiedział, że na zebraniu nikt o niczym nie wspomniał, ale też nikt nie chciał obok niego usiąść. Jake mówi, że rodzice jego narzeczonej martwią się, że córka wejdzie do rodziny z przestępczymi genami; twierdzi, że ślub nadal jest aktualny, ale nie jestem tego taka pewna. Wiem, jaki wpływ mają matki na córki. Moja własna matka martwiła się pochodzeniem Douga. Teraz chodzimy na późne msze do kościoła, żebyśmy nie musieli z nikim rozmawiać.

Przez całe życie starałam się robić to, co słuszne: trwać przy swojej rodzinie, być dobrą obywatelką. Nigdy nie chciałam żyć z rozmachem, jak Lucy. Nigdy nie chciałam się wychylać. A teraz ona rozsławiła mnie na całe miasto: siostra porywaczki.

Ludzie myślą, że ją kryłam. Starzy znajomi ze szkoły wiedzą, że kiedyś tak robiłam. Według

dzisiejszych standardów jej wybryki jako nastolatki były nieszkodliwe, ale trzymałam je w tajemnicy przed naszą matką, a żołądek zawsze miałam ściśnięty ze strachu, że Lucy stanie się krzywdą. Nigdy na nią nie doniosłam, ponieważ byłyśmy siostrami, a siostry trzymają się razem. I wtedy się tak trzymałyśmy.

Może powinnam była coś podejrzewać. Ale widywałam się z Lucy tylko podczas świąt. Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie. Dla mnie to były bardzo pracowite dni, sprzątanie domu, gotowanie. Nie było czasu na długie, siostrzane pogaduszki, podczas których mogłabym wyczuć, że coś jest nie tak, albo ona mogłaby zwierzyć się ze swojego sekretu.

Cieszę się, że nie wyjawiała mi tej tajemnicy. Gdybym wiedziała, pochorowałabym się, musząc zatrzymać wszystko dla siebie. Nic bym nie powiedziała, ale też nie mogłabym z tym żyć. Co innego chronić krewnego, który popełnił, powiedzmy, morderstwo. Nawet jeśli go wydam, nie przywrócisz trupowi życia. Ale ona miała dziecko innej kobiety. Biedni rodzice budzili się dzień po dniu, nie wiedząc, co stało się z ich córeczką. Jak mogłabym pozostać cichym współnikiem czegoś takiego?

Oczywiście najbardziej ucierpiała Mia. Biedna Mia. Próbowałam się do niej dodzwonić, ale nie odbiera telefonu. Sam mówił, że zlikwidowała swoją stronę na Facebooku. Czy można się dziwić biednej dziewczynie?

Napisałam do niej prawdziwy list, zaadresowałam do San Mateo, gdzie mieszka jej rodzina. (Jej rodzina!) Napisałam, jak bardzo to przeżyłam, kiedy się dowiedziałam, co się stało. Chciałam dać jej znać, że my jej nie opuściliśmy. Nadal jesteśmy jej ciotką Cheryl i wujem Dougiem. Nasze drzwi zawsze są dla niej otwarte.

## Mia

Ostatni weekend spędziłyśmy z Marilyn w Ustroniu Przebaczenia. To miejsce, w którym pozbywasz się złości, żeby nie wżarła się w ciebie i nie wywołała raka.

Mam nadzieję, że osoba, której nienawidzę najbardziej na świecie, zostanie w Chinach na zawsze. Nie mogę uwierzyć, że Marilyn może jej wybaczyć to, co zrobiła, ale Marilyn mówi, że miała dwie dekady, żeby się tego nauczyć. Nie oczekuje, że ja nauczę się w jeden weekend.

Warsztaty były dziwne, ale w sumie pomocne. Odbywały się głęboko w pięknym lesie. Było nas około dwadzieścioro. Nie byłam najmłodsza. Uczestniczyło w nich kilku nastolatków, chłopców i dziewcząt, i zastanawiałam się, co strasznego ich spotkało.

Najpierw wybraliśmy sobie bębny. Było ich mnóstwo: duże, małe, pokryte skórą i plastikiem. Prowadząca warsztaty, Meribelle, kazała Marilyn i mnie usiąść naprzeciwko siebie, w odległości dwudziestu jeden kroków, czyli tyłu, ile lat byłyśmy rozdzielone. Waliłyśmy mocno w bębny drewnianymi pałkami, wybijając wiadomości dla Lucy, wszystkie słowa, na które zasługiwała. Nic nie mówiłyśmy, ale bębny przemawiały za nas, gdy tak waliłyśmy w skórę, raz za razem.

– Kłamczucha! Złodziejka! Ty. Nigdy. Nie. Byłaś. Moją. Pierdoloną. Matką. Byłaś moją porywaczką! Zniszczyłaś mi życie!

Potem usiedliśmy w kręgu, Meribelle rozdała kartki i długopisy i poleciła nam napisać błogosławieństwo dla naszego obiektu nienawiści. Moim obiektem jest Lucy. Nie mogłam nic napisać. Zamiast tego poszłam do lasu i zwymiotowałam. Zupełnie jakbym się oczyszczała z brudnej tajemnicy tych wszystkich lat, jakbym usuwała Lucy ze swojego życia. Marilyn przyszła do mnie i przytrzymała moje włosy. Dała mi małą paczkę chusteczek, które pachniały jak róże.

Kiedy wróciłyśmy do kręgu, Meribelle powiedziała, że musimy traktować wszystkie doświadczenia jako cenne. Poprosiła mnie, żebym wymieniła coś dobrego, co wynikło z moich złych przeżyć. Nic nie przychodziło mi do głowy. Najwidoczniej warsztaty mi nie pomagały.

Wtedy Marilyn uściśnęła mnie i powiedziała, że ona może wymienić taką rzecz. Wyjaśniła grupie, że gdybym nie została porwana, nie byłabym osobą, którą jestem, i że ona kocha mnie właśnie taką, jaka jestem. Rozpłakałam się. Chyba właśnie tak czuje prawdziwa matka. Lucy nigdy nie była usatysfakcjonowana tym, kim byłam, zawsze próbowała mnie ulepszać. Lekcje tańca, jazdy konnej, korepetycje, nauka gry na pianinie. Nigdy nie byłam dla niej wystarczająco dobra, zawsze koncentrowała się na moim zewnętrznym wizerunku. Lucy nie widziała niczego poza zewnętrznym wizerunkiem.

## Marilyn

Specjalista od odbudowywania więzi pomógł mi zrozumieć, że podobnie jak kiedyś towarzyszyłam Mii w naturalnym procesie narodzin, tak teraz muszę być położną jej ducha, asystować przy narodzinach nowej osoby, jaką się staje. Spędziłam dwadzieścia jeden lat, szukając mojej córki. Teraz muszę pomóc mojej córce odnaleźć samą siebie.

Złość Mii jest świeża jak niedawna rana. Im prędzej zostanie opatrzona, tym szybciej się zagoi. Nie chcę, żeby – tak jak ja – musiała sobie radzić ze złością, która dojrzewała latami. Ćwiczymy razem jogę, a uzdrowicielka przychodzi do nas do domu i pomaga przepracować złość, zamienić żar w światło.

Prowadzimy dzienniki złości – wszyscy, cała rodzina. Chcę włączyć w ten proces pozostałe dzieci. Martwię się, że przez moją intensywną pracę z Mią mogą się czuć zaniedbywane. Ale jeśli jedno z twoich dzieci płonie, biegniesz do niego, żeby ugasić ogień.

## Thatch

W naszej rodzinie wszystko grało, dopóki nie pojawiła się ona. Teraz wszyscy jesteśmy tak wkurzeni, że musimy zapisywać to w dziennikach. Wydaje mi się, że mama już nie wie, kim jestem, chociaż nadal czasami gładzi mnie po plecach, żeby mi pomóc w przepracowaniu dnia, i powtarza: „kocham cię, kocham cię”. Wczoraj wieczorem siedziała na moim łóżku i mnie głaskała, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem stojącą w drzwiach Mię. Jadła z torebki krakersy, które wcześniej mama zabraniała nawet wnosić do domu. Ona jest jak studentka na wymianie, wszystko jej wolno. Wiedziałem, że mama natychmiast wstanie i do niej podejdzie, i tak się stało. Mia nigdy nie wchodzi do naszego pokoju. Powiedziała Chloe, że u nas brzydko pachnie.

## Lucy

Zeszłej nocy obudziłam się i wiedziałam, że coś jest nie tak. Pościel była mokra. W jednej chwili płonęłam, w następnej wstrząsały mną dreszcze. Uznałam, że to zatrucie pokarmowe, pewnie po zjedzeniu mango, które kupiłam na ulicy i z głupoty nie umyłam go przed obraniem. W głowie mi dudniło i nie mogłam przestać kasłać. Dużo kaszlę, odkąd tu przyjechałam. Myślałam, że powodem jest zanieczyszczenie powietrza. Jednak ten kaszel był gorszy. Wzięłam kilka tabletek advilu, który przywiozłam z domu, ale nie pomogły. Nagle zachciało mi się pić. Zatęskniłam za wodą sodową. Dlaczego w Chinach nie ma wody sodowej?

O świcie byłam przekonana, że złapałam coś okropnego. SARS<sup>15</sup>? Ptasia grypa? Wyobraziłam sobie, że umieram samotnie w tym małym pokoju. Ostatnią rzeczą, jaką bym zobaczyła, byłoby różowe krzesło przykryte białym pokrowcem i zawieszka na drzwiach, upominająca gości, by nie palili ani nie robili innych obrzydliwych rzeczy w łóżku.

Gdy w końcu nadszedł ranek, z holu zadzwoniła Ada, ale powiedziałam recepcjonistce, żeby ją odesłała. W pokoju panował teraz mróz. Był marzec, jeden z najzimniejszych w historii. Grzejnik na ścianie zaczynał odliczać godzinę, gdy tylko wrzuciłam monetę. Nie miałam już właściwych monet. Przez cały dzień zasypiałam i się budziłam, a następnego ranka leżałam przykryta wszystkimi ubraniami, które przywiozłam, i cienkimi hotelowymi ręcznikami, ale nadal trzęsłam się z zimna. Nie odesłałam już Ady. Poprosiłam, żeby weszła na górę. Wyraz jej twarzy powiedział mi, że wyglądam tak źle, jak się czuję. Była przerażona i zdałam sobie sprawę, że pod tym eleganckim ubraniem to jeszcze dziecko. Nie mogła mi pomóc. Dałam jej numer Wendy i poprosiłam, żeby do niej zadzwoniła. Nie chciałam narzucać się Wendy. Co miałabym jej powiedzieć? Ale zmusił mnie do tego strach. Potrzebowałam jej pomocy. Potrzebowałam lekarza.

Nie minęła godzina, a Wendy i jej mąż stali przy moim łóżku, nie zadając żadnych pytań. Na widok jej znajomej twarzy, czując dotyk jej chłodnej dłoni na czole, zaczęłam szlochać z ulgi. Szpital, do którego mnie zabrali, był czysty i dobrze zorganizowany. Obawiałam się zaufać lekarzom, których nie rozumiałam, ale dodała mi otuchy widoczna wiara Wendy w umiejętności tych miłych ludzi o otwartych twarzach, którzy nosili nieskazitelnie białe fartuchy i wesole czapki marynarskie. Wendy została ze mną podczas badania. Lekarz obejrzał mi język, wyciągając go z moich ust dalej, niż to wydawało się możliwe, obmacał mi szyję, przyciskał zimne oko stetoskopu do moich spoconych pleców. Z zaskoczeniem odkryłam, że te znajome czynności mnie uspokajają.

Nie potrafiłam zrozumieć ani słowa z tego, co mówił, a Wendy zajęło dużo czasu, zanim, przewracając strony małego słownika w czerwonej, winylowej okładce w poszukiwaniu właściwych słów, przetłumaczyła mi diagnozę. Ten sam słowniczek nosiła przy sobie, kiedy Mia

była mała. Teraz potrzebuje okularów do czytania, żeby widzieć litery.

Powiedziała coś, czego nie zrozumiałam, i spojrzałam na słowo, które wskazywała.

Zapalenie płuc. Moja stryjeczna babka na nie zmarła. Ale to było w Szkocji, zanim wynaleziono antybiotyki.

Jednak i tak byłam przerażona.

[15](#) SARS – zespół ciężkiej niewydolności oddechowej.



## Lucy

Nie wiem, jak bym sobie poradziła bez Wendy. Po wyjściu ze szpitala zabrała mnie do domu, twierdząc, że jej mąż i syn nalegali, abym u nich wracała do zdrowia. Tym bardziej doceniam ich uprzejmość, że mieszkanie nie było duże, tylko cztery wąskie pokoje w uroczym, starym domu stojącym w brukowanej alejce. Podobnie jak moja siostra, Wendy mieszka w tym samym domu, w którym się wychowywała. Jej rodzice odeszli. Matka zmarła dwa lata temu w pokoju, w którym teraz mieszkam, a który należy do syna Wendy. Lin twierdzi, że nie ma nic przeciwko spaniu na kanapie. Ma trzydzieści sześć lat i czeka na przydział mieszkania, bez którego nie może się wyprowadzić z domu rodziców. Przydziały trafiają w pierwszej kolejności do żonatych. Lin mówi, że zapewne będzie jeszcze długo czekał.

Wendy kuruje mnie zupami, herbatami i łagodnym daniem z ryżu, które gotowała, gdy Mia była chora, *xi fan*. Mia błagała o nie, nawet kiedy była zdrowa, i teraz wiem dlaczego. To treściwa, pyszna potrawa, przypominająca ryżowy pudding.

Nie mam pojęcia, jakie biorę leki. Trzy razy dziennie połykam pełną łyżkę słodkiego, kleistego, ciemnego syropu z butelki, na której etykiecie widnieje coś, co przypomina winogrona. Wendy mówi, że to nieśplik. Biorę też tabletki, różowe, błyszczące, wielkie jak dla konia. Cokolwiek to jest, wydaje się działać. Nic nie płaciłam, ani za lekarstwa, ani za wizytę. Nie wiem, czy to dzięki Wendy, czy też opieka zdrowotna jest bezpłatna dla wszystkich, nawet dla obcokrajowców. Wendy mówi, że w Chinach bycie lekarzem to służba, tak jak zawód nauczyciela.

Piszę to na komputerze Lina, na rękach – na co nalegała Wendy – mam białe rękawiczki, żebym nie roznosiła zarazków, chociaż lekarz twierdzi, że już nie zarażam.

Komputer Lina jest podłączony do internetu. Wyposażył go w coś, co się nazywa VPN, co pozwala mu pokonać Wielką Chińską Zaporę. Nie mam już adresu e-mailowego, widać firma zlikwidowała moje konto. Powinnam była słuchać młodych w pracy, którzy radzili mi, żebym założyła sobie prywatne konto. Miałam kiedyś konto na AOL, ale je zamknęłam po tym, jak niechcący wysłałam porno do wszystkich odbiorców z książki adresowej.

Jestem zaskoczona, że tak bardzo tęsknię za biurem. Zwykle nie mogłam się doczekać, żeby z niego uciec, nie tylko na wakacje z Mią, ale też na małe wypadki, które sobie fundowałam, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach. Czasami wychodziłam wcześniej na lunch i szłam do kina. Jeśli odwoływano spotkanie na koniec dnia, zaskakiwałam Wendy i zabierałam Mię do parku. Jakże uprzywilejowana wtedy się czułam, mogąc patrzeć na moją córkę, skapaną w karmelowym słońcu późnego popołudnia.

Jednak teraz dałabym wszystko za biurową koleżeńską atmosferę, błahe pogawędki o pogodzie albo nawet niezręczną ciszę w windzie. Oczywiście to pragnienie jest niczym w porównaniu

z tęsknotą za Mią. Ból tęsknoty za nią nigdy nie znika, jak siniak, którego bez przerwy dotykam, żeby sprawdzić, czy nadal boli.

## Lucy

W domu Wendy staram się nie wchodzić nikomu w drogę.

Wypracowaliśmy sobie rutynę. Budzę się o szóstej, gdy dzwonią ich budziki, które mają zabawny, obcy dźwięk. Kto by pomyślał, że sygnał budzika może brzmieć tak egzotycznie: brip, brip, brip. Czasami budzik jest zbędny, jeden z sąsiadów ma koguta i często jego irytujące pianie słyhać dużo wcześniej. Dom jest stary, ma cienkie ściany. Leżę w łóżku, wciąż osłabiona chorobą, i starając się nie kasłać, słucham głosów rodziny, szykującej się do pracy. Upajam się myślą, że nie muszę tego robić. Tutaj jestem bezrobotna, moja kariera zawodowa się skończyła, ale chociaż ten fakt wzbudza we mnie obawę i żal, cieszę się, że nie muszę wstawać rano.

W domu jest tylko jedna łazienka. Słyszę szum wody w rurach, spluwanie pastą do umywalki. Potem zgrzyt czajnika, brzęk sztućców, dudnienie spikera telewizyjnego, wyśpiewującego wiadomości. Język chiński jest toniczny i brzmi jak pieśń. Cieszę się, że wiadomości dotyczą głównie Chin. Czuję zapach gotowanych na parze *baozi*, poduszczyków ciasta kryjących niczym sekret pyszne, mięsne nadzienie.

Wszyscy wychodzą przed siódmą. Wendy do sklepu z kosmetykami, Feng do swoich zajęć inspektora, Lin do banku – i kiedy słyszę odgłos zamykanych drzwi frontowych, zapadam z powrotem w sen, a gdy się budzę, podgrzewam wodę w czajniku na herbatę. To wielki, żelazny czajnik, ciężki i stary, z drewnianą rączką, wyżłobioną przez lata kciukami matki i babki Wendy.

Chociaż prosiłam, żeby tego nie robiła, Wendy zostawia mi moje ulubione śniadanie, jajka herbaciane: brązowe jajka, gotowane w przyprawie pięciu smaków i marynowane w skorupkach, które pękają, tak że białka są nakrapiane jak stare lustro. Wendy mówi, że te jajka są dobre dla mojego *chi*.

Jej praca jest dobra, mówi. Dostaje prowizję od kosmetyków do makijażu, które sprzeda. To zajęcie znalazł dla niej przyjaciel rodziny, kiedy wróciła ze Stanów. Ironia polega na tym, mówi, że pojechała do Stanów zarabiać pieniądze, a gdy jej nie było, Śpiący Smok się obudził i teraz ludzie, którzy zostali w Szanghaju, są bogatsi niż ci, co wyjechali szukać fortuny gdzie indziej. Zastanawiam się, czy żałuje, że zostawiła Lina na te wszystkie lata, i czy on ma żal, że wychowywał się bez matki. Ale oczywiście nie znam języka – ani nie mam na tyle śmiałości – żeby o to zapytać.

Wendy wraca do domu o trzeciej, przywozi na rowerze plecioną siatkę pełną zakupów. Zdejmuje służbowy uniform: ciemne spodnie i białą marynarkę z imieniem, wyszytym czerwoną nitką na kieszeni. Znaki jej imienia wyglądają jak małe, walczące psy. Potem schodzi na dół, żeby poćwiczyć. Tańczy swinga! Najwidoczniej swing zastąpił tai chi w roli jej ulubionych ćwiczeń. Spotyka się z innymi osobami w swoim wieku – głównie kobietami – na podwórzu. Gromadzą się wokół przenośnego odtwarzacza CD, ryczącego stare amerykańskie piosenki

śpiewane przy ognisku, typu *Moon River*, i tańczą jak aktorzy w czarno-białych filmach. Po godzinie wraca na górę i siadam z nią w kuchni, gdzie kroi warzywa. Nie pozwala mi pomóc. Wciąż się boi moich zarazków.

Ciach! Ciach! Ciach! Patrzę zafascynowana, jak uderza grubym tasakiem po cebulach, marchwiach, imbirze i fasoli, w sekundę zmieniając je w wiele drobnych kawałków.

Jeszcze jej nie powiedziałam, dlaczego jestem w Chinach. Nie mogę się zmusić, żeby wszystko jej wyznać. Co zrobię, jeśli mnie wyrzuci?

## Mia

Jestem trzy tygodnie starsza, niż myślałam. Lucy nie tylko zmieniła mi datę urodzenia, ale i znak zodiaku.

Przez całe życie czytałam horoskopy, przekonana, że jestem Bykiem: powłóczącym nogami, powolnym, nie lubiącym ruchu. Myślałam o sobie jako o byczku Fernando z książeczki dla dzieci, który siedzi pod drzewem i wacha kwiatki.

Ale ja nigdy nie chciałam tylko siedzieć i wachać kwiatków. Za każdym razem gdy czytano mi tę książeczkę, myślałam, jak bardzo się różnię od Fernanda. Gdybym nim była, nie chciałabym siedzieć na łące, wybrałabym o wiele bardziej ekscytujące życie na arenie.

Teraz widzę w tym sens. Jestem Baranem. To znak ognia, oznacza, że masz mnóstwo energii.

W moje urodziny Marilyn zabrała mnie do astrolożki, żeby mi postawiła horoskop. Na początku nie chciałam iść, ale widziałam, że dla niej to naprawdę ważne, a to były pierwsze moje urodziny, które razem świętowaliśmy, więc uznałam, że jestem jej to winna. To była miła wycieczka.

Dom astrolożki znajdował się wysoko na wzgórzach niedaleko San Francisco, była to chata z sekwoi, którą sama zbudowała w głębokim lesie. Żeby dojść z podjazdu do drzwi frontowych, musiałyśmy przedostać się przez mostek nad strumykiem, i cieszyłam się, że włożyłam vansy, bo obcasy sandałów Marilyn klinowały się między deskami. W oknach były witraże, drzwi wieńczył łuk ze starego drewna, a gdy tylko się otworzyły, widać było koty skaczące po wykładanych dywanem półkach drapaków. Na ich widok zatęskniłam za Dynkiem. Opiekuje się nim dziewczyna z naszej kamienicy, wymieniamy SMS-y.

W domu Sonyi unosił się silny zapach kotów. Było ich chyba z pięć i zobaczyłam to miejsce tak, jak widziałyby je Lucy: dom zwariowanej kociary szarlatanki. Lucy gardziłyby tym, co robiłyśmy. Ale dlaczego jeszcze w ogóle obchodzi mnie, co ona myśli? Dlaczego interesuje mnie opinia kogoś, kto nie jest moją matką, kto jest dla mnie nikim?

Najpierw Sonya obejrzała moje dłonie.

– Widzisz, jak twoja linia życia tutaj się rozdziela? – zapytała, przyciskając krwistoczerwony paznokieć do wnętrza mojej ręki. – To oznacza traumę, którą przeżyłaś w pierwszym roku życia.

Oczywiście już wiedziała, co mnie spotkało, gdy byłam malutka. Jednak słuchałam z zainteresowaniem, kiedy mówiła, jaką rolę odgrywają planety w tym, co nas spotyka.

Na przykład w tym roku moje słońce przecina Pluton. To planeta gruntownej przemiany, dzięki której człowiek staje się świadomy tego, co się wokół niego dzieje.

– Twoja mądrość przyjdzie w półcieniu. – Nie zrozumiałam, co miała na myśli. – To przestrzeń między zupełną ciemnością a pełnym światłem – wyjaśniła. – Cień, który pada, gdy mijają się dwa ciała.

Zapytałam, za kogo wyjdę za mąż. Odpowiedziała, że takich rzeczy nie potrafi przepowiedzieć.

## Marilyn

Sonya bardzo mi pomogła, gdy przyjechałam do Kalifornii. Nauczyła mnie ufać mojemu instynktowi, że moja córka nadal jest wśród żywych na tym świecie. Nauczyła mnie doceniać moją świętą energię. Poszłam do niej, kiedy poznałam Granta, żeby się dowiedzieć, czy do siebie pasujemy. Chciałam być pewna, że nie popełniam błędu. Sonya zapewniła mnie, że Grant jest dobrym, kochającym człowiekiem, który będzie mnie wspierał w mojej drodze. Nasze horoskopy były kompatybilne.

Często odwiedzałam Sonyę w okolicach urodzin Natalie – Mii. Te wszystkie puste dni urodzin, kiedy pragnęłam przytulić swoją pierworodną. Nigdy nie miałam szansy świętować z nią nawet jednej rocznicy. W dniu, w którym skończyła rok, już od ośmiu miesięcy nie była ze mną.

W kwietniu zeszłego roku Sonya powiedziała, że czuje bliskość uzdrowienia. Co to znaczy? – chciałam wiedzieć. Że moja córka zostanie odnaleziona? Czy też że nigdy nie wróci, ale ja się z tym pogodzę? Chociaż to niemożliwe, pomyślałam.

Sonya odrzekła, że nie widzi żadnych szczegółów, może tylko powiedzieć, że nadchodzi jakaś zmiana. Kilka miesięcy później siedziałam w księgarni, słuchając głosu kobiety, która zabrała mi dziecko.

Inteligencja duchowa przywiodła moją córkę z powrotem do mnie. Chciałam, żeby poznała moc tej inteligencji.

## Mia

Po postawieniu mi horoskopu Sonya zaprowadziła nas do ogrodu, gdzie w trawie leżały szklane kule, a na drzewach dźwięczały kryształki. Na skraju stawu było małe, kamienne palenisko, w którym płonął niewielki ogień.

Sonya podała mi kawałek cienkiego papieru ze złotą obwódką.

– To naczynie na wszystkie twoje lęki i zmartwienia – powiedziała. – Na wszystko, czego się obawiasz, co cię przeraża. Zgnieć ten papier najmocniej jak możesz i wrzucić go do ognia.

Spojrzałam na Marilyn. Stała obok Sonyi. Obie patrzyły na mnie z powagą i poczułam, jak mur mojego wewnętrznego oporu zaczyna kruszeć. Dlaczego mam nie wierzyć, tak jak one, w siłę dobra na tym świecie? Wiara jest pierwszym krokiem, by coś się spełniło – głosił jeden z plakatów, na który patrzyłam co rano po przebudzeniu. Wisi nad łóżkiem Chloe w pokoju, który dzielimy. Moje zgryźliwe, nowojorskie „ja” podpowiada, że to banał, ale tak wiele rzeczy, w które wierzyłam, okazało się nieprawdą. Może potrzebuję innego systemu wartości.

Wzięłam kawałek papieru i zwinęłam go w kulkę, którą ścisnęłam dłonią z rozszczępionymi liniami życia.

– Rzucając, pomyśl życzenie – dodała Marilyn i musiałam chwilę się zastanowić, czego sobie życzę.

Od lutego wiele razy życzyłam sobie, żeby moje życie przewinęło się wstecz, żebym mogła wrócić do normalności, żeby wszystko było takie, jak kiedyś, żebym nie wiedziała tego, co wiem. Żebym mogła się obudzić i znowu być zwykłą, szczęśliwą dziewczyną. Zamknęłam oczy i zażyczyłam sobie, żeby słońce wtopiło się w mój mózg i wypaliło wszystkie wspomnienia o Lucy.



## Marilyn

Gdy Mia pomyślała życzenie – oczywiście zastanawiałam się, co to było, i miałam nadzieję, że nie miało ono nic wspólnego z Lucy – zabrałyśmy ją na spacer na szczyt wzgórza, gdzie wiatr wieje z wystarczającą siłą, by zdmuchnąć wszystkie negatywne emocje, i czujesz, jak wypełnia cię nowa energia, nowe życie.

Sonya i ja wzięłyśmy się za ręce, tworząc wokół Mii małeńki krąg, złączyłyśmy dłonie przy jej łokciach.

Sonya dała jej krótkie błogosławieństwo życia:

– Teraz twoje życie jest błogosławione, bogate i pełne pod każdym względem. Teraz jesteś połączona z prawdą o swym istnieniu i już nigdy się nie zagubisz ani nie zostaniesz ukradziona.

A ja dałam jej błogosławieństwo matki. Mój głos drżał, gdy mówiłam:

– Kocham cię i kochałam od tego dnia dwadzieścia dwa lata temu, gdy przeszłaś przeze mnie na ten świat.

Ona ma śmiech mojej babki, oczy mojego ojca. Pochyliłam się, żeby pocałować Mię, jej włosy musnęły moją szyję, a wtedy wypełniłam się wdzięcznością za jej oszałamiającą bliskość.

Miała zarumienioną twarz. Uśmiechnęła się do nas nieśmiało i zapragnęłam, byśmy mogły pozostać na zawsze w tej magicznej chwili, na szczycie wzgórza, chroniąc moją córkę na wieczność w kręgu naszych ramion.

## Mia

Kiedy wróciliśmy od Sonyi, dom był udekorowany krepiną i balonami.

Nigdy wcześniej nie miałam domowego tortu. Ayi nie piekła, Lucy zawsze zamawiała torty w eleganckiej cukierni na East Side. Wyglądały idealnie i nawet nieźle smakowały, ale wspaniale było dostać tort zrobiony w domu. Był przekrzywiony, z lukrem różowym od soku z granatów, ozdobiony dookoła ciasteczkami w kształcie zwierząt, mającymi mi przypominać, jak poinformowała mnie Chloe, zoo w Central Parku, o którym jej opowiadałam jako o jednym z moich ulubionych miejsc. Kiedy byłam mała, uwielbiałam przesiadywać w ciemnym pomieszczeniu, obserwując podwodny balet polarnych niedźwiedzi, i Chloe powiedziała, że chociaż tam nie była, to od teraz tamto zoo też jest jej ulubionym miejscem.

Jak bardzo różniły się te urodziny od poprzednich. Na dwudzieste pierwsze przyjaciele urządzili mi szalone przyjęcie. Zaczęliśmy w Middlebury, a skończyliśmy w Nowym Jorku, oglądając wschód słońca nad Coney Island. Czuję ukłucie żalu, kiedy o nich myślę. Nie poznaliby mnie teraz. Sama siebie nie poznaję.

Gdzie jest ta zdecydowana dziewczyna, która zawsze wiedziała, czego chce? Już w przedszkolu robiłam listy spraw do załatwienia, nawet dla kota. Na dwunaste urodziny poprosiłam o kalendarz z organizerem. Kiedy byłam nastolatką, miałam przygotowane szczegółowe plany na następnych pięć lat. Gdzie jest ta dziewczyna, tak pewna siebie? Nie mam pojęcia.

Kiedy pokroiłam tort, dostałam prezenty. Chloe dała mi magiczną kulę numer 8<sup>16</sup>. Connor i Thatch zabawne skarpetki do jogi. Grant podarował mi drewniane pudełko, które sam zrobił, a w środku był prezent od Marilyn: zdjęcia zrobione, kiedy byłam noworodkiem, których nigdy nie widziałam, fotografie maleńkiego niemowlęcia w szydełkowej czapeczce, owiniętego w kocik w paski. Patrząc na to dziecko, przełykałam łzy, ponieważ wiedziałam, co je wkrótce spotka.

<sup>16</sup> Magiczna kula numer 8 – czarna kula, która po potrząśnięciu udziela odpowiedzi na zadane pytanie.

## Lucy

Czwarty kwietnia. Dzisiaj jest tutaj święto państwowe. Oczywiście nie z powodu urodzin Mii. To Qingmingjiejie, chińskie Święto Zmarłych.

Wyobrażam sobie Mię po raz pierwszy obchodzącą swoje prawdziwe urodziny i aż brakuje mi tchu. W poprzednich latach świętowałyśmy ten dzień, choć o tym nie wiedziała, zabierałam ją na przedurodzinową kolację albo dawałam jej wcześniej jeden z prezentów.

Wendy, jej męża i syna nie ma w domu, poszli uprzątnąć groby przodków i zanieść zmarłym podarki. Wzięli ze sobą miski pełne bananów i liczi, kumkwatów i gruszek. Lin zabrał butelkę *maotai*<sup>17</sup> i miliony w papierowych pieniądzach. Powiedział mi, że w dawnych czasach ludzie zanosili na groby prawdziwe złoto, ale było zbyt wiele kradzieży. Teraz zamiast tego palą złoty papier.

Wskaźnik ilości smogu jest dziś pomarańczowy, co oznacza, że powietrze w Szanghaju jest na tyle czyste, że można otworzyć okno. Gdy otwieram stare, drewniane okna, do pokoju wpada wiosenny wiatr, który oczyszcza dom z dymu kadzidełek płonących przed małym ołtarzem ustawionym na cześć rodziców i dziadków Wendy na komodzie w jadalni.

Jak mogę się odwdzięczyć Wendy i jej rodzinie za ich gościnność? Tutaj, w ich kraju, nie mam nic do zaoferowania. Palę dolara na ołtarzyku, między pałeczkami kadzideł, i szepczę podziękowania.

Z ulicy napływają smutne pieśni żałobne, są raz głośniejsze, raz cichsze, śpiewają je rodziny odbywające obowiązkową pielgrzymkę na groby. Ja też opłakuję kogoś utraconego, przytłoczona tęsknotą za moją córką. Jak dobrze, że jestem sama w domu, mogę chodzić po pokojach i szlochać w samotności, zamiast tłumić płacz poduszką, co robię, kiedy myślę o tym, co uczyniłam i co straciłam, przytłaczają mnie tak, że nie mogę w nocy spać.

Znajduję na podłodze kwadrat złotego papieru, Lin musiał go upuścić, gdy wychodził. Wkładam kartkę do popielniczki, idę do swojego pokoju – pokoju Lina – i siadam przed zdjęciem Mii w owalnej, srebrnej ramce. Kiedyś stało na naszym pianinie. Jedną z zapalniczek podpalam papier i patrzę, jak płonąc, rozświecła jej uśmiech. Potem oddaje ją ciemności, spaliwszy się na popiół, podczas gdy ja opłakuję, razem z milionami innych Chińczyków, stratę ukochanej osoby.

<sup>17</sup> Maotai – gatunek chińskiej wódki.

## Lucy

Kiedyś, dawno temu, zastałam Wendy wyglądającą przez okno w salonie. Zapytałam, czy coś się stało. Odwróciła się do mnie ze łzami w oczach.

– Już nie jestem Chinką – powiedziała. – Nie jestem też Amerykanką. Jestem kobietą bez kraju.

Tym właśnie jestem, tu, gdzie uciekłam. Kobieta bez kraju. Oczywiście mam szczęście, że znalazłam schronienie. Ale jak mam tutaj spędzić resztę życia? Nie mogę pracować bez dokumentów. A nawet gdybym je miała, jaką pracę mogłabym dostać, skoro nie znam języka? Przychodzi do mnie nauczyciel, lecz nie łudzę się, że kiedykolwiek będę biegle władała chińskim. Jednym z niewielu chińskich słów, które, jak mi się wydawało, znałam, było „światło”. To było pierwsze chińskie słowo, wymówione przez Mię. *Dengdeng*. Wendy ją nauczyła, pokazując na smugi światła na suficie. Ale mój nauczyciel wyjaśnił, że *dengdeng* wcale nie oznacza światła. Światło to *deng*. *Dengdeng* to dziecięce zdrobnienie, jak nazywanie konia konisiem. Tylko dzieci tak powtarzają słowa. Tutaj zawsze będę mówiła jak dziecko, osoba z dziecięcymi myślami, jak imbecyl.

Zamiatam frontową werandę starą miotłą ze słomy, a wiatr niweczy moją pracę, nawiewając płatki wiśni. Obok werandy rośnie krzak z kłębowiskiem żółtych liści, równie nieposkromionych jak włosy Mii, kiedy wyszła spod prysznic, zanim ujarzmiła je grzebieniem o szerokich zębach. Jak przytłoczona czułam się czasami przez te włosy, przez jej upór, by zostawić je nierozczesane, kiedy odmawiała szczotkowania, utrzymując, że niszczy końcówki. Gdzieś to wyczytała, twierdzenie niedorzeczne dla mnie, wychowanej w nawyku codziennego szczotkowania włosów po sto razy. Ile wysiłku wkładałam w jej schludny wygląd, który dla mnie oznaczał lśniącą, gładką falę spływającą po plecach bluzy szkolnego mundurka. Teraz rozumiem, że jej protesty były niegroźną próbą zaznaczenia własnej indywidualności. Żałuję, że jej nie uległam.

– Przepraszam – rzucam bezwartościowe słowo w podmuch wiatru.

Błędy, które popełniłam jako matka. Żale. Dni Mii były dokładnie rozpisane: spotkania towarzyskie, ćwiczenia i zajęcia dopasowane do siebie jak elementy układanki. Żadnej niezaplanowanej chwili, w której umysł mógłby odpocząć. Powinnam była pozwolić jej na nudę. Powinnam być mniej pobłażliwa, bardziej czujna. Powinnam była spędzać z nią więcej czasu po wyjeździe Wendy. Czy Marilyn poradziłaby sobie lepiej? Nie mogę myśleć w ten sposób.

Nie mogę dostać pracy.

Nie mogę zaprzyjaźnić się z nikim spośród mieszkających tu obcokrajowców, którzy na pewno będą mnie oceniali tylko przez pryzmat tego, co najgorszego zrobiłam.

Moja wiza jest ważna jeszcze przez siedem miesięcy. A co potem? Co się ze mną stanie?

Opadające płatki układają się w różową ścieżkę i wyobrażając sobie, że nią podążam, ruszam drogą ku zapomnieniu.

## Mia

Dzisiaj Marilyn zapytała mnie o Lucy.

Kłęcząca na małych podkładkach, przywiązanych do kolan, i nie podnosiła wzroku znad rukoli, którą zrywała na kolację. Ja zbierałam do koszyka pomidorki cherry. Ogrodnictwo to dla mnie nowość i wciąż nie przestaje mnie zadziwiać, że można wyjść do własnego ogródka i zerwać sobie obiad.

– Czy była dobrą matką? – chciała wiedzieć Marilyn.

Nigdy wcześniej nie pytała o Lucy tak bezpośrednio, a ja nie chciałam z nikim tutaj o niej rozmawiać. Zwłaszcza z Marilyn. Zresztą dlaczego miałyby chcieć rozmawiać o mojej drugiej mamie. Nie mogę nazywać Marilyn mamą. Staram się nie nazywać jej w żaden sposób.

Kiedy wahałam się, co odpowiedzieć, wstała ze swoim koszykiem, a ja patrzyłam, jak podkładki na jej nogach kołyszą się w tył i w przód, gdy szła ku mnie, żeby mi pomóc przy pomidorach.

Lucy nie była taką domową mamą jak Marilyn, która codziennie na śniadanie robi nam fioletowy koktajl, zaskakująco smaczny, budząc nas rykiem miksera, zdobiącego kafelki w kuchni kolorowymi plamkami jarmużu, buraków i marchewek, podaje nam tylko chleb upieczony własnymi rękami i trzyma w garażu ogromną zamrażarkę pełną domowych przekąsek, popakowanych w oszronione torebki. Jedyne, co znajdowało się w naszym małym zamrażalniku w Nowym Jorku, to litrowe pudełka lodów i niebieskie opakowania po opatrunkach chłodzących, pozostałe po moich kontuzjach na wuefie.

Lucy nie witała mnie w progu, kiedy wracałam ze szkoły, z przekąską i pytaniem, jak minął mi dzień – robiła to *ayi*. Nie gotowała, chyba że nie było *ayi*, a wtedy i tak zwykle zamawiałyśmy coś na wynos. Lucy nie spędzała na byciu matką nawet połowy tego czasu, co Marilyn. Dlatego powiedziałam coś, co wydawało mi się prawdą i co, jak wiedziałam, Marilyn chciałaby usłyszeć.

– Nie była tak dobrą matką jak ty.

Lecz gdy tylko wypowiedziałam te słowa, zalała mnie fala wspomnień: zapach koszuli Lucy, gdy siedziałam za nią w foteliku rowerowym, mijając biegaczy w Central Parku, i to, jaka byłam podekscytowana, kiedy jeden z nich przybił mi piątkę; robienie domowej ciastoliny przy kuchence, kiedy pozwoliła mi mieszać i dodawać krople barwników; jej dłonie pokryte klejem, kiedy nie spała przez całą noc, pomagając mi w piątej klasie przy mapie Egiptu z papier *mâché*; jej podniecenie, gdy dostałam rolę Tomka w *Tomku Sawyerze*, i żal, że nie będzie mogła być na premierze, i jak przyleciała wcześniej ze spotkania w Londynie i zaskoczyła mnie, siadając w pierwszym rzędzie. Zabierała mnie na zdjęcia do reklam, gdzie odrabiałam lekcje, siedząc w fotelu reżysera, a wszyscy wychodzili ze skóry, żeby mi się przypodobać, bo była szefową. Kiedyś zobaczyłam w windzie Sarah Jessicę Parker; na innym piętrze był kręcony *Seks*

w wielkim mieście, a Lucy zaczepiła ją i przedstawiła mnie, jakbym była kimś ważnym.

Policzki Marilyn skrywał cień, rzucany przez wielki, słomkowy kapelusz, który nosiła, żeby nie dostać zmarszczek, ale gdy go poprawiła, dostrzegłam w jej oczach łzy. Zrozumiałam, że powiedziałam coś niewłaściwego. Nie chciała usłyszeć, że moje dzieciństwo nie było idealne.

– Ale uwielbiałam mieszkać w Nowym Jorku – dodałam. – Lubiłam chodzić z klasą do muzeów i na musicale na Broadway, i co roku na Gwiazdkę na *Dziadka do orzechów*, i spędzać przerwy w Central Parku, i przyjęcia urodzinowe ze spaniem w Plaza, jak Eloise<sup>18</sup>.

Nagle rozbolał mnie brzuch. Tęskniłam za tym wszystkim. Tęskniłam za mamą. Tęskniłam za tym, jak siedziałyśmy na sofach naprzeciwko siebie i oglądałyśmy *Kochane kłopoty*. Tęskniłam za swoim łóżkiem, swoim pokojem, tęskniłam za rzeczami, za którymi nie spodziewałam się, że będę tęsknić, na przykład za zapachem naszego mieszkania, miejsca, do którego nigdy nie będę mogła wrócić. To wywołałoby zbyt wielki smutek.

– Mamo, patrz! – rozległ się głos Chloe z drugiego końca ogrodu, gdzie skakała na trampolinie, którą oni nazywają batutem.

Każde z nas powinno skakać na nim przez pół godziny dziennie, żeby przetransportować substancje odżywcze przez nasz organizm i pozbyć się toksyn.

Ale Marilyn nie patrzyła. Zamknęła mnie w uścisku. Poczułam słodki, miętowy zapach kosmetyków Dr. Bonner's, których wszyscy tu używamy zamiast żelów i mydeł zawierających aluminium.

Zwykle gdy mnie przytulała, rozluźniałam się w jej objęciach, tym razem jednak coś we mnie stawiało opór.

– Mamo, patrz! – zawołała znowu Chloe, skacząc jeszcze wyżej. Nie mogła zrobić sobie krzywdy, trampolina była otoczona siatką ochronną.

– Ja patrzę! – krzyknęłam do Chloe, ale wiedziałam, że to nie mojej uwagi pragnie.

<sup>18</sup> Eloise – bohaterka książek Kay Thompson, mieszkająca w Hotelu Plaza.

## Marilyn

Mia za mało śpi. Czasami Chloe się budzi i widzi, jak ona czyta coś na iPadzie, leżąc w łóżku. Powtarzam Mii, że blask wyświetlacza źle wpływa na jej melatoninę, ale mnie nie słucha.

Kiedy się urodziła, po horrorze na porodówce, włożono mi ją w ramiona, a ja jej nie poznałam. Była długa, chuda i ciemna. Zupełnie nie przypominała tłuściutkiego, rumianego bobasa, jakiego sobie wyobrażałam. Na początku miałam wrażenie, że nie jest w ogóle ze mną spokrewniona. Wydawała się obca. Jednak po kilku dniach ta obca istota przemieniła się w Natalie – a ja zaczęłam rozumieć jej pragnienia i potrzeby niemal lepiej niż własne. Dlatego myślałam, że może powrót mojej córki będzie wyglądał tak samo. Pewnego dnia, już wkrótce, znowu zrozumie ją cała, ponieważ kiedyś fizycznie stanowiła część mnie.

Pokropiłam jej poduszkę lawendą, ale Mia nadal nie może spać.



## Lucy

Salon Masażu Ludzi Ociemniałych. Wendy twierdzi, że masaż wyrówna moje *chi*. Mówi, że masaże są tutaj zabiegiem leczniczym, są dobre dla zdrowia. Salon masażu nie przypomina spa, tylko klinikę. Nie ma pachnących świec, puszystych szlafroków ani oszronionych dzbanków wody z ogórkiem. Przed wejściem dwie starsze kobiety leżą rozciągnięte na winylowych fotelach i czytają gazety, podczas gdy dwóch mężczyzn w białych fartuchach, siedząc na stołkach, masuje ich sinawe, powykęcane stopy.

W środku, w sekcji masażu, zasłony prysznicowe oddzielają pokryte papierem materace, płaskie jak deski do krojenia i niemal równie twarde. Nic tu nie przypomina salonów masażu, do których jestem przyzwyczajona, wypełnionych łagodną muzyką i białym szumem. Pod mdłymi, gołymi żarówkami zdejmuję koszulę i spodnie, złożone ubranie kładę na plastikowym stołku i umieszczam twarz w dziurze, okolonej papierowymi ręcznikami. Po chwili obce palce wykrywają moje dolegliwości; wokoło panuje cisza, przerywana tylko szelestem zasłon, odległym kaszlnięciem lub jękiem. A także „klep”, „klep”, „klep”, oznaczającym, że sesja dobiegła końca.

Czyjeś ręce pracują na moich ramionach, ugniatają mięśnie po obu stronach kręgosłupa, uwalniając mnie od ciężaru, który noszę, dając moment błogiej odmiany, chwilowe wytchnienie od ciężaru moich kości.

Znowu jestem dzieckiem. Sen jest tak realny, że czuję, jak stoję w starej sypialni, którą dzieliłam z siostrą. Cheryl tam nie ma. Drzwi od naszej szafy są otwarte i widzę, że jest ona o wiele większa, niż mi się wydawało. Jest wielka jak pole. Tak naprawdę to jest pole, pośrodku którego stoi koń. Biegnę przez wysoką trawę, żeby pogłaskać jego sierść, lśniąca jak miód. Nie ma siodła i przesuвам dłonią po jego nierównym grzbiecie, żałując, że nie umiem jeździć. Koń muska mnie pyskiem w sposób, który wydaje się zaproszeniem, żebym go dosiadła, a kiedy już na nim siedzę, przekonuję się, że jazda konna to nic trudnego. Muszę tylko trzymać się przypominającej sznur grzywy. Koń biegnie szybko, ale jego grzbiet pozostaje nieruchomy. Galopujemy przez pole, które kończy się rzędem domów. Gdy do nich docieramy, koń się nie zatrzymuje, tylko przez nie przebiega. Pędzimy przez salony, jadalnie, w dół wąskich korytarzy, przez kuchenne drzwi. Koń zaskakująco zręcznie omija meble, ale zwalnia przed wąskimi, krętymi schodami. Zatrzymujemy się. Po stopniach schodzi moja matka, wciąż żywa i na tyle młoda, że zrobiła makijaż z samego rana. Zaraz za nią idzie mój ojciec, który jeszcze ma wszystkie włosy. Zostawił nas, gdy tylko je stracił, kiedy miałam pięć lat. Patrę na nich, takich młodych i atrakcyjnych, i wstrzymuję oddech w nadziei, że koń nie wyprowadzi nas z cienia, żeby nas nie zauważyli. To bardzo ważne, by nas nie dostrzegli. Ale koń wyskakuje spode mnie i widzę, że to wcale nie koń. To Mia ucieka ode mnie w chmurze złotych włosów. Krzyczę do

niej, ale nie mogę wydobyć z siebie głosu.

Budzę się i zawstydzona odkrywam, że płaczę. Przypominam sobie z ulgą, że masażysta nie widzi mojej twarzy. Ale oczywiście musiał poczuć drgania wstrząsające moimi plecami.

## Lucy

Dzisiaj Wendy zabrała mnie na ślub. Panną młodą była siostrzenica jej kuzynki, stopień pokrewieństwa, na który Chińczycy mają osobną nazwę, ponieważ wygląda na to, że mają tu określenie na każdego krewnego, nieważne, jak dalekiego – poza córką, którą wychowałam, a która nie jest już twoją córką. Na to nie ma określenia w żadnym języku.

Wyjęłam wizytową sukienkę, którą przywiozłam z domu. Włożyłam ją po raz pierwszy, odkąd tu przyjechałam, i byłam przyjemnie zaskoczona, widząc, jak luźno opadła mi na biodrach. Nie mam wagi, ale podejrzewam, że straciłam te pięć kilo, których próbowałam się pozbyć przez lata. Po części, oczywiście, przez chorobę. Ale też odżywiam się tu zdrowiej – świeże warzywa z targu, mikroskopijne porcje mięsa. W domu Wendy mięso jada się oszczędnie, stanowi dodatek dla smaku, a nie danie samo w sobie, chyba że to świąteczny posiłek. Wracam myślą do dni, kiedy gotowała dla nas, w mojej kuchni. Nasz apetyt na całe kurczaki i jagnięce udźce musiał ją bulwersować.

Ślub był piękny. Ceremonia odbywała się na świeżym powietrzu, panna młoda wystąpiła w bieli – niekonwencjonalny wybór, ponieważ tutaj tradycyjnym kolorem stroju panny młodej jest czerwień, biel symbolizuje śmierć. Do niedawna biel była zarezerwowana na pogrzeby, dopiero pokolenie „jednego dziecka”, wysyłane na naukę za granicę, zaczęło przywozić do domu zwyczaje z Zachodu.

Kiedy Mia była mała, czasami planowałyśmy jej ślub. Uwielbiała oglądać w gazetach zdjęcia sukni ślubnych. Teraz, gdy nadejdzie czas planowania jej prawdziwego ślubu, mnie przy niej nie będzie.

Byłam jedyną przedstawicielką Zachodu wśród gości. Ale język jedzenia jest uniwersalny i wszyscy zgromadzeni wokół stołów, przykrytych haftowanymi obrusami, połączyliśmy się w radości z wytwornej uczy: pięć rodzajów ryby, pieczony świniak, smocze krewetki (czyli homary) i kurczak gotowany w czerwonym oleju jako symbol pomyślności dla młodej pary.

Wznosiliśmy toasty na ich cześć *maotai* w małych, metalowych czarkach. *Maotai* jest mocna! Na początku smakuje słodko, lecz kiedy spływa do gardła, czujesz się, jakbyś przełykał benzynę. Po kilku toastach byłam wstawiona, tak – widziałam to wyraźnie – jak Wendy, której nigdy wcześniej nie widziałam pijącej nawet wina. Obie musiałyśmy skorzystać z toalety i podeszłyśmy do drzwi, ale kolejka była długa, więc usiadłyśmy na czerwonej, pluszowej kanapie.

Nagle, z jakiegoś powodu, ta chwila wydała mi się odpowiednia, by wszystko jej opowiedzieć. Może dodała mi odwagi *maotai* albo pokrzepiająca obecność hałaśliwego tłumu. Wendy siedziała, uśmiechając się do małej siostrzenicy, która kręciła piruety w swojej sukience dziewczynki niosącej obrączki (w Chinach obrączki podają dziewczynki a chłopcom powierza

się kwiaty), ale przestała się śmiać, gdy zobaczyła moją poważną minę.

– Muszę powiedzieć ci coś ważnego... – zaczęłam.

Popatrzyła na mnie zachęcająco i pamiętam, jak pomyślałam, że po moich zwierzeniach mogę już nigdy nie zobaczyć jej życzliwego spojrzenia.

Opowiedziałam jej całą historię, a kiedy zabrakło mi słów, Wendy pochyliła się ku mnie, ujęła moją dłoń i przycisnęła kciuki do jej wnętrza.

– Jak się czuje Mia? – zapytała.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Nie chce ze mną rozmawiać.

W jej oczach błysnęły łzy. Opuściła wzrok na nasze splecione dłonie. Przez chwilę nic nie mówiłyśmy. Potem powiedziała, że ona też ma mi coś do opowiedzenia.

## Wendy

Tej historii nigdy nikomu nie mówiłam. Ale dzisiaj mówię Lucy.

W 1979 roku rodzę córkę. Lin ma wtedy trzy lata. Rok wcześniej wprowadzono w moim kraju nową politykę: jedna rodzina, jedno dziecko. Dzieci są racjonowane jak jajka i ryż. Więcej dzieci mogą mieć tylko rodziny, które mieszkają na wsi, ale my mieszkamy w Szanghaju, więc nas obowiązuje polityka jednego dziecka. Lin jest jednym dzieckiem. Jeśli będziemy mieli dwoje dzieci, stracimy nasz status. Będziemy płacić wiele kar. Kiedy jestem w ciąży, ludzie przychodzą do mojego domu. Pielęgniarki, lekarze, nawet moja własna matka rozmawiają ze mną, mówią, że muszę pozbyć się mojego dziecka. Chcą, żebym wzięła lekarstwo, żeby dziecko umarło, zanim się urodzi. Mówią, że dziecko numer dwa nie jest dobre dla Lina, nie jest dobre dla nas. Ale ja chcę zatrzymać moje dziecko, Feng też. Myślimy, że może to prawo się zmienić.

W tamtym czasie wiele się w Chinach zmienia. Przez lata nikomu nie wolno było sprzedawać towarów. I nagle jednego ranka jadę na rowerze do pracy i widzę przy drodze mężczyznę, który sprzedaje kapustę. Jeśli on nadal tam będzie, kiedy będę wracała, myślę, to znaczy, że nadchodzi dla Chin wielka zmiana. Po południu mężczyzna nadal tam stoi. Dlatego myślimy, że polityka jednego dziecka też może się zmienić. Ale się nie zmienia.

Kiedy moje dziecko się rodzi, Feng pracuje w innej prowincji i nie może przyjechać do domu. Moje dziecko jest dziewczynką. Jestem taka szczęśliwa, że mam córkę. Nazywam ją Jin, co oznacza „złoto”, ponieważ jest dla mnie cenna jak złoto.

Zostaję w szpitalu przez dziesięć dni, co w tamtych czasach w Chinach jest normalne. Kiedy tam jestem, odwiedza mnie lokalna policja. Przychodzi mężczyzna z wielką, plastikową saszetką, by odebrać ode mnie grzywnę. Kara jest tak wysoka, że mnie przeraża. Ale mówię, że zapłacę. „Proszę wrócić” – mówię mu. Mój mąż przywiezie pieniądze.

Tamtej nocy, bardzo cicho, wychodzę z moim dzieckiem ze szpitala. Ona jest dobrym dzieckiem, nigdy nie płacze. Kocham to dziecko, ale wiem, że nie mogę go zatrzymać. Nie mogę zniszczyć dobrego życia mojego męża i syna. Wkładam dziewczynkę do koszyka, owijam w miękki koc. Wokół nadgarstka zawiązuję jej sznurek ze złotym pierścionkiem mojej babki. Chcę, żeby ten, kto ją dostanie, wiedział, że to dziecko z dobrej rodziny.

Chińczycy mówią, że musisz wykorzystać całą swoją energię, by pójść naprzód, inaczej nigdzie nie dojdiesz. Ja zebrałam całą energię, by zanieść moje dziecko do zagranicznego hotelu. Zanim tam dotarłam, usiadłam z Jin na ławce i karmiłam ją, dopóki nie zasnęła. Nie chciałam, żeby widziała to, co muszę zrobić. Kiedy śpi, niosę jej koszyk do frontowego wejścia do hotelu. Stawiam go na najwyższym stopniu przed wielkimi, drewnianymi drzwiami. Czekam niedaleko, za drzewem, chcę zobaczyć, kto ją znajdzie. Wszystko w moim żołądku jest na górze, nie na dole.

W końcu drzwi otwiera wysoki mężczyzna, a ja krzyczę, bo on nie patrzy i boję się, że na nią nadejście. Ale on ją widzi. Patrzy na nią, a potem tam, gdzie się chowam. Obawiam się, że mnie widzi, chociaż to niemożliwe. W końcu przestaje patrzeć, podnosi koszyk i wraca przez ciężkie drzwi, a ja nigdy więcej nie widzę mojej córki.

Piszę Fengowi, że nasze dziecko zmarło w szpitalu.

Każdego dnia, gdy zajmuję się Mią, myślę o mojej córce i mam nadzieję, że ma tak dobre życie jak ona. Kiedy przyjeżdżam do Nowego Jorku, widzę wiele adoptowanych chińskich dziewczynek i czasami się zastanawiam, czy Jin jest blisko.

Jeśli Jin wie, że ją oddałam, myśli, że miała złą matkę. Ale tak naprawdę ma matkę, która ją kocha.

Mia też ma matkę, która ją kocha. Lucy zrobiła złą rzecz. Ale to jedna zła rzecz przeciwko dwudziestu jeden latom dobrych rzeczy. Lucy musi o tym pamiętać. Mia też.

## Lucy

Czwarty lipca. Dzień Niepodległości. Mam własne mieszkanie. Wendy i Feng pomogli mi je znaleźć. Nie jest eleganckie. Nie jest duże. Tylko dwa pokoje, umeblowane, każdy mniej więcej rozmiaru mojej kuchni w Nowym Jorku. Należy do kuzyna Fenga, który pracuje w Xian. Musiał składać podanie, żeby wynająć je obcokrajowcowi. Podłogi i ściany są z cementu i kiedy weszłam, wszystko było pokryte węglowym pyłem. Spędziłam kilka katartycznych dni, szorując każdy skrawek na czworakach.

W kuchni były przyprawy i pierwszego dnia, gdy próbowałam gotować, pomyliłam cukier z solą i zepsułam jedzenie. Chińczycy przechowują sól w wielkich puszkach, a cukier w małych słoiczkach. Wszystko tutaj stoi na głowie.

Wczoraj wieczorem zaprosiłam na kolację Wendy z rodziną, żeby im podziękować. Posiłek był prosty, ale tutaj nawet proste danie trudno przygotować. Moja kuchenka nie jest prawdziwą kuchnią, to małe pudełko z dwoma palnikami, stojące, ku mojemu przerażeniu, na drewnianym stole. Otwierasz pokrywkę, zapalasz gaz i szybko zamykasz pudełko, zanim stół stanie w ogniu. Nie ma piekarnika.

Chciałam podać coś amerykańskiego, ale niezbyt amerykańskiego, co mogłoby nie smakować Fengowi i Linowi, którzy każdego dnia całe życie jedli tylko chińszczyznę. Zdecydowałam się na spaghetti. To danie nawet ja, z moimi minimalnymi umiejętnościami kulinarnymi, potrafię przyrządzić z krztyną finezji. (W kwestii codziennego żywienia polegam na lokalnych jadłodajniach, których tu nie brakuje).

Dokładnie rzecz biorąc, spaghetti nie jest potrawą amerykańską, ale ciągle się pojawia na amerykańskich stołach. Wiem, że smakują im kluski. Często jadaliliśmy makaron przez te miesiące, kiedy z nimi mieszkałam.

W mieszkaniu znalazłam rower, solidny, trzybiegowy flying pigeon i rano popedałowałam dwadzieścia przecnic do Carrefoura, żeby kupić prawdziwe masło, importowany parmezan i ronzoni no. 8, nie chiński makaron, który jest grubszy i bardziej czuje się w nim mąkę. Potem jeszcze do dzielnicy francuskiej po bagietkę, którą zamierzałam podać z masłem czosnkowym. I wreszcie na targ warzywny po pomidory. Pomidory są tutaj ogromne, jaskrawoczerwone i najlepsze, jakie w życiu jadłam. Staram się nie myśleć o nawozie, który pozwala im tak rosnąć: to „nocne zanieczyszczenia”, eufemizm używany na określenie ścieków, zebranych w nocy z publicznych toalet.

W końcu pojechałam do sprawdzonego straganu mięsnego, gdzie – jak się dowiedziałam od Wendy – można bezpiecznie kupić mieloną wołowinę. Teraz już wiedziałam, że muszę mieć własną plastikową torebkę. Pierwszy raz gdy robiłam tam zakupy, nie miałam o tym pojęcia i dali mi krwawą masę w torebce cienkiej jak chusteczka, która oczywiście rozerwała się

w drodze do domu. Do mięsa natychmiast dorwał się mały, biały pies, wprawiając w przerażenie swoją właścicielkę, młodą kobietę na szpilkach, z torbą Louisa Vuittona przewieszoną przez ramię. Kobieta gwałtownie szarpała smycz, próbując go odciągnąć. Pies miał na szyi perły – niektórzy właściciele stroją tak swoich ulubieńców – i długo nie zapomnę widoku małej psiej eleganterki, pożerającej surowe mięso z pierwotnym entuzjazmem.

Wendy odwiedzała mnie kilka razy, odkąd się wyprowadziłam, ale Feng i Lin nie wydawali się zachwyceni, widząc mieszkanie kuzyna tak „zamerykanizowane”.

– Ile tu światła – zauważył Lin, najwyraźniej będąc pod wrażeniem moich lamp z Ikei.

Tak, poszłam do Ikei. Zmusiłam się, żeby tam pójść. To najlepsze miejsce w Szanghaju, żeby kupić zachodnie meble w dobrej cenie. Myślałam, że sklep będzie wyglądał inaczej, ale to takie samo wielkie pudło jak w New Jersey, pomalowane na te same jaskrawe niebieskie i żółte kolory, zaskakujący kontrast na tle szarych, betonowych budynków i słupów, wspierających biegnącą za nim autostradę. Kiedy wysiadłam z taksówki po wciśnięciu brązowych banknotów w okrytą białą rękawiczką dłoń kierowcy, na ów znajomy widok załała mnie taka fala wspomnień, że nie sądziłam, iż dam radę tam wejść. Jednak turkusowy samochód stanowił już tylko odległy punkt na horyzoncie.

Stałam na chodniku, próbując odzyskać kontrolę nad oddechem. Nie bądź śmieszna, nakazałam sobie. Potrzebowałam kilku rzeczy do mieszkania, które mogłam kupić tylko tutaj, gdzie metki miały angielskie napisy. Poza tym panował upał. Nie było jeszcze południa, a słońce już paliło mnie w kark. Od ulgi, oferowanej przez klimatyzację, dzieliło mnie zaledwie kilka kroków.

Gdy tylko przeszłam przez drzwi, moje serce zaczęło kołatać i nagle poczułam lęk, że jakiś zaawansowany technicznie czujnik, jakiś globalny, wszystkowiedzący robot, zamontowany w suficie, skieruje na mnie swoje podczerwone oko i schwyta mnie w pułapkę. Jednak po przejściu kilku alejek rozsądek zwyciężył i kontynuowałam zakupy, nieniepokojoona paranooidalnymi wizjami.

Towary były takie same, jak zapamiętałam: kolorowe kubiki mebli, otwarte zestawy do przechowywania rzeczy, melaminowe szafki i chromowany las lamp, lecz jedna rzecz była inna. Makiety pokoi, małe sceny domowej sielanki, w których kiedyś byłam tak zakochana, pełne były klientów, okupujących wszystkie meble. Ludzie siedzieli przy stołach, czytając gazety, drzemali w łóżkach, przykryci kołdrami. Całe rodziny relaksowały się na sofach i oglądały filmy na telefonach, pozwalając dzieciom skakać po stolikach kawowych. Dwie kobiety w średnim wieku zasnęły na przeciwległych końcach kanapy i głośno chrapały, z głowami opartymi wygodnie na wypchanych zagłówkach. Para, zainteresowana ceną mebla, musiała ostrożnie przesunąć dłoń jednej z kobiet, żeby zobaczyć metkę.

Natknęłam się na dziecko śpiące na tapczanie, na narzucie w owce. Dziewczynka wyglądała na jakieś sześć miesięcy. Czarne, lśniące włosy miała związane w dwa kucyki, sterczące pionowo na czubku głowy i przewiązane różowymi wstążkami. Jej policzki pokrywała głęboka czerwień, jak u dzieci, które śpią dłuższą chwilę. Leżała na plecach, z rozrzuconymi rękami i nogami, a na jej brzuszku unosiła się i opadała haftowana w kwiaty chustka, której zapewne użyła matka zamiast kocyka.

Rozzłościłam się na kobietę, która bezmyślnie zostawiła dziecko na łasce obcych ludzi. Kręciłam się niedaleko tapczanu, czując się w obowiązku pilnować małej, udawałam, że skupiam się na sześciennych półkach i modułowych stołach, a nie na łamiącej serce, delikatnej chustce, która wznosiła się i opadała, ukazując mi potworność tego, co zrobiłam. Teraz



absolutnie nie byłabym do tego zdolna. Ponieważ mam dziecko. Wiem, jaka jest stawka.

Mimo to nie mogłam też wyobrazić sobie, że tego nie zrobiłam. Nigdy nie będę żałować tych lat, gdy kochałam Mię, a ona kochała mnie.

Kiedy wyglądająca na znękaną kobieta po trzydziestce podeszła do tapczanu i pochyliła się nad dzieckiem, po sposobie, w jaki je podniosła i delikatnie położyła sobie jego główkę na ramieniu, poznałam, że to matka. Wyglądały jak dwie połowy, które połączyły się w całość, i aż mnie zemdlilo od świadomości, na co skazałam dwie takie istoty jak te, kiedy nie obchodziło mnie nic poza tęsknotą moich własnych, pustych ramion.

Tamtego dnia nie mogłam dokończyć zakupów. Przedałam się przez żywe dioramy, wyszłam ze sklepu i nauczyłam się robić zakupy w Ikei przez telefon, przyciskając trójkę, by móc mówić po angielsku. Toteż minęły całe tygodnie, zanim lampy, krzesła i ogromne plakaty w ramach wyruszyły do mojego mieszkania, chwiejąc się na rowerowych bagażnikach dostawców.

Rozmowa przy kolacji toczyła się głównie między mną a Wendy. Feng nie mówi po angielsku, a angielski Lina mocno kuleje, chociaż Wendy chwali syna, że pilnie się uczył i zdawał każdy test z doskonałymi ocenami.

– Uczymy się do testów, nie żeby mówić – wyjaśnił Lin, wzruszając ramionami.

Lin polał swój makaron cienką warstwą mięsnego sosu, aż zachęciłam go, żeby wziął więcej. Chińskie dobre wychowanie może uczynić ludzi zbyt wstrzemięźliwymi.

Ile Lin o mnie wie? Czy Wendy mu powiedziała? Czy podzieliła się z Fengiem moją historią?

Obserwuję twarze obojga, ale w ich oczach nie znajduję żadnych odpowiedzi, gdy rozmawiamy o pogodzie – gorąco! – i jedzeniu – pyszne! Nasze tematy są ograniczone brakiem wspólnego języka. Ku własnemu zaskoczeniu zgadzam się, na prośbę Wendy, spotykać z Linem w niedziele, które ma wolne, żeby rozmawiać po angielsku. Cieszę się. Potrzebuję towarzystwa i jestem wdzięczna za szansę spojrzenia oczami tubylca na kraj, który może być miejscem mojego zesłania do końca życia.

Kolacja u amerykańskiej *ayi* dziś wieczorem. Tyle świateł! Po co jednej kobiecie aż tyle świateł? Naliczyłem ich sześć w mieszkaniu – lampki na stole, na ścianach, nawet przy łóżku. Co za ekstrawagancja. W domu w każdym pokoju mamy tylko jedno światło. Pewnie Lucy przeszkadzał ten deficyt, kiedy z nami mieszkała.

Niestety jej ekstrawagancja nie rozciągnęła się na nasz posiłek. Tylko trzy dania, o wiele mniej, niż można by się spodziewać. Jedna z potraw została zepsuta przez dodatek sera. Jak Amerykanie mogą lubić ser? Jak mogą uważać stare, ścięte krowie mleko za rarytas?

Ale ja jestem uprzejmy. Nie tylko dlatego, że ona jest dawną szefową mojej matki, ale też dlatego, że mi jej żal. Straciła twarz w swoim kraju, do którego nigdy nie wolno jej wrócić. Moja matka mi tego nie powiedziała. Znalazłem wiele interesujących informacji po angielsku w internecie. Ukradła dziewczynkę, która teraz jest kobietą i wróciła na swoje miejsce przy prawowitej matce. Jej kara – jeśli będzie miała szczęście – to dożywotnie wygnanie do naszego kraju, w którym zawsze będzie *lao wai* – osobą z zewnątrz.

## Lucy

Gorąco, gorąco, gorąco. Ponad trzydzieści osiem stopni. Przenośny klimatyzator, za którego dostawę i instalację zapłaciłam małą fortunę, terkocze i jęczy, protestując, jakby był małym zwierzątkiem uwięzionym w klatce. I jest równie bezużyteczny. Powietrze, które się z niego sączy, ma prawie tę samą temperaturę, co to w mieszkaniu. Ale brakuje mi umiejętności językowych – i energii – żeby zadać sobie trud i go zwrócić.

Zamiast tego próbuję ochłodzić się herbatą. Poznałam chińską mądrość: to gorące napoje – nie lodowate – ochładzają ciało. Czerwona herbata – dała mi ją Wendy – wygląda jak małe kulki gumek recepturek. Wrzucam jedną do kubka, zalewam wrzątkiem i czekam kilka chwil, aż kulka rozkwita w coś, co przypomina kaktus z różowym kwiatem na wierzchołku.

Pocę się, ale nie tylko z powodu upału. Moja wiza jest ważna przez rok, okres, który wydawał się nieskończony, kiedy dostałam ją w lutym. Jednak minęło już sześć miesięcy. Mój bilet do wolności jest ważny jedynie przez następnych sześć. Co się ze mną stanie, gdy upłynie termin ważności? Jak zrozumiałam ze słów tutejszego prawnika, Chiny nie przedłużą mi wizy. A bez niej, jak wyjaśniła mi Wendy, zaczną mnie ścigać Państwowe Biuro Bezpieczeństwa (które przechowuje wszelkie możliwe informacje, łącznie z rozmiarem mojej rękawiczki i wynikami badania płuc). Dzień po upływie terminu ważności wizy do moich drzwi może zapukać funkcjonariusz bezpieczeństwa. I co zrobi? Wywlecze mnie stąd za włosy? Wyrzuci mój dobytek przez okno, na chodnik pięć pięter niżej? Wyobrażam sobie moje staniki i majtki, frunące w zapyłonym powietrzu i lądujące na rozsuwanym dachu jakiegoś luksusowego samochodu, zaparkowanego na chodniku. Ponieważ wydaje się, że w Szanghaju kupno luksusowego samochodu idzie w parze z prawem do parkowania gdzie ci się żywnie podoba.

Nie znam tutaj nikogo, kto miałby wpływy. W Nowym Jorku zawsze tylko kilka stopni dzieliło mnie od kogoś, kto mógł mi pomóc uporać się z każdym problemem. Szwagier klienta, najlepsza przyjaciółka koleżanki, ojciec szkolnej kumpeli Mii – wszyscy okazali się pomocni w sytuacjach, które akurat wydawały się trudne: wizyta u odpowiedniego dentysty, wątpliwości dotyczące inwestycji, list z rekomendacją do college'u. Oczywiście żadne koneksje, nawet najpotężniejsze, nie zdołałyby pomóc w wyciągnięciu mnie z kłopotów, przez które wylądowałam tutaj.

Nigdy nie czułam się tak samotna, tak odcięta od jakiegokolwiek mocy sprawczej, od kogokolwiek, kto miałby wpływ na to, co się ze mną stanie. Wendy i jej rodzina to moje jedyne tutejsze „wtyczki” i chociaż pomagają mi jak mogą, jej rodzina – profesorska, rodzice Wendy wykładali kiedyś na prestiżowym uniwersytecie Jiao Tong – utraciła pozycję podczas rewolucji kulturalnej. Z trudem i dzięki wielkiemu uporowi udało im się odzyskać rodzinny dom: wąski budynek, w którym teraz mieszkają, położony w historycznej strefie *longtong*, ale nigdy nie

udało im się odbudować sieci wpływowych kontaktów, jakimi niegdyś dysponowali.

Co się ze mną stanie? Mia. Moja Mia. Już nawet nie jestem pewna, jak wygląda. Przytyła czy schudła? Może obcięła włosy? Opaliła się w kalifornijskim słońcu? Nie było jej zdjęcia w magazynie „Psychology Today”, który znalazłam na stole w lobby Hotelu Hilton, gdzie chodzę po amerykańską pastę do zębów. W artykule określono mnie jako „socjologiczną matkę” Mii. Długo wpatrywałam się w te słowa, czytając je wciąż na nowo, wdzięczna, że nazwano mnie jakkolwiek matką.

Oczami wyobraźni widzę Mię w każdym wieku: trzylatka, chwiejąca się w moich szpilkach, z plastikową torebką przewieszoną przez ramię, idzie „do pracy”; mała dziewczynka, gawędząca radośnie z każdym portierem; dziesięcioletka, wysoka jak na swój wiek, marząca, by zostać elfem; trzynastolatka, która wciąż siada mi na kolanach, próbując odwrócić moją uwagę od komputera, nadąsana piętnastolatka, trzaskająca drzwiami swojego pokoju, zza których ryczy muzyka; pewna siebie młoda kobieta przy naszym stole, wertująca testy egzaminów wstępnych na prawo.

Widzę ją z coraz większej odległości, jak gdybym znajdowała się na jednej łodzi, ona na drugiej, a unosząca się między nami fala odpychała nas coraz dalej od siebie. Wstaję, żeby zagotować wodę, i czuję taki ciężar w żołądku, że niemal muszę ciągnąć go za sobą przez pokój.

## Mia

Grant uczy mnie prowadzić samochód. Ma dużo cierpliwości i jest o wiele lepszym nauczycielem niż instruktor, który uczył mnie w Nowym Jorku. Quinton pracował na pół etatu jako bramkarz w barze i zawsze był albo znudzony, albo palił, albo przepraszał, że nie może się skupić, ale całą noc nie spał przez swoją dziewczynę, która znowu go przyłapała z drugą laską. Kiedyś, na Riverside, kazał mi się zatrzymać, żeby mógł ukraść felgi z zaparkowanego samochodu! Usprawiedliwiał się, że felgi w jego aucie mają bardzo nietypowy rozmiar i już długo ich szuka. Zabawne, że był nauczycielem, o którego prosiły wszystkie matki dzieci z prywatnych szkół. Nie miały o niczym pojęcia. To była dobra szkoła jazdy i on musiał oczarować pierwszą mamę, która zarekomendowała go innym. Nigdy nie nauczyłam się wystarczająco dużo, żeby zdać egzamin.

Wtedy nie zależało mi na prawie jazdy, ale teraz tak, ponieważ jeśli tu zostanę, będę musiała znaleźć pracę, a wszystkie interesujące oferty są w San Francisco. Mogłabym jeździć kolejką, ale gdy tylko dostanę pieniądze od „People”, kupię sobie używany samochód.

Postanowiłam przestać brać pieniądze od Lucy. Moje kieszonkowe nadal automatycznie wpływa mi na konto. Myślałam, że jej rachunki bankowe zostaną zamrożone, ale detektyw powiedział, że to nie działa jak w *Prawie i porządku*, prokuratorzy nie rozdają nakazów, jakby to były pączki. Lucy nie wzięła okupu, jej pieniądze nie pochodzą z działalności przestępczej, więc nadal do niej należą.

Mam zamiar pracować, nie tylko po to, żeby zarabiać pieniądze, ale też chcę wyjść z domu. Nie mogę w nim siedzieć przez cały czas, chociaż Marilyn (wolałaby, żebym nazywała ją „mamą”, ale ja nie mogę) by tego pragnęła. Czuje się najszczęśliwsza, kiedy wszyscy jesteśmy pod jednym dachem, trzymamy się za ręce, siedząc wokół stołu, i odmawiamy modlitwę dziękczynną przed kolacją albo gramy w „rodzinnym zespole” w salonie – wszyscy w rodzinie grają na jakimś instrumencie poza mną. Marilyn na pianinie, Chloe na flecie, Connor i Thatch na gitarach, a Grant na harmonijce. Ja potrafię tylko klaskać. Nie cierpiałam lekcji gry na pianinie. Lucy nie powinna była pozwolić mi zrezygnować, należało mnie zmusić, żebym na nie chodziła. To ona była dorosła. Nie powinna była słuchać dziecka.

Wiem, że to brzmi ckliwie, ale jest coś naprawdę miłego i ciepłego we wspólnym muzykowaniu z moją nową rodziną, ponieważ oni robią to z sercem. Ironia bywa męcząca, kiedy tak naprawdę potrzebujesz, by ktoś cię przytulił, zastanawiam się jednak, kiedy mnie to zmęczy. Czuję się tutaj, jakbym znalazła się na innej planecie. Manhattan jest światową stolicą ironii.

## Lucy

Wczoraj spotkałam się z Linem na naszej niedzielnej lekcji w Pierogarni Złoty Pałac, lokalnej jadłodajni, małej dziupli, nieprzystającej do szumnej nazwy. Otyłe, starsze kobiety w białych fartuchach i czepkach serwowały parujące misy pierogów wypchanych wieprzowiną albo wołowiną, albo warzywami, czymkolwiek, na co tylko ma się ochotę. Pierogi są tak pyszne, że jak mówi Lin, ludzie zjeżdżają się na nie z najdalszych dzielnic. Przekonałam go, żeby przestał nazywać mnie *ayi*. Wyjaśniłam mu, że Amerykanki wolą, by zwracano się do nich po imieniu zamiast „ciociu”, zwłaszcza gdy nie są prawdziwymi ciotkami.

Teraz jestem pewna, że Lin zna moją tajemnicę. Starannie unika zadawania mi pytań z podręcznika, które dotyczą kwestii posiadania dzieci. Co on o mnie myśli? Czy w jego oczach jestem przestępczynią?

Och, gdybym znała język, żeby móc się wytłumaczyć. Ale co bym mu powiedziała?

Zamiast tego przerabiamy rozdział o pogodzie. Tłumaczę mu, że tak naprawdę nikt w Stanach nie mówi tak jak w jego podręczniku. Nikt nie powie: „Dzisiejsze opady przekraczają normę”, tylko „Leje psami i kotami<sup>19</sup>”. On się uśmiecha, próbując to sobie wyobrazić, a ja razem z nim: strumienie zwierzaków, miauczących i skowyczących w powietrzu, z wyciągniętymi łapami, którymi starają się osłonić, zanim uderzą w ziemię.

<sup>19</sup> It's raining cats and dogs (ang.) – idiom oznaczający, że leje jak z cebra.

## Mia

Dzisiaj jest dwieście dwunasty dzień z moją biologiczną rodziną. Rachuję te dni. To moje nowe życie i liczę, jak długo trwa.

Wczoraj wieczorem, jak zawsze, siedzieliśmy przy drewnianym kuchennym stole, który zrobił Grant. To pojedynczy blok sekwoi; Grant jest dumny, że zrobił go z jednego bloku, a nie z kawałków. Kiedyś pokazał mi ślad na boku, niedaleko rogu, odbarwienie, z którego też jest dumny, ponieważ niedoskonałości dowodzą, że coś jest prawdziwe.

Co wieczór stół jest przykrywany obrusem, który go chroni, ale też ukrywa jego piękno. Obrus zwykle jest stary, kwiecisty, z kolekcji, którą Marilyn dostała od swojej matki, a rozłożenie go to zadanie Chloe i czasami, gdy róże, peonie lub goździki opadają na stół, podziwiam jakość materiału i światło, które przez niego spływa z dużego, kuchennego okna. To zachodnie światło, w innym odcieniu niż na Wschodzie. O siedemnastej robi się mocno żółte, nawet jesienią, podczas gdy w Vermoncie o tej porze już go nie ma, a na Manhattanie jest prawie zawsze zbyt słabe, żeby rozjaśnić więcej niż frontowy pokój naszego mieszkania.

Nasze mieszkanie na Manhattanie. Kilka razy dzwonił zarządca z pytaniem, jakie mamy wobec niego plany, ale nie oddzwoniłam. Nie wiem, co mu powiedzieć.

Wczoraj wieczorem Marilyn przygotowała potrawę, która się nazywa wegańskie *chop suey* – myślała, że zrobi mi przyjemność, podając chińszczyznę. Nie pozwoliła, żebym jej pomogła przy kolacji, jak zwykle. Chciała mnie zaskoczyć, uczcić moje prawo jazdy. Nie miałam serca jej powiedzieć, że *chop suey* nie ma nic wspólnego z chińską kuchnią. To danie wymyślone przez Amerykanów, jak ciasteczka z wróżbą.

## Marilyn

Zabrałam dziś Mię na plażę i zobaczyłam, że u dołu pleców ma maleńki tatuaż. Ten widok podziałał na mnie jak cios w żołądek.

Jak Lucy mogła pozwolić jej oszpecić się w ten sposób? Tatuaż wygląda jak jakiś zawijas. Ona twierdzi, że to liść. Mówi, że zrobiła go bez zgody Lucy. Pewnego dnia po treningu siatkówki wymknęły się z koleżanką do miasta, zamiast wrócić do domu. Miała piętnaście lat. Piętnaście! Jak tatuowanie piętnastolatek w ogóle może być legalne? Mia powiedziała, że prawo reguluje tylko kwestię znieczulenia. Dzieciom nie wolno go podawać.

– Czy to nie bolało? – zapytałam.

Odpowiedziała, że tak. Podczas zabiegu trzymały się z koleżanką za ręce. Myślę o tym, jak ostatni raz ją kąpałam, otulałam ręcznikiem jej plecki, nie zwracając wystarczającej uwagi na ich nieskazitelną perfekcję.

Robię w głowie notatkę, żeby porozmawiać z chłopcami, ostrzec ich przed niebezpieczeństwem, jakie niesie ze sobą wprowadzenie pod skórę permanentnych toksyn.

Proszę, żeby nie pokazywała tatuażu dzieciom.

Mia mówi, że Chloe już go widziała. Ale powiedziała małej, że to tylko henna.

Leżymy na piasku, bez ręczników, pozwalając, by uzdrawiająca ziemia wyciągnęła z nas stres i trucizny. Ta część ćwiczeń zwykle pozwala mi oczyścić umysł, ale dzisiaj w mojej głowie kłębi się zbyt wiele myśli.

Siadam. Mia obraca się na plecy.

Górna i dolna część jej bikini nie pasują do siebie. Pewnie to jakaś nowojorska moda.

Pytam, co powiedziała Lucy, kiedy to zobaczyła. Piasek doskonale oczyszcza z toksyn, zwłaszcza tutaj, na skraju oceanu, łona ziemi. Cieszę się, że leżąc, wcisnęła w niego tatuaż.

Mia odpowiada, że Lucy była na nią zła za to, że wymknęła się do miasta, ale nie dała jej szlabanu, ponieważ, jak stwierdziła: „To twoje ciało, nie moje”.

Tak nie myśli prawdziwa matka! Prawdziwa matka nigdy nie zdystansuje się wobec ciała, którego życie rozpoczęło się w jej własnym.

Jej pępek jest cały w piasku. Opieram się chęci, by go otrzepać, oczyścić uświęcone miejsce naszego pierwszego połączenia.



## Mia

Dostałam pracę! Jestem asystentką edukacyjną w zoo w San Francisco. Ogłoszenie o wakacie znalazłam w ogłoszeniach drobnych w internecie. Relacje ze zwierzętami są takie niedoceniane. To, że nie potrafią mówić, nie oznacza, że nie są zdolne do porozumiewania się. Myślę, że dzięki temu, że nie mówią, związki z nimi są głębsze. Istoty, które nie mówią, są bardzo wrażliwe na emocje. Można zobaczyć to w ich oczach, wiedzą, kiedy nie są kochane.

Chloe to rozumie, chociaż nie mają zwierząt, ponieważ Thatch jest alergikiem.

– To tak, jakbyśmy mieli magiczne moce – powiedziała – ale ich nie zauważali, bo nam wydają się zupełnie normalne, ale dla innych zwierząt są czymś fantastycznym!

Kiedy pierwszego dnia wróciłam po pracy do domu, Marilyn czekała na mnie w progu i wyściskała mnie, jakbym wyjechała na rok. Próbuje wtłoczyć we mnie dwadzieścia jeden lat miłości naraz. Czasami mam poczucie, że osobą, którą kocha, nie jestem ja. To ktoś, kogo sobie wymyśliła od 1990 roku.

Oto, za czym tęsknię: za byciem zwyczajną.

Tęsknię za tym, jak Lucy opierała się o blat, nalewając kawę, podczas gdy ja kroiałam owoce. Pytałam: „Chcesz kawałek mango?”, a ona odpowiadała: „Nie, dziękuję”. A po chwili dodawała: „Może jednak wezmę plasterek”. Więc odkrawałam go i dawałam jej, a wtedy mówiła „mmmmm”, z rozszerzonymi oczami. Czasem śpiewałam improwizowaną piosenkę o mango. Tęsknię ze jej dłońmi.

Dzisiaj wieczorem zjadłam mango, które dostałam w koszu z owocami, przysłanym przez ciocię Cheryl. Przechowywałam je dosyć długo i było smaczne, słodsze niż twarde owoce, które kupowałyśmy w Nowym Jorku, a mimo to i tak zatęskniłam za tamtymi.

Mam biologiczną matkę. Ale tęsknię za moją mamą.

## Mia

Thatch zapytał mnie dziś wieczorem:

– Czy twoja porywaczka pójdzie do więzienia?

Nadal jest mi przykro, kiedy tak nazywają Lucy.

Marilyn powiedziała tym z FBI, że będzie świadkiem oskarżenia, ale ja się nie zgodziłam.

Część mnie jest wściekła na Lucy i nigdy jej nie wybaczy. Ale Sonya mówi, że uczucia są skomplikowane. Można być na kogoś złym, a jednocześnie bardzo go kochać.

Jak mogłabym posłać mamę, która mnie wychowała, do jakiegoś potwornego budynku, w którym pewnie siedziałyby do końca życia, nie mogąc z nikim porozmawiać inaczej niż przez szybę.

Nigdy nie zapomnę, jak uratowała mnie z miejsca, które mi przypominało więzienie. Kiedy Lucy była mała, zawsze marzyła, żeby pojechać na obóz. Miałam osiem lat i nie byłam pewna, czy chcę jechać, ale uznała, że powinnam spróbować. Próbowałam, przez tydzień, a kiedy z płaczem do niej zadzwoniłam, chora z tęsknoty za domem, rzuciła wszystko i jechała przez sześć godzin, żeby mnie stamtąd zabrać. Przyjechała wynajętym kabrioletem, wracałyśmy do domu w nocy, wiatr zwiewał mi włosy na oczy, gdy na rozłożonym przednim siedzeniu wpatrywałam się w gwiazdy. Pamiętam, jak zobaczyłam spadającą gwiazdę, wdychałam chłodne powietrze i czułam się równie wolna jak ta gwiazda, niespodziewanie spadająca ze swego miejsca w głąb wszechświata.

Nigdy nie będę mogła tak po prostu zapomnieć o Lucy. Zawsze jest ze mną, jak fantomowa kończyzna.

## Marilyn

Niosłam pranie na górę, kiedy zobaczyłam Mię siedzącą na łóżku, plecami do drzwi, i weszłam do pokoju, żeby z nią porozmawiać. Gdy podeszłam, zauważyłam, że trzyma na kolanach chińskie pudełko, obite jedwabiem. Wiedziałam, co to takiego. Chloe mówiła, że Mia ma pudełko z pamiątkami które ogląda, kiedy robi się jej smutno. Postawiłam kosz na łóżku Chloe, a Mia zatrzasnęła wieko, więc poprosiłam ją, żeby mi pokazała, co chowa w środku. Ociągała się, ale usiadłam na narzucie obok niej i powiedziałam, że jestem jej wdzięczna za to, że dzieli się ze mną szczegółami ze swojego życia. Tak wiele chciałabym o niej wiedzieć, chciałabym wiedzieć wszystko. Cały czas mam ochotę ją przytulać, mocno ścisnąć, czuć jej realną obecność. Zupełnie jakbym się spodziewała, że znowu zniknie.

Pokazała mi swoją kolekcję: słoik piasku z Coney Island, kartę z chińską literą, plastikowy pierścioneł, bransoletkę z miejsca o nazwie Polyester's, pierwszy obcięty loczek, przewiązany różową wstążką. Nie mogłam przestać myśleć, gdzie Tom i ja byliśmy, gdy obcinano jej te włosy, przez jakie piekło przechodziliśmy.

Było tam też jej zdjęcie zrobione polaroidem, malutka dziewczynka pod choinką. Poprosiłam, żeby mi o nim opowiedziała. Czy to w jej domu? Czy u kogoś innego? Ale Mia odwróciła się ode mnie, kręcąc przecząco głową, a wtedy zauważyłam skapującą do pudełka łzę.

Zaproponowałam, że dołożę coś do jej skarbów. Miałam bransoletkę, którą jej założono zaraz po urodzeniu, w szpitalu. Czy ją chce?

– Ja jako niemowlę to twoje wspomnienie, nie moje – odrzekła miękko Mia, zamykając pudełko.

Czasami się zastanawiam, czy mówi takie rzeczy specjalnie, żeby mnie zranić.

## Mia

Marilyn i Grant mieli dziś wieczorem spotkanie z prawnikiem, więc zabrałam dzieciaki na kolację do Roślinnego Raju. Łatwo mi myśleć o nich jako o rodzeństwie, ale wciąż nie mogę traktować ich rodziców jak swoich.

Do Roślinnego Burgera Chloe dołączono plastikowe jajko z zabawką w środku. Przypominało mi tamagotchi<sup>20</sup>.

– Pamiętacie tamagotchi? – zapytałam chłopców, ale oczywiście nie pamiętali. Poczułam się staro.

Nagle przypomniało mi się coś, co się wydarzyło, kiedy byłam mała. Dzieci – zwłaszcza Chloe – uwielbiały słuchać opowieści o moim dorastaniu w Nowym Jorku.

To była deszczowa sobota – zaczęłam – na Upper West Side. Miałam około ośmiu lat, robiłyśmy z Lucy zakupy. Niedaleko naszego domu był sklep zoologiczny. Uwielbiałam tam chodzić, żeby się pobawić ze szczeniakami i kociętami z wystawy albo porozmawiać z ptakami, które siedziały z tyłu sklepu milczące i smutne, z wyblakłymi piórami. Próbowałam je pocieszyć przez pręty klatek, zapewniając, że wzięłabym je do domu, gdybym mogła. Błagałam Lucy, żeby mi na to pozwoliła, tłumaczyłam, o ile lepiej będzie im z nami niż w tych ciasnych klatkach. Mówiłam, że Dyniek potrzebuje towarzystwa, ale nie słuchała.

W sklepie zoologicznym sprzedawano też małe zabawki. Wtedy wszyscy szaleli na punkcie tamagotchi.

Tamagotchi to były małe, plastikowe jajka na breloczku. Każdy je miał, ja też. W środku znajdowały się elektroniczne zwierzątka, którymi należało się zajmować przez dwadzieścia cztery godziny, siedem dni w tygodniu: karmić je, bawić się z nimi, kłaść na drzemkę, a jeśli nieodpowiednio się o nie troszczyłeś, piszczały albo wygrywały melodyjki, żeby o sobie przypomnieć. Ayi kupiła mi w Chinatown dinozaura, a Lucy dała mi królika na Wielkanoc. Żabę kupiłam sobie za własne kieszonkowe. W szkołach były zakazane ze względu na dźwięki, jakie wydawały, więc musiałyśmy trzymać je w plecaku i biegać do szafki między lekcjami, żeby się nimi zająć.

– Tyle szkolnych zakazów. – Chloe pokręciła głową.

Najnowszym tamagotchi było Nano Baby. Nikt jeszcze takiego nie miał, poza jedną dziewczynką z klasy, której tata przywiózł tę zabawkę z Japonii. I oto zobaczyłam Nano Baby w naszym sklepie zoologicznym! Błagałam Lucy, żeby mi je kupiła.

– Na urodziny – odpowiedziała, ale do kwietnia było jeszcze bardzo daleko.

Kiedy rozmawiała z panią Kim, zdjęłam Nano Baby z regału. Ktoś już naderwał plastikowy bąbel i jajko samo wpadło mi w ręce. Było takie piękne.

– Idziemy! – zawołała Lucy, czekając na mnie przy drzwiach.

– Do zobaczenia – powiedziałam do Nano Baby i zaczęłam wpychać je z powrotem do opakowania. Wyślizgnęło mi się z ręki. Pochyliłam się, żeby je podnieść, ale nie leżało na podłodze. Nigdzie go nie było! Uklękłam i zaczęłam macać ręką po brudnym linoleum, jednak nigdzie nie mogłam znaleźć jajka, nawet pod metalowym regałem.

– Mia! – Lucy zaczynała się niecierpliwić, a ponieważ nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić, wstałam, żeby do niej podejść, i gdy tylko zrobiłam krok, odkryłam, gdzie jest tamagotchi – w moim kaloszu! Czułam, jak się ociera o moją kostkę. Czy powinnam zdjąć but i oddać zabawkę, za którą nie zapłaciłam? Czy też wyjść, jakby nic się nie stało?

Nie potrafiłam podjąć decyzji. Stopy same niosły mnie dalej. Serce mi podskakiwało, kiedy mijałam stojącą przy kasie panią Kim. Jak zawsze zachęciła mnie, żebym się poczęstowała cukierkiem ze słoja, ale podziękowałam. Minęłam ją pędem i wybiegłam ze sklepu, denerwując się, że mój kalosz zacznie piszczeć albo dzwonić, albo grać i mnie zdradzi. Co też się stało, gdy tylko weszłyśmy do mieszkania. Lucy zobaczyła, jak wyjmuję zabawkę z buta, poleciła mi z powrotem włożyć płaszcz, poszła ze mną do sklepu, kazała mi zwrócić zabawkę i przeprosić panią Kim. Już nigdy nie mogłam wejść do jej sklepu. Powiedziałam *ayi*, że zaczął mi przeszkadzać tamtejszy zapach. Kilka miesięcy później splajtowali i zawsze się martwiłam, że miałam z tym coś wspólnego.

– Ty byłaś tamagotchi Lucy – powiedział Connor, wyciskając na swojego hot doga keczup z granatów.

Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam? To było takie oczywiste.

– Szkoda, że nie mogłaś zmusić Lucy, żeby cię zwróciła – dodał Connor.

Ale ja się cieszę, że Lucy tego nie zrobiła. I dlatego żal mi Marilyn.

[20](#) Tamagotchi – elektroniczna zabawka, małe, plastikowe jajko z wyświetlaczem w środku, na którym pojawia się elektroniczne zwierzątko, którym trzeba się opiekować.

## Grant

Ludzie myślą, że porwane dziecko wraca do domu i koniec historii. Wszyscy żyją długo i szczęśliwie. Ale to tak nie działa.

Nie mówię tego Marilyn, ale martwię się tym, co Mia robi z naszą rodziną. Chloe świetnie sobie radzi, jednak chłopcy są zagubieni. Mia jest bystra, ale nie ma żadnych umiejętności życiowych. Nikt nie nauczył jej choćby podstaw, jak sobie radzić na tym świecie. Kiedy do nas przyjechała, nawet nie umiała prowadzić samochodu.

Pewnego dnia zabrałem ją do warsztatu, chciałem jej pokazać kilka rzeczy, jak trzymać młotek, jak zabezpieczyć piłę – umiejętności, które będą jej potrzebne, kiedy pójdzie na swoje. Nie to, że nie była zainteresowana. Ona po prostu nie ma w tym kierunku absolutnie żadnych zdolności. Może już za późno, żeby się tego nauczyła.

Marilyn cały czas wyciąga do niej rękę, ale nie da się osiągnąć harmonii na siłę. Nie spiesz się, radzę. Daj jej czas. Opowiadam Marilyn o domu, w którym teraz pracuję w Hillsborough. Jest stary, wybudowany w 1853 roku. Słupy i belki. Połączenia kątowe. Widać, jak dokładni byli wtedy cieśle. Nie mieli laserowych poziomnic, a mimo to niemal wszędzie pion jest idealny. Prawie w całym domu słupy i belki dokładnie do siebie pasują. Jednak w tej części, gdzie pracujemy, oddaliły się od siebie. Pewnie na skutek trzęsienia ziemi. Używamy sznurów, by ściągnąć wszystko razem, ale nigdy nie będą pasowały do siebie tak doskonale, jak kiedyś. Zbyt długo były rozdzielone.

## Marilyn

Rozmawialiśmy dzisiaj z prokuratorem. W samochodzie w drodze powrotnej wyjaśniłam Mii, dlaczego Lucy powinna iść do więzienia. Potrzebny jej czas, żeby przemyślała to, co zrobiła.

– Więzienie to nie klasztor, gdzie będzie mogła siedzieć i oddawać się kontemplacji! – zawołała Mia. Tonem ostrzejszym, niż się spodziewałam. Najwidoczniej już o tym myślała.

– Ona zasługuje na więzienie nie tylko według ludzkiego prawa – ciągnęłam, ale też prawa określającego, co jest słuszne we wszechświecie. Ona musi ponieść konsekwencje swoich czynów. Porwanie dziecka odbija się nie tylko na nim, ma też wpływ na innych ludzi.

Odwróciłam się od kierownicy, żeby spojrzeć na Mię, ale siedziała ze wzrokiem wbitym w drogę przed sobą.

– Nie potrafisz sobie wyobrazić, jaki to horror utracić dziecko, zastanawiać się, gdzie jest, martwić się o nie bezustannie, całymi latami.

– Jeśli tak bardzo ci na mnie zależało, to dlaczego zostawiłaś mnie samą w wózku na zakupy?

Poczułam się tak, jakby mnie uderzyła.

Oczy wypełniły mi się łzami. Nie mogłam ich powstrzymać. Pomyślałam, że powinnam się zatrzymać, bo prawie nie widzę drogi. Ale to była moja pierwsza prawdziwa rozmowa z Mią. Niektórzy ludzie potrafią mówić o swoich uczuciach, dopiero kiedy nie patrzą ci w oczy.

– Zostawiając cię tam, popełniłam błąd – odrzekłam. – Błąd, za który płaciłam każdego dnia przez dwadzieścia jeden lat. Lucy też musi zapłacić za swój błąd. Tak będzie sprawiedliwie.

– Życie nie jest sprawiedliwe – mruknęła Mia, nadal patrząc przed siebie.

– Dlatego prawo musi takie być – odparłam. – Rozumiem, że nie chcesz, aby osoba, która cię wychowywała, trafiła do więzienia. Ale zgodnie z prawem właśnie na to zasługują porywacze.

– Moja mama nie jest porywaczką – powiedziała cicho Mia.

– Co?

– Jestem jedynym dzieckiem, jakie kiedykolwiek zabrała. Przecież nie ma zamiaru zrobić tego znowu.

– Nie o to chodzi – zaprotestowałam. Argumenty wypełniały mój umysł, który był coraz większy i większy, jak nadmuchiwany balon. – Jeśli Lucy nie odsiedzi wyroku, to tak, jakbyśmy uznali, że zabranie komuś dziecka nie ma znaczenia. Twoje porwanie było najgorszą rzeczą, jaka kiedykolwiek spotkała mnie i twojego ojca. To zmieniło nasze życie. Zdruzgotało nas.

– I dlatego musisz wsadzić ją do więzienia, żeby się zemścić?

– To rekompensata! – poprawiłam ją, gdy mijaliśmy radiowóz, i nagle nacisnęłam hamulec, bo zdałam sobie sprawę, jak bardzo przekroczyłam dopuszczalną prędkość.

## Lucy

Kiedy wczoraj spotkaliśmy się z Linem na konwersację i pierogi, do baru wszedł jego kolega. Lin mnie przedstawił i przesunął się na ławce, żeby zrobić mu miejsce przy naszym stole. Powiedział, że jego imię – amerykańskie imię – brzmi Spock. Dorastał, zaczytując się w chińskich komiksach *Star Trek*.

Angielski tamtego był o wiele lepszy niż Lina i zaczęliśmy rozmawiać, a w oczach Spocka pojawił się dziwny błysk, kiedy pytał, skąd jestem i co tutaj robię. W mojej głowie rozbrzmiał alarm, ale Lin spokojnie zajadał pierogi, więc przekonałam samą siebie, że jego przyjaciel chciał tylko poćwiczyć angielski i z naszej rozmowy nie może wyniknąć nic złego. Powiedziałam mu, że przyjechałam do Chin w interesach, bo tak zawsze mówię tym, którzy o to pytają.

Spock i ja kontynuowaliśmy rozmowę: o pogodzie, amerykańskich gwiazdach pop (Miley Cyrus), programach telewizyjnych – tutaj najbardziej lubią *Przyjaciół*, pod chińskim tytułem *Sześcioro ludzi idących razem*. W pewnym momencie wziął iPhone'a i coś napisał, a gdy tylko go odłożył, aparat zaczął dzwonić, piszczeć i przesuwac się po stole. Spock złapał go w ostatnim momencie, zanim iPhone upadł na podłogę, brudną od rozlanego rosołu i splunięc.

Byłam zbyt zdenerwowana, by dokończyć pierogi. Powiedziałam, że coś sobie przypomniałam i muszę już iść. Jednak płacenie rachunku trwało bardzo długo i kiedy wyszliśmy z baru, usłyszałam moje imię:

– Lucy? Lucy Wakefield?

Odwróciłam się i zobaczyłam kobietę machającą legitymacją prasową. Wcisnęła mi telefon w twarz i zadawała jedno pytanie po drugim.

– Dlaczego porwała pani dziecko? Czy Chiny odeślą panią do Stanów?

Spock umknął chyłkiem, a Lin zdjął kurtkę, zarzucił mi ją na głowę i poprowadził mnie do taksówki. Kiedy dotarliśmy do drzwi auta i zanurkowałam pod ramieniem Lina, żeby wsiąść, kurtka zsunęła mi się z głowy, odsłaniając twarz, przed którą znowu wyrósł telefon.

– Czy ma pani coś do powiedzenia dziewczynie, którą trzymała pani w niewoli przez dwadzieścia jeden lat?

Nagle zatrzymałam się i obróciłam.

– Tak – powiedziałam, pochylając się ku ekranowi w dłoni reporterki. – Kaczeraczma.

Wtedy Lin wciągnął mnie do taksówki i odjechaliśmy.



Żałuję, że powiedziałem Wang Xueling o Lucy. Wang jest synem koleżanki mojej matki. Myślałem, że mogę mu zaufać. Nie wiedziałem, że sprzeda informację Dragon TV. Ale powinienem wiedzieć. Żona Wanga jest w Arizonie. Pojechała tam, żeby ich dziecko mogło zostać obywatelem Stanów Zjednoczonych. Ich syn się urodził, ale ona nie wraca do domu. Wang ciągle musi posyłać jej pieniądze.

## Mia

Zobaczyłam Lucy po raz pierwszy od lutego. W telefonie. Connor przesłał mi film, który dostał od kolegi w szkole. Materiał pochodził z jakiegoś chińskiego programu. Reporterka przyłapała moją mamę, jak wychodziła z restauracji. Biedna Lucy. Miała wymizerowaną twarz, dzikie spojrzenie i wyglądała na przerażoną. Zrobiło mi się jej żal. Napisy na filmie były po chińsku i zastanawiałam się, jak przetłumaczyli jedyne słowo, jakie powiedziała, słowo, którego nie rozumie nikt poza mną.

Cieszyłam się, że jestem sama, co rzadko mi się zdarza w tym domu. Grant był w pracy, chłopcy w szkole, a Marilyn zawiozła Chloe na lekcję gry na harfie. Siedziałam na łóżku w naszym pokoju i wciąż od nowa oglądałam filmik w telefonie, tuląc do siebie wielkiego żółtego misia, którego Chloe trzyma na poduszce. Płakałam za moją mamą, jakbym ja też miała dziesięć lat.

## Mia

Rano zadzwoniłam do *ayi*. Nadal mam jej numer w telefonie. Napisała go na kartce pocztowej, niemal całej pokrytej znaczkami. Odkąd ją dostałam, obiecywałam sobie, że do niej zadzwonię.

Powiedziałam Marilyn, że muszę pojechać po coś samochodem. Ale tak naprawdę potrzebowałam spokoju. Pojechałam do galerii handlowej i stanęłam na parkingu. Była 8:30, 23:30 w Szanghaju. Wiedziałam, że *ayi* jeszcze nie śpi, chyba że zmieniła zwyczaje. Nie lubiła kłaść się przed północą. Miałam nadzieję, że to wciąż jest jej aktualny numer. Tyle cyfr, żeby się z nią połączyć! Telefon dzwonił i dzwonił. Sygnał był dziwny. Najpierw zbyt długi, potem za krótki i kiedy już miałam się rozłączyć, usłyszałam męski głos mówiący:

– *Wei?* – czyli po chińsku „halo”.

– Czy to *Ba?* – zapytałam, myśląc, że to mąż *ayi*. – *Shi Mia!*

Byłam zdumiona, że chińskie słowa, których nie używałam tyle lat, natychmiast odnalazły się w mojej głowie.

Nastąpiła długa chwila ciszy i myślałam, że nas rozłączyło. Ale nie.

– Tu mówi Lin, syn Wanling – odezwał się w końcu tamten głos, a ja zdałam sobie sprawę, że ten mężczyzna to chłopiec, z którym nie rozmawiałam przez lata, odkąd w dzieciństwie *ayi* raz czy drugi dała mi telefon, żebym się z nim przywitała.

– *Lin! Ni hao* – powiedziałam, zamierzając rozpocząć z nim rozmowę z nadzieją, że jego angielski jest lepszy niż mój chiński.

Ale nikt mi nie odpowiedział. W tle usłyszałam jakiś brzęk i rozmowę.

*Ayi* zapytała:

– *Ren si le?* – „Kto umarł?”.

Zdałam sobie sprawę, że Lin z jakiegoś powodu nie powiedział matce, że to ja dzwonię, i ona myśli, że to jakiś daleki krewny telefonuje tak późno w nocy ze złymi wieściami.

Nagle usłyszałam głos mojej niani tak wyraźnie, jakby stała obok mnie.

– *Wei? Wei? Wei?*

Coś ścisnęło mnie w gardle i przez chwilę nie mogłam mówić. Kiedy wypowiedziałam swoje imię, *ayi* wydała okrzyk radości i zaczęła bardzo szybko mówić po chińsku. Wszystkie te słowa, które, jak mi się wydawało, zapomniałam. Rozmawialiśmy ponad godzinę, dopóki bateria w moim telefonie prawie się nie wyczerpała, i umówiliśmy się na następną rozmowę. Pojechałam do domu i wjeżdżając do garażu, postanowiłam nie mówić o niczym Marilyn, chociaż nie wiedziałam dlaczego.

## Mia

Zasięgnęłam informacji. Prawnicy, u których odbywałam staż w styczniu, podali mi nazwę kancelarii specjalizującej się w prawie karnym i jej pracownicy udzielają mi *pro bono* konsultacji przez Skype'a.

Dzwonię do nich podczas przerw w zoo. Siadam w kawiarni, przy oknie, gdzie jest najlepszy zasięg, i patrzę na małpki czepiaki, bawiące się wśród drzew na wyspie przypominającej las.

Dzisiaj rozmawiam z prawniczką o imieniu Adele. Mówimy o czymś, co nazywa się ruch kompleksowego podejścia do prawa. Adele siedzi w swoim gabinecie i kiedy patrzę na czubki wieżowców, widoczne w oknie za jej plecami, zaczynam tęsknić za „miastem”. Dla mnie „miasto” to zawsze będzie Nowy Jork.

– Stosuje się teraz nowy sposób postępowania wobec sprawców przestępstw – mówi Adele.

Wygląda na zmęczoną; ma worki pod oczami i przypominam sobie zabawny fakt, o którym kiedyś powiedziała nam pani Laniere: ze względu na obroty Ziemi ludzie pracujący na wysokich piętrach pokonują każdego dnia półtora kilometra więcej niż ludzie na poziomie morza.

– Sprawiedliwość naprawcza – kontynuuje Adele. Trochę orientuję się w temacie. Uczyliśmy się o tym na zajęciach.

Adele uważa, że może uzyskać od stanu New Jersey pisemną gwarancję, że jeśli Lucy wróci i się przyzna, zostanie skazana, jednak nie pójdzie do więzienia.

Żołądek mi podskakuje, kiedy ona to mówi. Czy chcę, żeby Lucy wróciła?

Chyba chcę. Nie można kogoś kochać przez dwadzieścia jeden lat, a potem spodziewać się, że ta miłość po prostu zniknie. To, co zrobiła Lucy, było złe. Ale też włożyła w moje wychowanie całe swoje serce. W ogromnej części dzięki niej jestem, kim jestem. Nie chcę, żeby spędziła resztę życia w więzieniu.

Adele, nie przestając mówić, odchodzi od monitora, żeby nalać sobie kolejny kubek kawy.

– Będzie musiała się spotkać twarzą w twarz z twoimi rodzicami i z tobą. Będzie musiała zgodzić się na rekompensatę wobec ciebie i społeczności.

– I nie pójdzie do więzienia? – upewniam się. – Nawet za przestępstwo tak poważne jak porwanie?

Trudno mi w to uwierzyć. Oglądałam każdy odcinek *Prawa i porządku* – kręcili je w naszym budynku – i nigdy żaden oskarżony nie uniknął w ten sposób kary.

Adele wróciła, miesza słomką kawę w swoim kubku.

– Prokurator okręgowy chce po prostu zamknąć tę sprawę.

Kilka dni później dzwonię do rektora w sprawie mojego powrotu do Midd, żeby dokończyć college i pójść na studia prawnicze, jak planowałam.

Może jednak jestem taką osobą, jak myślałam.

## Marilyn

Sonya mówi, że muszę się pogodzić z obecnym stanem rzeczy. Muszę dotrzeć do miejsca przebaczenia. Jeśli nie wybaczę, moje życie nie będzie mogło pójść naprzód.

Kobieta, która zabrała moją córkę, wychowała ją z miłością. Czy mi się to podoba, czy nie, stanowi część życia mojej córki. Raniąc Lucy, zranię moją córkę. Mia już wystarczająco dużo przeszła. Nie chcę, żeby musiała jeździć w odwiedziny do więzienia. Chcę, żeby moja córka kroczyła w świetle, tak daleko od ciemności, jak to tylko możliwe.

Może postawienie Lucy twarzą w twarz z ludźmi, których skrzywdziła, to droga uzdrowienia dla nas wszystkich. Pozwolić jej zobaczyć zniszczenia. Zmusić ją do konfrontacji z prawdą zamiast kłamstw, które powtarzała sobie przez te wszystkie lata.

Dla dobra Mii zgodziłam się poprosić, żeby nie wnioskowano o pełny wymiar kary.

Jednak prokurator zastrzegł się, że Tom również musi wyrazić zgodę.

Powinni ją zamknąć.

Ona jest kryminalistką. Przystępczynią. Musi odsiedzieć wyrok. Ukradła cudze życie. Ukradła życie trojga ludzi.

Nie jestem tym samym człowiekiem, jakim byłem, kiedy to się stało. Wykonuję zupełnie inną pracę. Moje studia prawnicze nic nie znaczą na Kostaryce. Teraz jestem biznesmenem. Kobieta, z którą się ożeniłem, jest Kostarykanką. Nie byłem w Stanach od lat.

Moim zdaniem złych wydarzeń nie da się cofnąć. Powiedzmy, że masz wypadek i tracisz rękę albo nogę. Przecież ich nie odzyskasz tylko dlatego, że tego chcesz. Fakty są takie, że ja straciłem dziecko. To mnie zdruzgotało, zrujnowało moje małżeństwo. W końcu się dostosowałem. Ale popełniono potworną zbrodnię.

Prawo mówi, że kiedy ktoś popełni przestępstwo, kiedy wykonujesz krok w przód i niszczysz czyjeś życie, musi zająć się tym prokurator. Taka osoba musi zapłacić współmiernie do popełnionego czynu. Musi ponieść konsekwencje. Ona musi ponieść konsekwencje. Jeśli stan to zlekceważy, jeśli puszcza ją bezkarnie, jaki wyślą komunikat do społeczeństwa – że zabieranie cudzego dziecka to nic wielkiego?

## Mia

Marilyn dała mi numer telefonu taty, żebym spróbowała go przekonać do zmiany zdania.

Mój tata. Wciąż dziwnie się czuję, wypowiadając te słowa. Znalazłam go w internecie, zanim zadzwoniłam, żebym miała przed oczami jego twarz, gdy będę z nim rozmawiać. Marilyn powiedziała, że on nie korzysta z Facetime'a ani Skype'a. Nie ma też konta na Facebooku, ale znalazłam jego zdjęcia z jakichś kolacji i innych uroczystości. Ma taki sam uśmiech jak ja. I dołeczki w policzkach.

Wybranie ostatnich cyfr zajęło mi dużo czasu. Serce podeszło mi do gardła. A jeśli mnie nie polubi? Albo ja jego? A jeżeli nie tak sobie wyobrażał swoją córkę? Nie ma drugiej. Nie ma żadnych innych dzieci. Nawet się z tego ucieszyłam.

Zanim odebrał, telefon długo dzwonił.

– Halo – powiedział. Wydawało mi się, że to głos kogoś, kto jest wysoki.

– Cześć, tu Mia. – Miałam wrażenie, jakby mój język ważył ze sto kilo. Przypomniałam sobie, że on mnie znał jako Natalie. – Twoja córka.

Po drugiej stronie zapadła cisza tak długa, że już myślałam, że nas rozłączyło.

– Och – odezwał się w końcu. – Cześć.

To wszystko? W ten sposób wita zaginioną córkę, której nie widział przez dwadzieścia dwa lata?

– Czy to nieodpowiedni moment? – zapytałam. Może był w pracy. Ale Marilyn mówiła, że to jego domowy numer.

– Nie, skąd – zapewnił. – Jak się masz... Mia?

Moje imię wypowiedziane głosem ojca brzmiało cudownie.

– W porządku – odrzekłam. – Cóż, właściwie nie do końca. Wiele się ostatnio u mnie działo, jak zapewne słyszałeś.

– Jak mogę ci pomóc? – zapytał. – Potrzebujesz pieniędzy?

– Nie – zaprzeczyłam natychmiast. – Tak właśnie myślisz? – Poczułam się urażona.

– Nie wiem, co mam myśleć. Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

Głos mu się zaciął. Martwił się, jakie zrobi na mnie wrażenie!

– Niczego nie oczekuję – odparłam.

Nie zachowywał się jak Marilyn, która miała praktykę w roli matki, wiedziała, co powiedzieć, jak powinien się zachować rodzic. Ojciec czuł się w tej sytuacji nieswojo, czego ja też się obawiałam.

– Jestem innym człowiekiem niż wtedy, kiedy byłem twoim ojcem.

Był moim ojcem? Czy to oznacza, że już się za niego nie uważa? Zrobiło mi się smutno. Po raz pierwszy w życiu chciałam mieć ojca. To by nie było skomplikowane. On byłby moim jedynym.

– Nie martw się, nie pamiętam cię z tamtych czasów – powiedziałam. – Więc możesz być tym, kim jesteś. Nie wyobrażam sobie ciebie w żaden konkretny sposób. I ty traktuj mnie tak samo, dobrze?

Usłyszałam ciche westchnienie. Może ulgi.

– Dobrze – zgodził się. – To brzmi jak coś, co mogłoby powiedzieć moje dziecko.

Wtedy zaczęliśmy rozmawiać i zanim się rozłączyłam, umówiliśmy się na spotkanie w Nowym Jorku. Poczułam się tak, jakbym miała ojca od zawsze.



## Mia

Podjęliśmy decyzję, że to ja powinnam polecieć i wszystko wytłumaczyć Lucy. Pragnęłam to zrobić. Nie chciałam, żeby zajął się tym ktoś inny, zwłaszcza prawnik.

Chciałam sama się spotkać z Lucy. Chciałam zobaczyć *ayi*.

Dostałam mój pierwszy paszport. Na podstawie prawdziwego aktu urodzenia. Ale najpierw musiałam iść do urzędu i zmienić nadane mi przez rodziców imię i nazwisko na obecne, Mia Wakefield.

Kupiłam bilet na dwudziestego pierwszego grudnia, dzień, w którym nikt w Kalifornii nie chciał podróżować, ponieważ zapowiedziano na niego koniec świata. Dzień zagłady. Kolizja planet. Katastrofa przepowiedziana przez starożytnych Majów. Marilyn powiedziała, że nie sądzi, aby wtedy nastąpił koniec świata, ale gromadzi w piwnicy latarki, baterie, butelki z wodą i batoniki z muesli, kupione w sklepie, z konserwantami. Tłumaczy nam, że łamie swoje zasady, na wypadek gdyby to miało potrwać dłużej.

Ja się nie martwię. Mój koniec świata już nastąpił.

## Cheryl

Zadzwoiłam do Mii, żeby ją zaprosić na Boże Narodzenie i przyjęcie zaręczynowe Jake'a, które odbędzie się dzień po świętach. Miło było usłyszeć jej głos. Dawno nie rozmawialiśmy. Wiedziałam, że raczej nie przyjedzie, bo zapewne spędzi święta ze swoją nową rodziną w Kalifornii. Ale chciałam, żeby czuła się zaproszona.

Zaskoczyła mnie, opowiadając o swoich planach wyjazdu do Chin, żeby sprowadzić Lucy z powrotem. Zapewniła, że Lucy nie pójdzie do więzienia. Kiedy mi to tłumaczyła, musiałam się pilnować, aby nie usłyszała, jaka jestem zła.

Dlaczego byłam zła?

Myślałam o tym po naszej rozmowie.

Lucy zawsze wszystko przychodziło z łatwością. Dostawała dobre stopnie, chociaż właściwie się nie starała. Była popularna, odnosiła sukcesy w drużynie pływackiej, dostała stypendium do college'u należącego do Ivy League<sup>21</sup>. Wyjechała z domu i znalazła sobie wspianą pracę. Kiedy nasza matka zachorowała, pod koniec tylko ja się nią zajmowałam. Lucy przysyłała pieniądze, ale to na mnie spoczywał ciężar opieki nad mamą, żeby nie musiała umierać w szpitalu. Mojej siostrze zawsze udawało się wysmyknąć z pętli odpowiedzialności.

Była tylko jedna rzecz, której pragnęła, a której nie mogła mieć: dziecko. Więc zabrała dziecko komuś innemu. Chociaż bardzo się staram, nie potrafię jej tego wybaczyć. Nie mogę udawać, że nie zrobiła tego, co zrobiła. Oszukiwała naszą rodzinę całymi latami. Okłamywała tę biedną dziewczynę, którą pozbawiła rodziców.

Sprawiedliwość naprawcza? Jak można zrekompensować tym ludziom to, co im zrobiła? Zabrała im dziecko. Zniszczyła małżeństwo. Odebrała życie, jakie było im przeznaczone.

Lucy to moja siostra. Jest mi jej żal. Jednak nie mogę jej wybaczyć. Przykro mi, ale nie potrafię.

Cieszę się, że prokurator stanowy nie pytał mnie o zdanie w tej kwestii.

<sup>21</sup> Ivy League – osiem elitarnych uniwersytetów amerykańskich, znajdujących się w północno-wschodniej części USA.

## Marilyn

Wszyscy odwozimy Mię na lotnisko. Grant parkuje, a my idziemy do hali odlotów, Thatch niesie plecak, który Mia zabierze ze sobą do samolotu, Connor torbę podróżną, a Chloe torebki z przygotowanymi przeze mnie przekąskami: chipsy z migdałów i jarmużu i ciastka figowo-ryżowe, żeby nie musiała jeść tego, co podają w samolocie.

Na lotnisku jest pustawo, ponieważ wszyscy boją się Dnia Zagłady. Ja obudziłam się rano z ciężkim sercem z powodu wyjazdu Mii, ale też pełna wdzięczności za zwyczajny świt.

Spędziła z nami dziesięć miesięcy, tyle czasu potrzebowała, żeby zacząć wracać do zdrowia. Mia jest Koniem. Musi być w ruchu. Jej słońce znajduje się w Plutonie, planecie gruntownych zmian, która popycha nas ku naszemu przeznaczeniu równie nieświadoma jak my, czym ono jest.

Dziś rano Grant zapytał mnie, czy jest mi przykro, że znowu ją tracę. Odpowiedź brzmi „nie”. Nie tracę Mii. Pochodzi z mojego ciała i zawsze będzie częścią mnie, bez względu na to, w jakiej części świata się znajdzie. Nawet kiedy byliśmy rozdzielone, czułam ją przy mnie. Nauczyłam się, że strata jest częścią życia; przypomina nam, żebyśmy doceniali to, co mamy teraz.

Nigdy nie przestanę być wdzięczna za jej powrót. Czy chciałabym, żeby wróciła wcześniej? Oczywiście, że tak. Ale przestałam się zmagać ze wszechświatem. Przestałam się zmagać z Mią.

Wczoraj posadziliśmy drzewo. Zebraliśmy się w ogrodzie całą szóstką. Dokądkolwiek Mia pojedzie, gdziekolwiek będzie, to drzewo zostanie tutaj jako symbol jej korzeni w rodzinie. To wierzba płacząca. Sama ją wybrałam, ponieważ część mnie zawsze będzie płakać za tym, co straciłam. A mimo to wierzba ma uzdrawiającą energię, pomaga duszy przejść przez smutek ku radości.

Próbuję sobie wyobrazić, jak to będzie za kilka miesięcy, kiedy znowu stanę twarzą w twarz z kobietą, która ją zabrała, tym razem wiedząc, co zrobiła, w jakimś pokoju wskazanym przez sąd New Jersey. Zapytano mnie, jaka moim zdaniem powinna być rekompensata. Rekompensata! Nic nie może zrekompensować tych lat z dala od córki, które są bezpowrotnie stracone.

Ale przebaczę kobiecie, która ją zabrała.

Dużo myślałam o tym, co jej powiem. Wezmę jej dłonie w swoje, spojrzę jej w oczy i podziękuję za to, że wychowała moją córkę na tak wspaniałego człowieka. Mam nadzieję, że potrafię to zrobić. Kiedy wybaczasz, zwracasz wolność jednemu więźniowi: sobie.

Czekamy z Mią w kolejce do samolotu; paszport przygotowany, otwarty bagaż. Zastanawiam się, kiedy ją znowu zobaczymy. Boże Narodzenie spędzi w Chinach. Potem wróci do Vermontu,

na ostatni semestr. Czy przyjedzie wiosną, jak obiecywała? Zaprosiła nas na uroczystość wręczenia dyplomów w maju.

Jest jakiś problem z bagażem Mii; widzę, że wskazuje na nią ktoś z obsługi. Podchodzę, żeby pomóc. Torba jest za ciężka. Mia pochyla się, otwiera ją, szuka czegoś w środku i wyjmuję kilka rzeczy, w tym małą kulę numer osiem, którą Chloe dała jej na urodziny.

– Przechowaj to dla mnie – prosi siostrę, po czym zapina suwak. Pracownik kładzie torbę na pas transmisyjny za jej plecami i bagaż znika.

Po kolei żegnamy się z Mią. Thatch, Connor, Chloe. Zastanawiam się, kiedy znowu zobaczę moje wszystkie dzieci razem. Grant bierze ją w niedźwiedzi uścisk. Wcześniej, w domu, widziałam, jak wsuwał jej zwitek banknotów do plecaka, stojącego przy drzwiach wyjściowych. Kiedy przychodzi moja kolej, jej twarz jest mokra. Mówię, że coś dla niej mam, i wyjmuję z kieszeni maleńkie pudełeczko, obciążone jedwabiem.

– Już jestem za ciężka – mówi, wycierając policzki.

– Nieprawda, jesteś chuda jak tyczka. – Uśmiecham się. To była prawda, kiedy do nas przyjechała. Ale cieszę się, że nie jest już taka kanciasta. Odsyłam ją w świat zdrowszą, odżywioną.

Otwiera pudełko.

– Dwa naszyjniki? Sama je zrobiłaś?

Potakuję; wyjmuję najpierw jeden delikatny srebrny łańcuszek, potem drugi. Z każdego zwisa maleńki czerwony półksiężyc. Oba półksiężycy, złożone razem, tworzą serce. Pierwszy zapinam na jej szyi, drugi na swojej.

– Kiedy jesteśmy razem, nasze serca stanowią jedność – mówię.

Długo się tulimy. Mam świadomość, że ona wkrótce będzie w innym kraju, że będzie obejmowała kobietę, która ją ukradła, która bez chwili wahania w ten letni dzień zmieniła przeznaczenie nas wszystkich.

Ale muszę przestać to rozpamiętywać. Muszę darować.

– Kocham cię – mówię.

Rozdzielamy się, a Mia kiwa głową.

– Ja też cię kocham, matko. – Pochyla się po bagaż podręczny, nie patrzy na mnie. Czuję dławienie w gardle. Nigdy wcześniej nie nazwała mnie matką.

Patrzę, jak odchodzi w stronę długiej kolejki do kontroli osobistej. Jest dzieckiem z mojej przeszłości, córką, która przestała rosnać w wieku czterech miesięcy; jest też córką z mojego tu i teraz, której przeszłość powoli poznaję. Obie są dla mnie równie cenne.

– Chodźmy, Mia już poszła! – wołają chłopcy i biegną za Grantem, który już ruszył w stronę parkingu.

Ale ja jeszcze stoję i wpatruję się w miejsce, w którym była.

## Lucy

W hali przylotów na lotnisku w Szanghaju czerwone litery nade mną informują po chińsku i po angielsku, że samolot Mii wylądował. Czuję drżenie linoleum, tak wypolerowanego, że lśni jak marmur – jak gdyby było podłączone do prądu. Po raz pierwszy od prawie roku stopy Mii i moje dotykają tej samej części ziemi.

Czekam na nią w morzu ludzi, niemal zmiążdżona przez falujący tłum, napierający na barierki, które oddzielają nas od drzwi z mrożonego szkła, oznaczonych „Przyloty”. Z przodu stoją taksówkarze i kierowcy w uniformach, opierają się o poręcze, trzymając tekturowe tablice z naskrobanymi napisami, w większości po chińsku. Inni też trzymają tablice i cofam się, żeby róg jednej z nich nie wyślubiał mi oka.

Pracownicy ochrony, mężczyźni i kobiety w niebieskich koszulach i czarnych czapkach z lśniącymi daszkami, bez przerwy machają, żebyśmy się odsunęli. Kiedy jakimś niecierpliwemu witającemu uda się przepchnąć za barierkę, strażnik beszta go ostro, popychając winowajcę dłońmi w białych rękawiczkach i wcale nie delikatnie przepędza na jego, nasze, wyznaczone miejsce. Cokolwiek robisz w Chinach, gdziekolwiek jesteś, otacza cię tłum ludzi robiących to samo.

Wydaje mi się, że trwa to całą wieczność. Ulokowałam się przy bramce numer osiemnaście, Wendy powiedziała mi, że to najlepsze miejsce do oczekiwania na pasażerów lotów międzynarodowych. Stoję naprzeciwko bramki przylotów. Zarówno Wendy, jak i Lin zaproponowali, że przyjadą ze mną i razem odbierzemy Mię, ale ja się uparłam, że wezmę taksówkę. Chcę przywitać Mię sama, chcę mieć ją tylko dla siebie przynajmniej przez te czterdzieści minut, które potrwa jazda do domu Wendy, gdzie Mia się zatrzyma i gdzie będziemy świętować przy uczcie, którą Wendy szykuje od wielu dni.

Sprawia mi przyjemność wyobrażanie sobie ich razem. Widzę Mię, jak pomaga Wendy lepić pierogi, jej ulubione jedzenie w dzieciństwie. Widzę, jak szybkie są dłonie Wendy, i Mii też, dodające mąki do ciasta i wycinające trójkąty, które Wendy posypuje mąką i nakłada do nich farsz – trochę warzyw, trochę wieprzowiny – po czym zagniata brzegi kciukiem i palcem wskazującym, szczyt, szczyt, szczyt dookoła. Niemal słyszę, jak Mia przetrząsa pamięć Wendy w poszukiwaniu przepisów: kluski trzydniowe, gulasz z siedmioma jajkami. I przewijam wizję do przodu; widzę Mię w przyszłości, jak gotuje te same potrawy dla swoich dzieci – naturalnie *xi fan*, kiedy są chore – i jest mi bardzo smutno, że nie będę patrzyła, jak dorastają.

Czasami wyrzuty sumienia tak mi ciąży, że nie mogę się ruszyć.

W końcu otwierają się drzwi z mrożonego szkła i ludzie wokół mnie prą do przodu, próbując zobaczyć tych, na których czekają, i być przez nich zobaczonymi. Zostaję odsunięta do tyłu. Nie przepycham się naprzód, mogę poczekać. Już tak długo czekałam.

## Mia

Czekam i czekam. Ogromne bagaże wypadają na błyszczącą taśmę. Pudełka przewiązane postrzępionym sznurkiem, owinięte folią walizki, czarne torby na kółkach, wielkie jak lodówki. Ale mojej torby nie widać.

W końcu zostaję przy taśmie sama. Widzę, że nie pojawia się na niej żaden nowy bagaż. Idę do okienka oznakowanego po angielsku „Informacja”.

Kiedy stoję przy ladzie, jestem zaskoczona, jak dobrze znam chiński, jak słowa, których potrzebuję, same napływają mi do ust. Przez cały ten czas musiały czekać we mnie uspięte i chociaż nigdy nie byłam w Chinach, z jakiegoś powodu czuję się, jakbym wróciła do domu.

Kiedy byłam mała, bałam się, że moja mama umrze. Gdyby umarła, kto by się mną zajął? *Ayi* powiedziała, że wtedy zabierze mnie do Chin i będę tam dorastać. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. A teraz tu jestem.

Urzędnik pyta o moją narodowość.

– *Mei guo Ren* – mówię. „Osoba z pięknego kraju”.

– Kim jesteś? – pyta po angielsku, mając na myśli moje nazwisko.

Właśnie próbuję się tego dowiedzieć, chcę mu powiedzieć.

Nie jestem niemowlęciem Marilyn (dotykam jej delikatnego wisiorka, bezpiecznego w mojej kieszeni). Nie jestem córką Lucy. Jestem Mia.

Nie mogą znaleźć bagażu. Moja torba zaginęła. Moje ubrania i prezenty dla *ayi* – krem do twarzy i witaminy, o które prosiła, cygara dla Fenga – są w Singapurze albo w Bangkoku lub w Hanoi, nie wiadomo, i kiedy stoję tam, wypełniając formularze – tyle druków! – zdaję sobie sprawę, że nie jest mi przykro. Właściwie od dawna nie czułam się tak lekka, tak wolna. Może bagaż dotrze do domu *ayi*. Ale czy dotrze, czy nie – ku mojemu zaskoczeniu to nie ma dla mnie znaczenia.

Biorę plecak, zarzucam go na ramię i idę w stronę drzwi wyjściowych. Mijając ścianę pokrytą metalem, przystaję i przeglądam się w niej, żeby poprawić fryzurę. Ściągam z nadgarstka jedną z wielu kolorowych gumek, zbieram włosy, odsłaniając twarz, i przygotowuję się na spotkanie z moją mamą.

## Lucy

Jeden po drugim podróżni, którzy nie są Mią, pojawiają się w drzwiach, rozczochrani i zmęczeni, prawie całkiem zasłonięci przez wielkie jak mastodonty walizki, które próbują utrzymać na lśniących wózkach tak obciążonych, że trudno nimi sterować.

Kiedy już przejdą przez szklane drzwi, muszą wybrać: w lewo czy w prawo. Zupełnie jakby byli celebrytami. Tłum pokrzykuje na powitanie, ręce i tablice podskakują, próbując zwrócić na siebie ich uwagę. Większość pasażerów zatrzymuje się i mruży oczy, próbując dostrzec tych, którzy na nich czekają. Gdy już przejdą za barierki, wpadają w objęcia oczekujących, niezliczone kółka przytulonych ludzi, jedni krzyczą lub płaczą, inni ściskają się w ciszy, i zastanawiam się, jak chłodno lub ciepło przywita mnie Mia.

Tłum zaczyna się przeredzać. Gdzie ona jest? Czy spóźniła się na samolot? Zmieniła zdanie? Została zatrzymana ze względu na mnie?

Szklane drzwi się otwierają i w głębi, daleko za nimi, widzę sylwetkę, zbyt małą, żeby ją rozpoznać, a jednak wiem, że to ona.

Czuję się tak, jakby w mojej piersi rozlał się ocean.

Oczywiście, że przyleciała. Niepotrzebnie się martwiłam. Ale nie mogę przestać się martwić. Jestem jej matką.

## Podziękowania

Dzięki

Kate Johnson, mojej agentce, opiekunce i głównej czytelniczce.

Kathy Sagan za zakupienie tej powieści i Nashy Simons za nieocenione porady redaktorskie. Megan Harris, Liz Psaltis i Dianie Velasquez za rozpuszczenie wici. I wszystkim pomocnikom z Gallery Books. Dziękuję.

Abigail Thomas, akuszerce tej opowieści w krótszej wersji. Karen Braziller, której przewodnictwo i zachęty pozwoliły tej historii rozrosnąć się w powieść. Życzliwym czytelnikom uczestniczącym w ich warsztatach, zwłaszcza Jill Bauerle, Daphne Beal, Simone Bloch, Sarah Broom, Heather Cross, Elyssie East, Elizabeth Ehrlich, Kirze von Eichel, Marcelle Harrison, Elizabeth Kadestky, Karen Crumley Keats, Danie Kinstler, Sharyn Kohlberg, Madge McKeithen, Sarah Micklem, Kathleen O'Donnel, Oonie Patrick, Beth Passaro, Laurie Shapiro i Liz Welch.

Za lekturę szkiców w niezliczonych formach dziękuję: Ann Arensberg, Amy Axler, Valerie Borchardt, Anji Konig, Jane Otto, Carol Paik, Katherine Ross, Margaret Ross. Specjalne podziękowania dla Maggie Abruzese, której uwagi miały nieoceniony wpływ na rozwój postaci.

Za wkład dotyczący tematów poruszanych w tej powieści: Chrisowi Allenowi, Patricii Allen, Marianne Connolly, Barbarze Demick, Lee Gould, Charlesowi Keilowi, Cathy Klein, Marze Klein, Cindy Kumamoto, Mary Shannon Little, Ellen Mahoney, Betsy Maury, Ruadh McGuire, Theresie Klein Richter, Donaldowi K. Rossowi i Kathleen Voldstad. Specjalne podziękowania dla Katherine Kane, której znajomość medycyny alternatywnej odegrała wielką rolę w rozwoju tej historii.

Moim kolegom studentom i nauczycielom z New School MFA Program, zwłaszcza Jonatanowi Dee, Mary Gaitskill, Luisowi Jaramillo i Davidowi Lehmanowi.

New York State Summer Writers Institute, zwłaszcza Bobowi i Peg Boyersom oraz Frankowi Bidartowi.

Billowi Roorbachowi za pierwsze zachęty.

Clintowi van Zandtowi za zapoznanie mnie z koncepcją sprawiedliwości naprawczej.

Jamesowi Hitchcockowi i Davidowi Lauruhnowi za nieocenioną korektę.

Robinowi Wilkersonowi za informację zwrotną.

Peterowi Becketowi, który pomógł mi uniknąć niedopatrzeń gramatycznych. Podobne podziękowania dla Margaret Klein oraz Judith i Raya McGuire'ów, których pełna wsparcia przyjaźń wiele znaczyła podczas tej podróży.

Ta powieść wiele zawdzięcza autorom, redaktorom i wydawcom następujących książek i artykułów:

*All Souls* Christine Schutt (Mariner Books)

*Dziecko w czasie* Ian McEwan



*Tatulo* Joyce Carol Oates  
*Głębia oceanu* Jacquelyn Mitchard  
*The Face on the Milk Carton* Caroline B. Cooney (Laurel Leaf)  
*Znajdź mnie* Michelle Knight  
*Ithaka* Sarah Saffian (Delta)  
*Kidnapped* Paula S. Fass (Oxford University Press)  
*Światło między oceanami* M.L. Stedman  
*Remember me like this* Brett Anthony Johnson (Random House)  
*Shroder* Amity Gaige (Twelve, Hachette Books)  
*Two Years in the Melting Pot* Liu Zongren (China Books & Periodicals)  
*Wanting a Child* red. Jill Bialosky i Helen Schulman (Farrar, Straus and Giroux)  
*Biały oleander* Janet Fitch  
*In France, A Baby Switch and a Lesson in Maternal Love* Maïa de la Baume, „The New York Times”  
*Kidnapped at Birth* Robert Kolker, „New York Magazine”  
*The Mixed-Up Brothers of Bogotá* Susan Dominus „The New York Times Magazine”  
*The Real Lolita* Sarah Weinman, „Hazlitt Magazine”  
*South African Teen Stolen as Infant Found After Befriending Sister* Robin Dixon, „Los Angeles Times”

Największe podziękowania należą się mojej rodzinie: Donaldowi za niesłabnące wsparcie i dobry humor, dzięki któremu wszystko jest możliwe. Katherine, Margaret, moim rodzicom, braciom, siostrom oraz ich małżonkom i dzieciom. Jestem niezwykle wdzięczna, że należę do waszego klubu.

## Wskazówki dla dyskusyjnych klubów książki

Czy kiedykolwiek pod wpływem chwili zrobiłeś coś, czego nie dało się cofnąć? Lucy Wakefield nigdy nie myślała, że popełni przestępstwo, ale kiedy znajduje niemowlę pozostawione w wózku na zakupy, do głosu dochodzi jej wieloletnie pragnienie dziecka i kobieta podejmuje niezrozumiałą decyzję, która zmieni życie wielu ludzi: porywa dziewczynkę. Przez ponad dwadzieścia lat udaje jej się utrzymać swój czyn w tajemnicy, wychowuje Mię jako swoją adoptowaną córkę. Jednak biologiczna matka Mii nigdy nie porzuciła nadziei, że jej dziecko żyje, a owa niezłomna wiara w końcu pomaga wydobyć prawdę na światło dzienne. Kiedy Mia poznaje druzgocącą prawdę o swoim pochodzeniu, zaślepia ją frustracja i złość. Kim jest? Kto jest jej matką? I kim jest kobieta, którą nazywała matką przez te wszystkie lata?

To historia o stracie i żalu, tożsamości i wyobrażeniach, nadziei i akceptacji, *Jesteś moja* jest przede wszystkim opowieścią o istocie macierzyństwa i konsekwencjach podjętej w ułamku sekundy decyzji, która odmieniła życie tak wielu ludzi.

## Tematy do dyskusji

1. Tytuł książki *Jesteś moja* odnosi się do kwestii własności i posiadania. Porozmawiajcie, jaki związek ma ta kwestia z trójką głównych bohaterek: Lucy, Marilyn i Mią. Co każda z nich straciła podczas opisywanych wydarzeń?
2. Jaki efekt wywiera to, że od samego początku opowieści wiadomo, iż Lucy na pewno zostanie złapana?
3. W swoich oczach Lucy, poza tym jednym skandalicznym czynem, jest normalnym człowiekiem – nawet dobrym człowiekiem. Czy to możliwe, aby ktoś dobry i normalny zszedł tak daleko ze ścieżki tego, co słuszne, a potem po prostu na nią wrócił? Czy to możliwe, żeby dobry człowiek popełnił zły uczynek, czy też niektóre czyny są tak naganne, że definiują popełniającą je osobę jako złą?
4. Marilyn jest przedstawiona niemal jako inna osoba przed porwaniem i po porwaniu córki. Porozmawiajcie o tym, jak się zmienia bohaterka po tym traumatycznym doświadczeniu.
5. „Tak wiele z tego, kim jesteś, ma związek z twoją matką”. Czy zgadzasz się z tym stwierdzeniem? Kto w tej historii jest matką Mii? Jaki wpływ ma każda z matek na to, kim stała się Mia? Czy myślisz, że Mia byłaby inną osobą, gdyby przeżyła swoje życie jako córka Marilyn i nie została zabrana przez Lucy? Jak zostaje zachwiane poczucie tożsamości Mii, kiedy jej wyobrażenie „matki” wywraca się do góry nogami?
6. Mia i Marilyn próbują przebaczyć Lucy to, co zrobiła, ale pozostali, jak Tom czy nawet siostra Lucy, Cheryl, nie potrafią. Zastanówcie się nad kwestią przebaczenia w tej historii. Jak myślisz, dlaczego dwie osoby, na których życie czyn Lucy miał największy wpływ, są najbardziej skłonne do przebaczenia? Czy kiedykolwiek poproszono cię o wybaczenie czegoś, co, twoim zdaniem, było niewybaczalne?
7. Intencje Lucy nie zawsze zgadzają się z jej czynami. Nawet kiedy porywa Mię, zaprzecza temu sama przed sobą i tłumaczy swoje działania, twierdząc, że zamierza ją w jakiś sposób oddać. Kiedy potem prawie zostawia Mię w sklepie, składa „obietnicę wszechświatowi”, że wszystko naprawi, ale jej nie dotrzymuje. Zapewnia, że zamierzała powiedzieć Mii, kiedy ta podrośnie. „Gdzieś w głębi duszy myślałam, że jeśli odczekam odpowiednio długo, jeżeli użyję właściwych słów, może ona będzie w stanie mnie zrozumieć”. Myślisz, że Lucy kiedykolwiek naprawdę zamierzała wyjawić Mii prawdę, czy w tej kwestii także się okłamywała? Czy uważasz, że reakcja Mii na porwanie byłaby inna, gdyby Lucy sama jej o tym powiedziała?
8. Kiedy Mia dowiaduje się o tym, co ją spotkało, nie chce nazywać matką ani Lucy, ani Marilyn. Zastanówcie się wspólnie, co dla was oznacza słowo „matka”. Co czyni z matki matkę? Czy to osoba, która cię urodziła, z którą łączą cię geny, która cię wychowała – a jeśli to nie ta sama osoba? Jak uczucia Mii wobec obu kobiet, które się uważają za jej matki, zmieniają się podczas tych dziesięciu miesięcy?
9. Kiedy Lucy przyznaje się do swego czynu Wendy, ta jej nie potępia i jest wyrozumiała,

ponieważ sama ukrywa tajemnicę, którą wyjawia Amerykance. Jak myślisz, dlaczego to, co zrobiła Wendy, sprawia, że współczuje ona Lucy? Jak, twoim zdaniem, jej sekret ma się do postępu Lucy?

10. Gdyby nie porwanie, Marilyn zapewne wróciłyby do pracy i Mia miałyby matkę, która jak Lucy pracowałaby poza domem. Porównaj prezentowane w książce różne style macierzyństwa i decyzje prowadzące do odmiennych wyborów. Co te różnice oznaczały dla Mii?

11. Po porwaniu Marilyn i Tomowi udało się w końcu pójść naprzód i stworzyć sobie nowe życie. Cheryl zastanawia się, jak Lucy mogłaby kiedykolwiek zrekompensować tym rodzicom to, co im zrobiła. Zabrała im dziecko. Zniszczyła małżeństwo. Odebrała życie, jakie było im przeznaczone. Jak według ciebie Marilyn i Tom potrafili pogodzić żal za życiem, które było im pisane, z najwidoczniej szczęśliwym życiem, jakie udało im się zbudować?

12. Czy to, że Lucy wychowała Mię z miłością, w jakimś stopniu ją usprawiedliwia? Co w tym wypadku oznacza termin „sprawiedliwość naprawcza”? Jak sądzisz, na jaką karę zasłużyła Lucy za popełnione przestępstwo?

## Uatrakcyjnij spotkanie swojego klubu

Czy po potrawach Wendy nabrałeś ochoty na chińszczyznę? Spróbuj swoich sił, robiąc domowe pierogi, które podasz na spotkaniu klubu ([chinesefood.about.com/od/dimsumdumplings/r/jiaozi.htm](http://chinesefood.about.com/od/dimsumdumplings/r/jiaozi.htm)), albo zamówcie jedzenie na wynos!

W Kalifornii Marilyn bardzo interesuje się jogą, medytacją, czytaniem z dłoni i horoskopami. Możesz znaleźć mnóstwo bezpłatnych horoskopów w internecie. Poszukaj swojego horoskopu tutaj: <http://www.chaosastrology.net/freeastrologyreports.cfm>. Jak myślisz, na ile jest trafny? Podkreśl zabawne szczegóły, o których opowiesz na spotkaniu klubu.

Możesz przeczytać historie o prawdziwych porwaniach, podobnych do porwania Mii, szukając w internecie informacji na temat porwania Carliny White i Zephany Nurse, które zostały wychowane w obcych rodzinach i po latach odnalazły biologicznych rodziców. Jak ich historie mają się do historii Mii?

Zafascynowała cię opowieść Wendy o porzuceniu córki? Przeczytaj więcej o chińskiej polityce jednego dziecka tutaj: <http://www.britannica.com/EBchecked/topic/1710568/one-child-policy>.

# Table of Contents

## Część pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

## Część druga

32

33

34

35

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[Lance](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[Część trzecia](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[73](#)

[74](#)  
[75](#)  
[76](#)  
[77](#)  
[78](#)  
[79](#)  
[80](#)  
[81](#)  
[82](#)  
[83](#)  
[84](#)  
[85](#)  
[86](#)  
[87](#)  
[88](#)  
[89](#)  
[90](#)  
[91](#)  
[92](#)  
[93](#)  
[94](#)  
[95](#)  
[96](#)  
[97](#)  
[98](#)  
[99](#)  
[100](#)  
[101](#)  
[102](#)  
[103](#)  
[104](#)  
[105](#)  
[106](#)  
[107](#)  
[108](#)  
[109](#)  
[110](#)  
[111](#)  
[112](#)  
[113](#)



[114](#)

[115](#)

[116](#)

[117](#)

[118](#)

[119](#)

[120](#)

[121](#)

[122](#)

[123](#)

[124](#)

[Podziękowania](#)

[Wskazówki dla dyskusyjnych klubów książki](#)

[Tematy do dyskusji](#)

[Uatrakcyjni spotkanie swojego klubu](#)